



HARLEQUIN[®]

ROMANS
HISTORYCZNY



LOUISE
ALLEN

Sekrety panny Hurst

Louise Allen

Sekrety panny Hurst

Tłumaczenie:
Zofia Uhrynowska-Hanasz

ROZDZIAŁ PIERWSZY

3 marca 1816 roku, port londyński

– Jest szaro, tak jak wszyscy obiecywali. – Oparty o reling statku Ashe Herriard lekko zmrużonymi oczyma wpatrywał się w szeroko rozlane przed nim wody Tamizy. Roilo się na nich od różnego rodzaju statków – począwszy od małych skifów i łodzi wiosłowych do takich, przy których nawet ich czteromasztowiec Kompanii Wschodnioindyjskiej wydawał się skromnych rozmiarów. – Nigdy nie przypuszczałem, że może istnieć tyle odcieni szarości... Oraz brązu, beżu i zieleni. Ale przede wszystkim ta wszechobecna szarość...

Był przekonany, że znienawidzi Londyn, że wyda mu się obcy. Miasto jednak zrobiło na nim wrażenie starego, zamożnego i dziwnie swojskiego.

– Ale przynajmniej nie pada, a pani Mackenzie mówiła, że w Anglii bez przerwy leje. – Obok Ashe'a stanęła Sara, otulona w ciepły płaszcz. – To mi przypomina Garden Reach w Kalkucie, tyle że jest tu znacznie większy ruch, no i jest dużo zimniej. – O, mają nawet fort. Wiesz?

– To Tower. – Ashe uśmiechnął się, nie chcąc zarazić siostry swoim kiepskim nastrojem. – Wiesz, czytanie się czasem przydaje.

– Jestem pod wrażeniem, kochany braciszku – zgodziła się Sara z lekkim błyskiem w oku, który jednak szybko zgasł, kiedy podążyła wzrokiem dalej wzdłuż relingu. – Mama jest bardzo dzielna.

Ashe poszedł za wzrokiem siostry.

– Masz na myśli to, że dzielnie się uśmiecha? Podejrzewam, że oboje są dzielni. – Ojciec obejmował matkę ramieniem, tuląc ją mocno do siebie. Nie było w tym nic niezwykłego, w okazywaniu sobie czułości wydawali się niemodnie demonstracyjni, nawet według dość liberalnych standardów europejskich kręgów towarzyskich Kalkuty. Ashe jednak znał swojego ojca i dobrze wiedział, że jego spokój jest pozorny. Markiz Eldonstone sposobził się do walki.

Pułkownik Nicholas Herriard do ostatniej chwili zwlekał z opuszczeniem Indii. Ale stanowisko wojskowego dyplomaty w Kompanii Wschodnioindyjskiej nie licowało z tytułem markiza. Wiedział, że będzie musiał spełnić swój obowiązek i wrócić do Anglii, kiedy tylko odziedziczy tytuł.

Dokładnie tak jak ja, pomyślał Ashe, podchodząc do ojca. Nie pozwoli na to, żeby ta sprawa przerosła jego rodziców, i zrobi wszystko, żeby zdjąć ten ciężar z ich barków, nawet jeśli miałyby to dla niego oznaczać przemianę w idealnego angielskiego arystokratę.

– Wezmę Perrotta i przeprawimy się na brzeg, żeby sprawdzić, czy wyjechał po nas Tompkins.

– Dziękuję ci. Nie chciałbym, żeby twoja mama i siostra niepotrzebnie wyczekiwały na niego w porcie. – Markiz wskazał ręką. – Daj stamtąd znać, czy jest powóz.

– Jasne. – Ashe oddalił się w poszukiwaniu jakiejś łodzi z przewoźnikiem, żeby wreszcie postawić nogę na suchym lądzie.

Nowy kraj, nowe przeznaczenie, nowy świat, pomyślał, i nowa walka. Ostatecznie nowe światy są po to, żeby je podbijać. Tymczasem wspomnienie upału, bogactwa barw i życia tętniącego w pałacu Kalatwah stawało się powoli nieuchwytnym snem. Zacierało się także poczucie winy i ból.

Reshmi, westchnął w duchu i odegnał od siebie te przykre myśli. Nic, nawet miłość, nie wskrzesi tego, co umarło.

– Przecież muszą gdzieś być solidni, przyzwoici, życzliwi ludzie – powiedziała do siebie Phyllida i cofnęła się do wylotu wąskiego zaułka, ogarniając wzrokiem ruchliwą część nabrzeża, gdzie znajdowała się komora celna. - Niestety nie ma wśród nich mojego drogiego brata. – I nawet trudno było się temu dziwić, skoro ich ojciec również nie miał w sobie krztyny przyzwoitości, a jego niesforna córka podejrzewała, że w głowie był mu tylko hazard, damy lekkich obyczajów i pieniądze, którymi szastał bez opamiętania.

Ostatnio także Gregory przepadł z pieniędzmi, przeznaczonymi na mieszkanie, bo zgodnie z informacjami jego przyjaciół znalazł gdzieś pomiędzy Tower a London Bridge jakąś nową spelunkę.

Nagle coś szarpnęło za sznurowadła półbutów Phyllidy. Przekonana, że to sprawka kota, schyliła się i... napotkała paciorkowate oczy największej wrony, jaką kiedykolwiek widziała. Ptak miał szary łepok i duży dziób. Posłał jej zuchwałe spojrzenie i powrócił do szarpania za sznurowadła.

– Wynoś się! – Phyllida cofnęła nogę, ptak zakrakał i puścił sznurowadło, ale tylko po to, by zaraz zająć się jej drugą nogą.

– Lucyfer, zostaw panią w spokoju. – Wrona zakrakała, wzbijała się w górę i wylądowała na ramieniu stojącego przed nią wysokiego mężczyzny. – Bardzo panią przepraszam, ale Lucyfera szalenie fascynują sznurowadła i wszelkiego rodzaju sznurki, krótko mówiąc, wszystko, co jest cienkie i długie. Niestety z wyjątkiem węży, przed którymi tchórzy.

Phyllida tymczasem odzyskała głos.

– To dziwne, że akurat w Londynie może się przydarzyć coś podobnego. – Zastanawiała się, skąd się tu wziął ten piękny egzotyczny mężczyzna ze swoim diabolicznym pupilem. Phyllida wpatrywała się w gęste ciemne włosy, zielone oczy, prosty nos i złocisty kolor skóry nieznanego, który się jej przyglądał z jednakowym zainteresowaniem. Nie zdziwiłaby się, gdyby zapachniała siarką.

– No właśnie. – Mężczyzna sięgnął ręką i wyrzucił ptaka w powietrze. – Idź, poszukaj Sary, ty pierzasty potworze. Strasznie przeklina, kiedy się go zamyka w klatce – dodał mężczyzna; tymczasem ptak odleciał w stronę stojących na kotwicy na środku rzeki statków. – Ale chyba tak się to skończy i Lucyfer zacznie podburzać kruki z Tower do najdzikszych wybryków. Chyba że te kruki to tylko legenda?

– Nie, one są prawdziwe – odpowiedziała i stwierdziła w duchu, że musi być cudzoziemcem. Mężczyzna był dobrze ubrany, ale w jakiś ledwie uchwytny nieangielski sposób. Ciężka czarna peleryna z podszewką o ton ciemniejszą od jego oczu, ciemny żakiet, brokatowa gruba kamizelka i śnieżnobiała koszula.

Przyklęknął na jedno kolano i zaczął zawiązywać jej sznurowadła, przy okazji ukazując włosy, niemiernie długie i związane na karku.

– Przepraszam, czy coś jest nie w porządku? – Nieznajomy spojrzał w górę z poważnym pytającym wyrazem twarzy, choć w jego oczach igrała iskierka rozbawienia.

Szelma doskonale wiedział, co było nie w porządku, pomyślała i wykrzyknęła:

– Pan dotyka mojej stopy, sir!

Mężczyzna zakończył wiązanie kokardki zamaszystym szarpnięciem i wstał.

– Obawiam się, że bez tego byłoby trudno zawiązać to sznurowadło. Czy można wiedzieć, dokąd się pani wybiera? Zapewniam panią, że ani ja, ani Lucyfer nie mamy już żadnych planów wobec pani obuwia. – Jego uśmiešek sugerował delikatnie, że te plany mogły dotyczyć całkiem innych rzeczy.

Phyllida zrobiła jeszcze jeden krok do tyłu, szczęśliwie nie tracąc równowagi. A tymczasem swobodnym krokiem zbliżał się do nich Harry Buck. Tuż za nim podążał jeden z jego goryli.

Phyllidzie żołądek podszedł do gardła, zaczęła się nerwowo rozglądać za jakimś miejscem, w którym mogłaby się ukryć przed cieszącym się jak najgorszą sławą przedstawicielem mętów społecznych Wapping. A jeśli ją zapamiętał sprzed dziewięciu lat...

– Ten mężczyzna... – Skinieniem głowy wskazała Bucka. – Nie chciałabym, żeby mnie zobaczył. – Zabrakło jej tchu. – A on tu właśnie się zbliża.

Ucieczka nie wchodziła w grę. Gdyby zaczęła biec, Buck instynktownie by za nią pobiegł. Nie miała na głowie nawet budki, pod którą mogłaby się ukryć, tylko płaski słomkowy kapelusik, przypięty do siatki naciągniętej na zwinięte włosy.

– W tej sytuacji może lepiej, żebyśmy się poznali. – Egzotyczny nieznajomy zrobił krok do przodu, przyparł Phyllidę do ściany, uniósł ramię z peleryną tak, żeby ją zasłonić, i schylił głowę.

– Co pan robi?

– Całuję panią – odparł i pocałował, wolną ręką jednocześnie przyciskając ją do swojego umięśnionego ciała. Niesforne zielone oczy mężczyzny śmiały się do niej, podczas gdy jego usta tłumili wybuch jej oburzenia.

Za nimi rozległ się odgłos ciężkich kroków i zwaliste sylwetki mężczyzn zablokowały wyłot zaułka, prawie całkowicie przesłaniając światło.

– To mój rewir, facet – powiedział ochryply głos – a jeśli tak, to i dziwka jest moja, więc płąć.

Mężczyzna uniósł głowę, wtulając jej twarz w delikatny jedwab koszuli.

– Ja ją tu przyprowadziłem, a nie mam zwyczaju się dzielić. Ani płacić mężczyznom za miłość. – Phyllida usłyszała rechot jednego z goryli Bucka. Jej opiekun robił wrażenie pewnego siebie, nawet rozbawionego sytuacją.

Na moment zaległa cisza, po czym Phyllida usłyszała śmiech Bucka czy raczej jego ochryply rechot, którego wspomnienie do dziś nawiedzało ją w najgorszych snach.

– Podobasz mi się. Przyjdź do mnie, jak masz poważne zamiary. Albo znajdź chętną dziewczynę. W Wapping każdego możesz pytać o Harry'ego Bucka. – Po chwili odgłos kroków w zaułku przycichł i wybrzmiał.

Phyllida z wściekłością wyrwała się z uścisku jedyne go mężczyzny, na którym mogła się odegrać.

– Proszę mnie puścić.

– Hm? – Nos nieznajomego, uwięziony w zagięciu jej szyi, badał jej zapach. I łaskotał, tak samo jego usta. Phyllida mimowolnie zareagowała na delikatną pieśczołę. – Jaśmin. Piękny zapach. – Mężczyzna wypuścił ją z objęć i cofnął się nieznacznie, niedostatecznie jednak daleko, żeby ją uspokoić.

Głęboko odetchnęła, stwierdzając, że nieznajomy nie tylko nie trąci siarką, ale że nawet całkiem przyjemnie pachnie.

– Drzewo sandałowe – powiedziała głośno, przemilczając inne słowa, które przysły jej do głowy.

– Tak, i spikanard, dosłownie odrobina. Zna się pani na zapachach? – Mężczyzna w dalszym ciągu stał o wiele za blisko, ramieniem przyciskając ją do muru.

– Nie mam zamiaru stać tutaj i dyskutować z panem o zapachach. Dziękuję bardzo, że mnie pan ukrył przed Buckiem, ale wołałabym, żeby pan zostawił mnie już samą. Naprawdę nie można ot tak sobie chodzić i obcałowywać nieznajomych kobiet. – Wymknęła się pod jego ramieniem i ruszyła w stronę nabrzeża.

Mężczyzna odwrócił się i uśmiechnął.

– A pani jest nieznajoma? – zapytał, kierując pod adresem Phyllidy jej własne słowa. Ist-

niała cała gama możliwych odpowiedzi na to pytanie, ale żadna z nich nie wydawała się grzeczna.

– Jestem... A właściwie należał się panu policzek – odparła, zupełnie nie rozumiejąc, dlaczego tak się właśnie nie stało, kiedy już Buck sobie poszedł. – Żegnam, sir – rzuciła przez ramię, odchodząc.

Na jego twarzy pojawił się leniwy, zagadkowy uśmiezek. Phyllida z trudem powstrzymała chęć, aby rzucić się do ucieczki.

Miała smak wanilii, kawy i kobiety, a pachniała jak letni wieczór w ogrodzie radzy. Na samo jej wspomnienie Ashe obliział dolną wargę, jednocześnie błędząc wzrokiem w poszukiwaniu angielskiego prawnika ojca.

Jaśnie wielmożny panie, wysyłam po państwa rodzinną karetę – pisał Tompkins w swoim ostatnim liście, który został dostarczony markizowi razem z angielską pokojówką dla Maty i Sary oraz pokojowym dla jego ojca i jego. Ale najważniejszą część przesyłki stanowił Perrott, poufny sekretarz, znający doskonale wszystkie fakty, liczby i szczegóły dotyczące spraw majątkowych oraz dóbr, wchodzących w skład majątku Eldonstone.

Mając na uwadze gwałtownie pogarszający się stan zdrowia i śmierć pańskiego ojca, która nas wszystkich zaskoczyła, uznałem za stosowne nie tracić czasu na dalszą korespondencję, tylko wysłać angielską służbę wraz z moim zaufanym asystentem.

Po otrzymaniu tych niemiłych acz nieuchronnych wieści ojciec Ashe'a działał szybko. Odwołał syna z Księstwa Kalatwah, gdzie pełnił on funkcję adiutanta swojego ciotecznego dziada radzy Kirata Jaswana; sprzedał dobytek, część rozdał, a resztę kazał spakować i cała czwórka wraz ze świtą wsiadła na najbliższy statek płynący do Anglii.

– Kareta czeka, milordzie. Zawiadomiłem jaśnie pana i wysłałem skif.

– Na tym się kończą twoje obowiązki, Perrott – powiedział z uśmiechem Ashe, idąc nabrzeżem u boku pocziwego rudzielca. – Po siedemnastu tygodniach spędzonych wśród harmidru na pokładzie musisz być chyba szczęśliwy, że wracasz wreszcie do domu.

– Powrót do Anglii jest oczywiście miły, no i matka będzie rada widzieć mnie w domu. Jednakże możliwość towarzyszenia markizowi, no i panu była dla mnie przywilejem i prawdziwą przyjemnością.

Mężczyzna zadurzył się beznadziejnie w Sarze, oboje więc z ulgą powitają przerwę w codziennych kontaktach. Ale było to jedyne beznadziejne posunięcie Thomasa Perrotta, jakiego się dopatrzył Ashe. Zakochać się to dobre dla służby, romantyków, poetów i kobiet. I głupców, a głupcem Ashe nie był.

Już nie. Nie popełni tego samego głupstwa co ojciec i nie ożeni się z miłości – wicehrabia Clere wybierze żonę z zupełnie innych pobudek.

– Milordzie. – Perrott zatrzymał się przy pięknej czarnej karocy, z herbem znanym z licznych dokumentów, a także z ciężkiego rodowego sygnetu. Na ich widok pajucy w liberiach opuścili swoje miejsca z tyłu pojazdu i wyprężeni stanęli na baczność. Za karocą czekały jeszcze dwa skromniejsze pojazdy. – To dla służby i na mniejszy bagaż, milordzie. Bagaż ze statku przysła, kiedy tylko zostanie rozładowany. Mam nadzieję, że wszystko jest w porządku.

– Żadnych słoni ani wozów zaprzężonych w woły – zauważył Ashe z uśmiechem. – Powinniśmy się poruszać z niebywałą szybkością.

– No i oszczędzimy na paszy – odparował z kamienną twarzą Perrott, po czym mężczyźni wrócili na nabrzeże oczekiwać skifu.

– Wreszcie jesteś! – Phyllida rzuciła na stół kapelusz i torebkę, wpatrując się w brata swobodnie rozwalonego na sofie. Wyglądał jak ogromna marionetka, której ktoś podcinał sznurki.

– Otóż i jestem! – potwierdził Gregory leniwie, otwierając jedno oko. – Ale głowę mam bardzo ciężką, więc, droga siostrzyczko, bądź dla mnie łaskawa i oszczędź swojego brata.

– Nie mam najmniejszego zamiaru cię oszczędzać! – obiecała mu Phyllida, rzucając na krzesło pelisę. – Gdzie są pieniądze?

– Ach, widzę, że bardzo za nimi tęskniłaś. – Mężczyzna przyjął pozycję siedzącą i zaczął grzebać w kieszeniach. Na podłogę posypały się zmięte banknoty. – Proszę bardzo.

– Gregory! A to skąd się wzięło, na miłość boską? – Phyllida padła na kolana i zaczęła zbierać banknoty, prostując je i licząc. – Tu jest ponad trzysta funtów!

– Hazard! – odparł węzłowato mężczyzna, z powrotem opadając na sofę.

– Ale przecież ty zawsze traciłaś...

– Wiem, ale tak mnie dręczyłaś, tak nawoływałaś, żebym był rozsądny i oszczędny, że wzięłem sobie twoje słowa do serca. Miałas rację Phyll, nie byłem dla ciebie oparciem. Nawet przejawy twojego zdrowego rozsądku nazywałem dręczeniem... Ale docień mój spryt: poszedłem do nowego domu gry, a oni zawsze pilnują, żeby nowy zamożny klient wygrywał. Czy to nie sprytne?

– Owszem, słyszałam o tym – przyznała, ale nigdy by jej nie przyszło do głowy, że Gregory sam na to wpadnie.

– No więc sami zadbali o to, abym wygrał. A potem się zaczęli uśmiechać z wdziękiem rekina i namawiać mnie, żebym podwoił stawkę. Odmówiłem, podziękowałem i wyszedłem. – Gregory był wyraźnie z siebie zadowolony.

– I wypuścili cię bez problemu? – Na wspomnienie Harry'ego Bucka przeszedł ją dreszcz. On by nigdy nie wypuścił szczęściarza z taką wygraną całego i zdrowego z żadnej ze swoich spelunek. Tak jak żadna dziewczyna nie wyszłaby od niego dziewicą.

Phyllida oddaliła od siebie tę myśl, jakby zatrzasnęła ciężkie wieko jakiejś duchowej skrzyni.

– Pozwolili. Powiedziałem im, że wrócę jutro z gromadką przyjaciół wykorzystać dobrą passę.

– Ale przecież wtedy właśnie cię oskubią.

Gregory zamknął oczy. W jego westchnieniu pobrzmiwały echa większej męki, niżby to usprawiedliwiał kac.

– Okłamałem ich. Zaczynam nowe życie Phyl. Wczoraj rano przyjrzałem się sobie bardzo dokładnie w lustrze i stwierdziłem, że nie robię się coraz młodszy. Rozważyłem na zimno twoje słowa i doszedłem do wniosku, że masz rację. Dość oglądania każdego pensa; przecież wiem, jak ciężko pracujesz. Muszę się rozejrzeć za bogatą żoną, a takiej nie znajdę w Wapping. Musimy mieć przecież jakieś pieniądze na okres moich zalotów, dokładnie tak, jak planowałaś.

– Jesteś aniołem, braciszku. – Było to krzyczącą nieprawdą, a ten gwałtowny napad cnotliwości mógł się lada chwila skończyć, ale Phyllida mimo wszystko kochała brata. Może naprawdę wreszcie dojrzał. – Pamiętaj, co mi obiecałeś: jutro wieczorem idziemy na bal do Richmondów.

– Nie powiem, żeby bal u Richmondów był jakimś szczególnie ekskluzywnym wydarzeniem towarzyskim – zauważył Gregory, siadając wyraźnie zainteresowany.

– Gdyby tak było, nie mielibyśmy tam czego szukać – skwitowała Phyllida. – Fenella Richmond uwielbia umizgi, a zatem zaprasza tych, po których może się ich spodziewać, niezależnie od opinii śmietanki towarzyskiej. Jestem przekonana, że pełno tam będzie ojców gotowych kupić sobie utytułowanego zięcia.

– Kupcy i fabrykanci. – Nie zabrzmiało to krytycznie, w słowach Gregory'ego była raczej rozwaga, ale mimo to Phyllida poczuła się lekko urażona.

– A twoja siostra jest sklepikarką i lepiej, żeby śmietanka towarzyska o tym nie wiedziała. Ale owszem, wszyscy oni tam się pojawią i będą się starali wśliznąć do socjety. Jeśli uważają panią Richmond za wspaniałą osobę, to pomyśl sobie, z jaką radością powitają w towarzystwie przystojnego hrabiego, mężczyznę wolnego stanu, z wiejską siedzibą i dużym majątkiem ziemskim. Dlatego proszę cię, braciszku, staraj się być czarujący.

– Czarujący jestem zawsze, z tym nie mam najmniejszego problemu – zachnął się Gregory. – Znacznie trudniej być dobrym i odpowiedzialnym. Gdzie się podziewałaś cały dzień, siostrze?

– Między innymi odwiedziłam Wapping: kupowałam wachlarze od załogi statku handlowego, który przyplłynął właśnie z Chin – odparła i dodała w myślach: „Zaatakowała mnie pewna wredna wrona, a także pocałował mnie przystojny nieznajomy”. Nawet teraz z trudem opanowała chęć dotknięcia ust. – Pójdę schować pieniądze do sejfu i powiedzieć Peggy, że oboje będziemy na obiedzie.

Phyllida pozbierała swoje rzeczy, zawiązała pod brodą kapelusz i zbiegła po schodach.

– Peggy?

– Słucham, panno Phyllido? – Kucharka i gospodyni w jednej osobie wychynęła z kuchni, wycierając ręce. – Widzę, że jaśnie pan jest w domu, i do tego ma potężnego kaca. Alkohol to straszna pułapka i w ogóle rzecz obrzydliwa.

– Bądź uprzejma przyjąć do wiadomości, że oboje będziemy na obiedzie. – Phyllida przywykła do ostrych ocen Peggy pod adresem praktycznie wszystkiego, co dotyczyło wszelkich form rozrywki. – A Gregory przyniósł tym razem sporą sumkę. – Wyrzuciła gotówkę na wyszrowany drewniany blat stołu. – O, proszę, to jest dla ciebie za ubiegły i za bieżący miesiąc, a to dla Jane. Annie zapłacę sama. – Jane była chudą panną do wszystkiego, a Anna garderobianą Phyllidy.

– Chwała Bogu – wymamrotała Peggy, odliczając pieniądze na kupki. – Dziękuję, panno Phyllido. Mam nadzieję, że resztę schowa pani do sejfu.

– Tak zrobię. A teraz idę do sklepu i wrócę za jakieś pół godziny.

– Potrawka z królika – zawołała za nią Peggy, biegnąc za Phyllidą na górę. – I serowe ciasteczka.

Dzień, który zaczął się tak źle, nieoczekiwanie zakończył się całkiem dobrze, uznała Phyllida, zamykając za sobą drzwi. Skręciła w lewo w Great Ryder Street, a następnie ruszyła na skrót przez Duke Street do Mason's Yard.

W okolicy sklepu nie kręcił się nikt podejrzany. Phyllida otworzyła drzwi, wślizgnęła się do środka i zamknęła się na cztery spusty, po czym przeszła na front. Opuszczone żaluzje pograżyły wnętrze sklepu w mroku, czasem tylko błyskały światełka, kiedy Jermyn Street przejeżdżały konne pojazdy. Otworzy sklep jutro, zdecydowała, po czym uklękła przed szafką, wyjęła stos papieru pakowego i uniosła fałszywe dno. Pod nim znajdował się sejf. Dołożyła tam zwitek banknotów, który przyjemnie zasilił dotychczasowe oszczędności, w tajemnicy nazywane przez nią „funduszem ślubnym Gregory'ego”.

Zamknęła szafkę i pod wpływem nagłego impulsu otworzyła szufladę, z której wyjęła pakunek. Wysypały się z niego powiązane w pęczki hinduskie kadzidełka, opisane w niezrozumiałym języku. Towarzyszył im świstek papieru pokryty angielskimi bazgrołami.

Róża, paczula, lilia, białe piżmo, champa, żywica olibanowa, jaśmin i drzewo sandałowe.

Wyciągnęła jedno z kadzidełek i przybliżyła do nosa; wzdrygnęła się pod wpływem nagłego skojarzenia. Czysta, leśna, egzotyczna woń – tak pachniał właśnie on. W jakiś niezrozumiały sposób ten zapach wydał jej się niebezpieczny i niepokojący. Może to był właśnie zapach jego skóry, tak jedwabistej i złocistej?

To oczywisty nonsens, upomniała się w myślach. Pocałował ją, zapewniając jej w ten sposób bezpieczeństwo i jednocześnie czerpiąc z tego przyjemność, a to mogło każdego wypro-
wodzić z równowagi. Nie było w tym żadnej tajemnicy.

Wyszła, zamknęła za sobą drzwi i pospieszyła do domu.

Jutro będzie sklepikarką, a potem, przez kilka godzin, na salonach pani Richmond, kimś zupełnie innym. Nie mogła się już tego doczekać, chociaż wiedziała, że zamiast tańczyć, będzie musiała oceniać debiutantki i ich posagi. Taniec, tak jak marzenia o zielonookich kochankach i małżeństwie nie były dla niej.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Mata, czy mogę iść na zakupy? Chciałabym zobaczyć bazar.
- Ale tu nie ma bazarów, Sara. Tylko sklepy i jakieś rynki.
- Ale wiem, że jest Bazar Panteon. Reade mi o tym mówiła.
- Ashe dolał sobie kawy, unosząc brew w stronę ojca.
- Ale to nie ma nic wspólnego z indyjskim bazarem. Z pewnością jest dużo spokojniej i nie ma żadnego targowania się. To raczej skupisko małych sklepów.
- Wiem, Reade mi mówiła, czesząc mnie rano. Ale czy mogę wyjść, Mata?
- Jestem dziś bardzo zajęta, nie mam czasu ci towarzyszyć. – Szybkie wszechogarniające spojrzenie ich matki, którym objęła mały salonik, nie pozostawiało wątpliwości co do tego, czym się będzie zajmowała. Ashe oczyma duszy widział już w ogrodzie za domem fajerwerki.
- Stawiam dziesięć rupii – mruknął pod adresem ojca – że jutro o tej porze cała służba będzie jadła Macie z ręki, i sto, że w ciągu tygodnia zaczniesz przemeblowania.
- Nie zakładam się o rzeczy oczywiste. Jeśli w porywach swoich szaleństw pozbędzie się tych ohydnych zasłon, ma moje poparcie. Nie będę ci towarzyszyć, Saro – dodał markiz, widząc błagalne spojrzenie córki skierowane ku męskiej części stołu.
- Ja z tobą pójdę – wyrwał się usłudźnie Ashe. Sara robiła dobrą minę do złej gry, ale wiadać było, że ten nowy obcy świat, w jakim się znalazła, trochę ją onieśmiela, choć jednocześnie fascynuje. – Przyda mi się mały spacer, pod warunkiem że to będzie tylko oglądanie wystaw. Nie mam zamiaru włóczyć się po sklepach i rozczulać nad każdym fatałaszkim. Byłem na Jermyn Street i tam są dobre sklepy, tak przynajmniej twierdzi Bates. Ja też muszę coś kupić.
- Godzinę później Sara jęczała:
- Teraz to ja się włóczę po sklepach, bo ty się rozczulasz nad każdym głupim mydłem do golenia!
- Ty też kupiłaś mydło. I to trzy rodzaje! – wypomnił jej brat, tłumacząc, dlaczego normalnie unika jak zarazy robienia zakupów w towarzystwie kobiet. – O, popatrz, jakaś modna kapeluszniczka.
- Ashe nie miał pojęcia, co jest modne, a co nie. Kilka lat spędzonych na indyjskim dworze książęcym nie stanowiło dobrego przygotowania do tego, by mógł ocenić te angielskie, niedorzeczne kobiece nakrycia głowy. Zdawał sobie sprawę, że wszystko to, co widywał w Kalkucie, musiało być co najmniej o półtora roku spóźnione. Co innego Sara. Potrafiła stać przed wystawą i wzdychać do kombinacji koronek, piórek i satynowych wstążek przymocowanej do słomkowej podstawy wielkości deserowego talerzyka.
- Nie, nie możesz tam wejść – powiedział stanowczo, wkładając sobie jej rękę pod ramię i kierując nią w kierunku przejścia przez Duke Street. – Nie mam zamiaru się potem tłumaczyć przed Matą, że masz na głowie coś, co jest dobre dla pańienek lekkich obyczajów.
- Czy nie uważasz, że Londyn ma dziwny zapach? – zmieniła temat Sara. – Nie czuję żadnych przypraw ani kwiatów. Nic martwego, żadnych handlarzy jedzeniem na ulicach.
- Tutaj nie... – zgodził się z nią Ashe. – Bo to jest elegancka dzielnica miasta. Są za to ryszutki i koński nawóz, jeśli tak bardzo brakuje ci silnych aromatów ulicy. Ale tu jest coś ładnego. – Ashe zatrzymał się przed małym sklepikiem. – Widzisz tę nefrytową figurkę?
- Tu jest masa różnych pięknych rzeczy. – Sara zapuściła wzrok w głąb wystawy. Na wielobarwnych skrawkach tkanin stały malowane miniatury, obok rosyjskich ikon, i starożytne bożki z terakoty sąsiadowały z japońską porcelaną.

Ashe cofnął się, żeby przeczytać szyld nad drzwiami.

– „Gabinet osobliwości”. Dobra nazwa. Spójrz na ten wisiołek z kamienia księżycowego... Jest dokładnie koloru twoich oczu. Może wejdziemy i go obejrzymy? – Sara ścisnęła brata w podnieceniu za ramię i kiedy tylko otworzył drzwi, pospieszyła do środka. Nad ich głowami zadźwięczał dzwonek, a w głębi sklepu rozsunała się kotara.

– Witam, *monsieur, madame*. – Sprzedawczyni musiała być Francuzką. Zawahała się, jakby zdziwiona ich widokiem, ale po chwili do nich podeszła.

Była średniego wzrostu, włosy miała schludnie schowane pod czepkiem, a na czubku nosa lekko przyciemnione okulary. Prosta brązowa suknia pod szyję leżała na niej nienagannie. Bardzo francuska, pomyślał Ashe.

– W czym mogę pomóc? – zapytała kobieta i poprawiła okulary.

– Jeśli pani pozwoli, chcielibyśmy obejrzeć wisiołek z kamienia księżycowego.

– *Certainement. Madame* zechce usiąść? – Wychodząc zza kontuaru, kobieta wskazała Sarze krzesło, wzięła do ręki ozdobny łańcuch na klucze, a następnie otworzyła szafkę i położyła przed Sarą piękny drobiazg na aksamitnej poduszeczce.

Ashe obserwował, jak jego siostra ogląda klejnot – dokładnie według wskazówek matki. W sprawach kosztowności była tak samo wybredna jak on: wiedział, że jeśli w najpiękniejszym nawet drobiazgu dostrzeże choćby najmniejszą skazę, z pewnością go odrzuci.

Po chwili zorientował się, że *vendeuse* go obserwuje. Ukradkiem. Interesujące, pomyślał Ashe i zmienił pozycję, tak żeby móc widzieć kobietę w weneckiej szafce o lustrzanej powierzchni. Doszedł do wniosku, że jest młodsza, niż mu się na początku wydawało. Świadczyła o tym gładka pozbawiona zmarszczek skóra, wydatne kości policzkowe, oczy za przyciemnionymi okularami i mały spiczasty podbródek.

Kobieta zagryzła dolną wargę i naraz wydała mu się dziwnie znajoma.

– Jaka jest cena tego wisiora? – zapytała Sara, na co kobieta obróciła się i nachyliła w jej stronę. Było w tym ruchu coś, co w głowie Ashe’a obudziło już konkretne podejrzenia. Czyżby?

Podszedł do niej i stanął u jej ramienia, jakby z zainteresowaniem oczekiwał odpowiedzi. Sprzedawczyni przestąpiła z nogi na nogę, czując się najwyraźniej nieswojo z powodu bliskości mężczyzny, jednak nie spojrzała w jego stronę.

Wymieniła sumę, ale Sara cmoknęła, odrzucając ofertę, zarazem jednak sygnalizując gotowość do negocjacji. Ashe nachylił się bliżej. Kobieta zeszywniała, okazując czujność. Miała ciemnoblonde włosy, na ile można to było ocenić na podstawie kosmyków, które wymykając się spod koszmarnego czepka, tworzyły na jej delikatnym karku rodzaj kuszącej zasłonki.

– Mam nadzieję, że to cena razem z łańcuszkiem – powiedziała Sara.

Ashe głęboko wciągnął powietrze. Ciepła, zmysłowa kobieta i...

– Jaśmin – szepnął blisko ucha *vendeuse*. Kobieta zastygła w bezruchu. O tak, sytuacja przypominała polowanie, a on był na tropie zwierzyny. – Pani jest bardzo obrotna, *madame*.

– Ma pan na myśli różnorodność mojego asortymentu, *monsieur*? – mówiła pewnym głosem, niespeszona. – To prawda, pochodzi on z całego świata. A co do wisiora, to rzeczywiście pańskiej żonie jest w nim bardzo do twarzy, łańcuszek naturalnie będzie w cenie.

– Ale... – zaczęła Sara.

– Podoba ci się, kochanie? – przerwał jej Ashe. – Jeśli tak, to go bierzemy. – Hm, ciekawe i trochę nawet obraźliwe, jeśli jego znajoma z portu uznała go za człowieka żonatego. Przewrotnie postanowił nie wyprowadzać jej tak od razu z błędu, szczególnie z uwagi na obecność Sary.

– To pani własny sklep? – zapytał, zdejmując rękawiczki, by odliczyć pieniądze ze zwitka dostarczonego mu przez Perrotta. Przywołał w pamięci kursy walut, oceniając wystawione przed-

mioty. Nawet licząc po indyjskich cenach, to, co widział na półkach, mogłoby stanowić niezłą inwestycję.

– Tak, *monsieur*. – Uparcie trzymała się swojej francuskiej pozy. Przyzwyczajony do negocjacji z wrogimi Francuzami w Indiach, Ashe podziwiał jej akcent.

– To interesujące. Zdziwiła mnie nazwa pani sklepu: „Gabinet osobliwości”. – Subtelny zapach jaśminu, jaki wydzielala jej rozgrzana skóra, działał na jego zmysły. Ciało Ashe’a zaczęło wysyłać niedwuznaczne sygnały.

– Moją intencją było pobudzenie intelektu – powiedziała, wydając mu resztę. Gołymi palcami dotknęła jego dłoni, którą Ashe błyskawicznie chwycił.

– A przy okazji i zmysłów? – Dziewczyna znieruchomiała. Jej uwięzione palce były ciepłe i szczupłe. Kciukiem wyczuwał jej przyspieszony puls.

– Żeby tutaj szukać skarbów, trzeba być nie tylko ciekawym, ale i odważnym – zakończyła.

– Moje w każdym razie z pewnością zostały pobudzone... – mruknął pod nosem Ashe. – Wszystkie. Z pewnością jeszcze wrócę, ale już bez mojej... siostry.

Jej palce zamaryły w jego dłoni i zaraz potem nagle się rozluźniły. Reagowała na niego tak samo jak on na nią, a wiadomość, że nie jest żonaty, wywarła na niej stosowne wrażenie.

– Muszę zapakować wisiołek, *monsieur*. – Ashe rozluźnił palce. Nie nosiła obrączki.

Wsunął do kieszeni na piersi płaskie pudierko i włożył rękawiczki, czekając, aż Sara weźmie torebkę i parasolkę.

– Czy pani codziennie otwiera sklep?

– *Non*. To zależy wyłącznie od mojego kaprysu, *monsieur* – odparła dama od osobliwości, lekko ironiczna i znów bardzo francuska. Speszył ją, a takich rzeczy łatwo się nie wybacza. – Często wychodzę szukać nowych... osobliwości.

– Na przykład w porcie londyńskim?

Wzruszyła ramionami w sposób tak elegancki, że Ashe nabrał wątpliwości co do jej francuskiego pochodzenia. Kiedy spotkali się po raz pierwszy, jej akcent był przecież typowo angielski.

– Wszędzie tam, gdzie mogę znaleźć coś wartościowego dla moich klientów *monsieur*. Żegnam, *monsieur*, *mademoiselle*.

– *Au revoir* – zrewanżował jej się Ashe, z przyjemnością patrząc, jak zaciska usta. Podejrzewała, i to całkiem słusznie, że była to prowokacja.

Phyllida zamknęła drzwi na zasuwę i wycofała się na zaplecze. Jakby mało było tego, że na próżno usiłowała wyrzucić go z pamięci. Tym razem pojawił się jednak bez tego piekielnego ptaszyska, ale za to z czarującą siostrą, która wydawała się równie bystra jak urodziwa.

Ale kim on jest? Zapłacił gotówką, a to znaczyło, że nie należał do sfer wyższych. Wówczas wręczyłby jej po prostu swoją kartę i czekał na przysłanie rachunku. Poza tym Phyllida aż do wczoraj nigdy go nie widziała, a przecież znała każdego. Z pewnością był bogaty. Jego doskonałej jakości ubranie miało nieco egzotyczny krój. Siostra też wyglądała nieskazitelnie, a na szyi i w uszach nosiła najwspanialsze azjatyckie perły.

Czyżby bogaty kupiec? Może związany z Kompanią Wschodnioindyjską, co by tłumaczyło jego obecność w porcie. A może był właścicielem statku?

– *Bonjour, madame*. – Phyllida otworzyła drzwi i z szacunkiem skłoniła się przed lady Harington, która z energicznym skinieniem głowy wtargnęła do sklepu. Była stałą klientką, która najwyraźniej nie miała pojęcia, że spędziła dobre piętnaście minut na rozmowie z Phyllidą w jej szacownym przebraniu zaledwie dwa dni wcześniej na wieczorze muzycznym.

– Dostałam niewielką partię niezwykle eleganckich wachlarzy z Orientu, *madame*. – Wy-

jęła wachlarze z ich jedwabnych opakowań i rozłożyła na kontuarze. – Każdy z nich jest unikalny i ekskluzywny. Pokazuję je tylko klientom o najbardziej wyrafinowanych gustach. – Oczywiście cena jest odpowiednio wysoka – zdecydowała, widząc w oczach damy błysk pożądania. Naczelnym celem Phyllidy było wydzwignięcie ich z ruiny finansowej, co by pomogło zawrócić Gregory'ego z drogi do całkowitej degrengolady. Nic nie mogło stanąć jej na przeszkodzie.

– Dzięki za prezent, Ashe. – Sara wsunęła rękę pod ramię brata. Właśnie szli z St. James's Square i skręcili w prawo w Pall Mall. – Dlaczego udawałeś przed tą dziewczyną ze sklepu, że jesteście małżeństwem?

– Bardzo szybko wyprowadziłem ją z błędu, a zresztą to nie twoja sprawa.

Sara była najwyraźniej zainteresowana.

– Flirtowałeś z nią.

– A co ty wiesz o flircie, jeśli wolno spytać? Jeszcze nawet nie zaczęłaś bywać w towarzystwie. – Ashe aż nazbyt dobrze wiedział, jakie myśli, pragnienia i skłonności mogli mieć inni nieżonaci mężczyźni wobec jego pięknej, uroczej i niewinnej siostry.

– Owszem, w Kalkucie bywałam. Chodziłam na przyjęcia, pikniki i tańce. Właściwie wszędzie. – Sara przekrzywiła głowę i posłała mu figlarny uśmiech, który nappełnił go złymi przeczuciami. – Po prostu nie wiedziałeś, co robię.

– Tu jest zupełnie inaczej. Znacznie bardziej restrykcyjnie. Obowiązują sztywne zasady i przy najmniejszym potknięciu wybucha skandal. Dotyczy to szczególnie ciebie, co może być niesprawiedliwe, niemniej...

– Wiem. Młode damy muszą być bez skazy, niewinne jak niemowlęta. – Sara westchnęła z teatralną przesadą. – Szkoda, że nie jestem niewinna.

– Co takiego?! – Ashe stanął jak wryty. Nawet gdyby musiał wsiąść na statek i wrócić do Indii, żeby połamać ręce i nogi temu, kto się ośmielił choćby dotknąć jego młodszej siostry, to nie zawaha się ani chwili. – Sariso Melisso Herriard, masz mi natychmiast powiedzieć, co to za jeden!

– Nie ma nikogo takiego, głupku. Mówiłam czysto hipotetycznie. Chyba sobie nie wyobrażasz, że Mata jest jedną z tych idiotek, które nic swoim córkom nie mówią w nadziei, że w noc poślubną same się o wszystkim dowiedzą. Albo najzwyczajniej zostawiają te biedne nieświadome niczego dziewczyny na pastwę mężczyzn.

Ashe tylko jęknął. Oczywiście, że ich matka, wychowana jako indyjska księżniczka, znała starożytny teksty o sztuce miłości i przekazała swojej córce tę niezbędną wiedzę. Ashe jednak nawet nie chciał o tym myśleć.

– To udawaj, że nic nie rozumiesz – powiedział.

– Ależ oczywiście – odparła arcyskromnie. – No więc flirtowałeś, tak?

– Nie, ja nie flirtuję z prostymi francuskimi sklepikarkami.

– Hm, nie jestem przekonana, czy mamy do czynienia z prostą sklepikarką – zauważyła Sara. – Raczej myślę, że chciałaby za taką uchodzić. Może dlatego że ma kłopoty z takimi rozpustnymi dżentelmenami jak ty. – Zatrzymali się przed dość bezkształtną bryłą z czerwonej cegły, której pilnowało dwóch wartowników w szkarłatnych płaszczach.

– A to co znowu? – zapytała Sara, zanim Ashe zdążył się zainteresować, dlaczego nazwała go rozpustnym i skąd w ogóle mogła wiedzieć, co to znaczy.

– Pałac Świętego Jakuba – poinformował ją. – Jest bardzo stary.

– Moim zdaniem to bardzo kiepski pałac. Chyba najskromniejszy radza może się pochwalić czymś lepszym. – Sara z dezaprobatą zmarszczyła nos.

– Chodź, przejdziemy tędy do parku. – Ashe poprowadził ją koło wartowników, żeby ich nie aresztowali za obrazę majestatu czy cokolwiek innego.

– Szukasz kochanki? – nie dawała za wygraną Sara, kiedy szli do Green Parku korytarzem o nieprawdopodobnej nazwie Pasaż Dójk.

– Nie! – skłamał. Ale przecież nie będzie omawiał tych spraw z młodszą siostrą. Już o wiele za długo nie miał kobiety. Podróż trwała miesiącami, a statek był jak klasztor.

– Powinieneś poszukać żony. Tak powiedziała Mata. Ostatecznie w Londynie jest znacznie więcej kobiet, w których mógłbyś się zakochać niż wśród kalkuckiej socjety.

– Nie mam zamiaru się zakochiwać. Muszę znaleźć żonę stosowną dla wicehrabiego. – I do tego taką, która byłaby dziedziczką hrabiowskiego tytułu.

– Ale ojciec i Mata pobrali się z miłości. O, popatrz, tu się pasą krowy. Mam nadzieję, że nie są święte, prawda?

– Nie sądzę. – Ashe obrzucił wzrokiem stado bydła. – Chyba że Kościół anglikański nabrał nowych obyczajów. O, popatrz, tam są dójki albo pasterze, albo coś w tym rodzaju.

– Nasi rodzice zakochali się w sobie, zanim się dowiedzieli, że wuj ojca zmarł i że dziadek dziedziczy po nim tytuł – uświadomił jej brat. – Na wiadomość o tym Mata nawet uciekła przed ślubem, bo uważała, że nie będzie dobrą markizą.

– Wiem, ale to naprawdę śmieszne! Jest przecież inteligentna, piękna i dzielna – powiedziała z żarem Sara. Czegóż więcej trzeba?

– Mata urodziła się jako nieślubne dziecko kupca z Kompanii Wschodnioindyjskiej i hinduskiej księżniczki. Nie jest zwyczajną angielską arystokratką, musisz to przyznać. Tylko dlatego zgodziła się wyjść za ojca i przyjąć tytuł, że go kocha. Jak myślisz, dlaczego ojciec pozostawał w Indiach do ostatniej chwili?

– Myślałam, że nienawidzili się z dziadkiem.

Można było i tak opisać relację, w której zgorzkniały utracjusz na siłę, wbrew woli swojego siedemnastoletniego syna, wysyła go do Indii.

– Ojciec budował swoje życie, swoją reputację w Indiach. Nigdy nie zamierzał wracać do Anglii, szczególnie wobec różnych niepokoїв Maty, ale oboje wiedzieli, że to jest ich obowiązek. – Ashe wzruszył ramionami. – I pewnego dnia, mam nadzieję, będzie to moim obowiązkiem. Ale ja nie zamierzam narażać innej kobiety na to, przez co musiała przejść nasza matka. Tyle się nauczyłem... zrozumiałem, że ludzie gadają za jej plecami i oceniają, czekając na jej najmniejsze choćby potknięcie.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że może być aż tak źle. Mimo wszystko jestem naiwna... – Sara westchnęła. – Zrobię wszystko, żeby im jeszcze dodatkowo nie przysparzać kłopotów. – Posłała bratu uśmiech. – Wiesz, że potrafię być grzeczna, jeśli się postaram. Mam nadzieję, że kiedy znajdziesz odpowiednią żonę, to i ona będzie wsparciem dla Maty.

– Oczywiście – zgodził się Ashe i pomyślał, że w Anglii szukanie żony bardzo przypominało kupowanie konia. – A poza tym z pewnością będzie miała cenne koneksje, zarówno towarzyskie, jak i polityczne. – Ashe jeszcze niewiele wiedział o angielskiej polityce, ale intrygi na indyjskim dworze wydawały się dziecinną igraszką w porównaniu z tym, o czym czytał.

– Chciałabym znaleźć kogoś takiego, jak Mata znalazła w naszym ojcu. Biedny Ashe! – Sara krzepiąco ścisnęła brata za ramię. – Nie dla ciebie małżeństwo z miłości. – Powinien był odpowiedzieć szybciej, obrócić to w żart, bo Sara za dobrze go знаła. Po chwili zapytała: – Ale czy był ktoś taki?

– Owszem. Może... A zresztą nie wiem – wymamrotał, ale zaraz wziął się w garść i dodał pewnym głosem: – Sprawy nie zaszły aż tak daleko.

– Ale o kogo chodzi? – Kiedy nie odpowiadał, dopytała: – W Kalatwah?

– Tak.

– I zostawiłeś ją?

– Umarła.

To była jego wina. Od czasu Reshmi we wszystkich swoich związkach był ostrożny i uczciwy, ale zarazem szczery; nie pozostawiali nigdy żadnych niedomówień. Ani nie oczekiwali zobowiązań.

– To dawne dzieje, już teraz o niej nie myślę. – A przynajmniej się starał, bo ilekroć myślał, wracał ból, świadomość straty i wspomnienie słodczy jej ust. I poczucie winy, że ją zawiódł, mając nad nią tak wielką władzę.

Od tamtej pory nie szukał miłości. Nie chciał ponownie ryzykować tak wielkiej straty.

Sara nachyliła się do niego i położyła mu głowę na ramieniu, zbyt taktowna, by pytać dalej.

– Popatrz, doją krowy – odezwała się po chwili. – To niewiarygodne. Tuż koło pałacu! – Puściła jego ramię i ze śmiechem pobiegła przez trawę. Ashe ruszył za nią, otrząsając się ze wspomnień o Indiach. To już była przeszłość.

ROZDZIAŁ TRZECI

– Jakżeż elegancko tańczy pani córka, pani Fogerty. – Sądząc po ilości pieniędzy przeznaczonych na stroje jej córki i niemal chorobliwą poprawność jej manier, słowo „elegancko” musiało być komplementem miłym dla ucha jej nadopiekuńczej matki.

– Dziękuję bardzo – mizdrząc się, wycedziła matrona, a następnie posunęła się na tapicerowanej ławce, żeby zrobić miejsce dla Phyllidy. Jej wysiłki, by sobie przypomnieć, z kim ma przyjemność, były aż nazbyt widoczne, ale Phyllida jej nie pomogła. – Jej partner także wspianiale tańczy. – Pani Fogerty nie spuszczała z oka Gregory’ego.

– Hrabia Fransham? A, tak, to naprawdę bardzo stara rodzina. – Phyllida delikatnie poruszyła swoim niezwykłym wachlarzem, umożliwiając pani Fogerty rzut oka na antyczne kamee, które włożyła na tę okazję.

– To pani rodzina? – spytała starsza pani z nieskrywaną ciekawością.

– Krewny. – Gdyby doszło do regularnych zalotów, Phyllida była zdecydowana całkowicie usunąć się w cień. – Oczywiście mają znaczne dobra, no i wspianiałą wiejską rezydencję. Chociaż – zniżyła głos – jak to bywa w wielu szlacheckich starych rodach, środki, które by pozwalały na nowe inwestycje, są żałośnie skąpe.

– Czyżby? – Pani Fogerty zmrużyła oczy i ze szczególnym zainteresowaniem wpatrzyła się w nieskazitelną sylwetkę Gregory’ego i jego nienagannie skrojone ubranie. Phyllida z zadowoleniem odnotowała fakt wyraźnego zainteresowania pani Fogerty informacją, że młody człowiek poszukuje bogatej żony i że nie jest specjalnie wybredny co do koligacji.

Pan Fogerty, właściciel fabryki z Lancashire, człowiek, który do wszystkiego doszedł własnym wysiłkiem, plasował się wysoko na liście bogatych rodziców poszukujących zięcia o arystokratycznym pochodzeniu, a Emily Fogerty robiła wrażenie bystrej i sympatycznej osoby. Po kilku minutach rozmowy Phyllida przeprosiła i udała się na poszukiwanie panny Millington, jedynej córki bankiera, sir Ralpa Millingtona, a zarazem w jej opinii kandydatki idealnej.

– Phyllida Hurst! – krzyknęła hrabina Malling, która stała w pobliżu głównego wejścia do sali balowej.

– Łaskawa pani. – Phyllida dygnęła z uśmiechem. Na widok starszej pani połowa elity pierzchała, ale Phyllidzie, która za pozorami zgryźliwości potrafiła dostrzec dobre serce, wydawała się ona zabawna. – Ach, co za piękny toczek.

– Wyglądam w nim jak straszdyło. – Starsza pani poklepała się po głowie i uśmiechnęła zjadliwie. – Ale uważam, że jest śmieszny. Czym się ostatnio zajmujesz, moje dziecko?

Hrabina była w jakiś sposób skoligacona z matką Phyllidy i w znacznym stopniu przyczyniła się do zmniejszenia katastrofy, jaką było skandaliczne małżeństwo jej rodziców. Za jej też sprawą rodzeństwo Hurst nie zostało wykluczone z elity, dlatego Phyllida zawsze miała czas, by podzielić się z nią aktualnymi ploteczkami, poddać jej krytycznym uwagom swoje stroje i zapytać o zdrowie dwóch mopsów hrabiny, Herkulesa i Samsona.

– Pani pozwoli, że siądziemy?

– Żeby stracić wszystkie wejścia? Nonsens. – Lady Malling boleśnie szturchnęła Phyllidę w nadgarstek wachlarzem. – Podaj mi ramię, moje dziecko. – A to kto znowu? A, to tylko Georgina Farraday, jeszcze jaśniejsza blondynka niż zwykle. Ciekawe, kogo ona chce w ten sposób oszukać. – Orkiestra właśnie skończyła grać i głos starszej pani przebił się przez ogólny gwar.

Phyllida powstrzymała uśmiech.

– Nie mam odwagi tego komentować, *madame* – szepnęła.

– O, ale tu widzę coś bardziej interesującego. Oto prawdziwie męska sylwetka.

Phyllida nie mogła się ze starszą panią nie zgodzić. Stojący przy drzwiach mężczyzna, mniej więcej pod sześćdziesiątkę, miał wysportowaną sylwetkę. Srebrzystozłote włosy i wieczorowy strój dopełniały obrazu. Nieznajomy prowadził pod ramię piękną kobietę o śniadej złocistej cerze, z burzą ciemnych włosów ułożonych w misterną koafiurę.

– Ten mężczyzna jest niewątpliwie bardzo przystojny, podobnie jak jego towarzyszka; zobacz, jak ona się pięknie porusza. To musi być cudzoziemka. Może Włoszka, jak myślisz? – Rzeczywiście, krągłe kształty kobiety podkreślała dodatkowo suknia z jedwabiu w kolorze bursztynowym. Kiedy nieznajoma podeszła bliżej, z delikatnym uśmiechem na twarzy i z wysoko podniesioną głową, wszystkie inne kobiety wydały się przy niej dziwnie niezdarne. W tej parze było coś jakby znajomego. – Ależ oczywiście! – hrabina z satysfakcją skinęła głową, rada z właściwego skojarzenia. – To nie Włoszka, tylko Hinduska. Moja droga, to muszą być markiz i markiza Eldonstone. On wyjechał z Anglii jakieś czterdzieści lat temu. Był na bakier z ojcem, i trudno mu się nawet dziwić. Teraz stary drań umarł i wrócili do kraju. – Zapatrzyła się w nowo przybyłych i dodała: – Jego żona jest podobno córką hinduskiej księżniczki i jakiegoś bogatego kupca z Kompanii Wschodnioindyjskiej. Ciekawe, jak ją przyjmie nasza śmietanka towarzyska.

– Albo na odwrót. – Markiza wyglądała jak pantera w pomieszczeniu pełnym domowych kotów, doszła do wniosku Phyllida, podziwiając pełen godności spokój kobiety.

Po chwili para weszła w głąb sali i Phyllida oniemiała. Zaraz za nimi kroczył mężczyzna, którego spotkała w porcie, a potem w sklepie. Obok zauważyła jego siostrę. Nic dziwnego, że starsza para wydała jej się znajoma. Ich syn miał wzrost i szerokie ramiona ojca oraz ciemne włosy i śniadą cerę matki. Włosy dziewczyny przypominały złociste pasma widoczne jeszcze u mężczyzny, za to w ruchach miała urokliwą miękkość matki: przypominała wyrosnięte kocię pantery. W jej dekolcie lśnił wisior z kamienia księżycowego kupiony u Phyllidy.

Szok, jaki przeżyła, musiał być słyszalny. Stojąca obok niej dama chichotała bez skrępowania.

– A to będzie wicehrabia, spadkobierca tytułu, i do tego ta uroda... Taki mężczyzna ma szansę zawrócić w głowach tym młodym gołąbeczkom.

– Niewątpliwie – zgodziła się Phyllida i lekko się zarumieniła. – Ale jaka piękna córka, nie uważa pani? – Nagle Phyllida poczuła zawrót głowy. Myślała o nieznajomym całe dnie i oto się pojawił.

– Śliczna dziewczyna. Z klasą. Wszyscy oni mają klasę – oświadczyła starsza dama. – Ten wieczór zapowiada się interesująco. Idę się z nimi przywitać. Dołączysz do mnie?

– Raczej nie. Proszę mi wybaczyć, *madame*. – Phyllida wysunęła rękę spod ramienia starszej pani, jednocześnie wycofując się w stronę tłumu, który wpatrywał się w nowo przybyłych.

Phyllida usiadła w najbliższej wnęce, energicznie się wachlując. On – wicehrabia jakimś tam – był mimo wszystko członkiem elity i mając siostrę na wydaniu, na pewno wraz z całą rodziną spędzi tu sezon. To znaczy będzie tam, gdzie bywa i ona – na wszystkich towarzyskich wydarzeniach.

Czy w ogóle jest jakaś szansa na to, że jej nie rozpozna? Phyllida uznała, że musi się jakoś pozbierać i zacząć wreszcie myśleć racjonalnie. Ludzie widzą to, co chcą widzieć, poza tym z pewnością nie przyjrzał się jej tak dokładnie.

Zerknęła na swoje odbicie w najbliższym lustrze i przestała z niepokojem zagryzać dolną wargę. Tak jest zdecydowanie lepiej. W żaden sposób nie skojarzy elegancko ubranej pewnej siebie młodej damy, swobodnie poruszającej się na salonach, ze zdenerwowaną kobietą, którą całował w porcie. Ukrycie się na resztę sezonu nie wchodziło w grę. Miała przed sobą misję do spełnienia: dobrze ożenić brata.

Z fasonem złożyła wachlarz i ruszyła na poszukiwanie panny Millington z jej okazałym posagiem. Będzie krążyła wokół sali w tym samym kierunku, co Eldonstone'owie, tak żeby uniknąć spotkania twarzą w twarz z człowiekiem, którego jej alter ego, Madame Deaucourt, z pewnością nazwałaby *Le Vicomte Dangereux*. Na szczęście nie przyniósł ze sobą tego piekielnego ptaszyska. To by dopiero wywołało sensację.

– Wygląda na to, Ashe, że nie będzie kłopotu ze znalezieniem dla ciebie atrakcyjnej kandydatki na żonę – powiedziała do niego matka z szelmowskim uśmiechem.

– Obawiam się, że nie stanowią dla ojca żadnej konkurencji – szepnął jej w odpowiedzi do ucha. – Chyba musisz szybko coś z tym zrobić, bo jak nie, to porwie go jakaś frywolna wdówka albo kochliwa matrona.

– Nonsens. Nicholas da sobie radę. – Anusha Herriard położyła dłoń na ramieniu syna i skinęła głową w stronę Sary, która stała w grupie młodych kobiet i mężczyzn, prowadząc ożywioną rozmowę. – Zresztą twoja siostra również.

Pani Richmond rozpoczęła prezentacje, ale Herriardów szybko wchłonął tłumek, gdzie przedstawiano się sobie wzajemnie.

– Idź, kochanie, porozmawiaj z jakimiś młodymi kobietami – próbowała zachęcić Ashe'a matka. – To cię trochę ożywi. Ja tymczasem uwolnię waszego tatę i zajmę się Sarą.

Ashe uśmiechnął się do matki i rozpoczął spacer wokół sali balowej. Jako mężczyzna, któremu nie towarzyszyła żadna partnerka, nie mógł nawiązać rozmowy z żadną kobietą, uprzednio nieprzedstawiony, co było zaskakująco wygodne.

Bardzo wygodne, pomyślał, błędząc wzrokiem po głębokich dekoltach i nieosłoniętych twarzach niezamężnych kobiet swobodnie rozmawiających z mężczyznami spoza rodziny. Wkrótce do tego przywyknę, powiedział sobie w duchu, nawiązując kontakt wzrokowy z wyjątkowo urodziwą blondynką.

Nagle jego spojrzenie przykuła zielona suknia. Panny ubierały się na białe albo pastelowe, matrony nosiły głównie jaskrawe kolory. Ta zielona suknia była czymś niezwykle i uroczym w swojej świeżości. Oparty ramieniem o filar Ashe obserwował, jak jej właścicielka rozmawia.

Miała burzę ciemnych włosów upiętych w kok, z którego wymykał się jeden kosmyk, opadając na ramię. Ashe wyobrażał sobie, jak go nawija na palec, niemal czuł jego jedwabisty dotyk. A gdyby tak powyciągał z tych włosów wszystkie szpilki i pozwolił im rozsypać się na ramiona i piersi tej piękności...?

Po chwili do obserwowanych przez niego kobiet dołączył wysoki młody mężczyzna i cała trójka poszła na parkiet. Ashe wyteżył wzrok, obserwując, jak idzie, od czasu do czasu zatrzymując się, żeby z kimś grzecznościowo zamienić kilka słów. Trzy lata spędzone w środowisku, w którym kobiety zasłaniały twarze *dupattas*, długimi na wpół przezroczystymi szalami, nauczyły go rozpoznawania kobiet po sposobie chodzenia, sylwetce i po gestach.

Dlatego nie miał wątpliwości, że już gdzieś się spotkali. Ale gdzie?

Zaintrygowany, ruszył w tym samym kierunku co ona, tylko po przeciwnej stronie sali. Pomimo dość powolnego kroku, jaki nakazywała moda, dostrzegał w niej siłę, celowo tłumioną energię, tak jakby wołała biec niż iść, jakby dzień był za krótki na to wszystko, co zamierzała zrobić.

Ashe już zaczął fantazjować, kiedy ktoś go zatrzymał.

– Clere!

Zapamiętany w swojej przyjemnie erotycznej pogoni, Ashe potrzebował chwili na uprzytomnienie sobie, że chodzi o niego. Zatrzymał się i skinął mężczyźnie, który go pozdrowił.

– Hardinge.

– Dobrze się pan bawi?
– Jeśli mam być szczerzy, to gorączkowo próbuję przypomnieć sobie nazwisko – skłamał Ashe, żeby zatrzeć niekorzystne wrażenie. Podobał mu się ten mężczyzna, bystry, energiczny, z błyskiem humoru w oku.

– Chodzi o kogoś konkretnego?
– Tak się właśnie zastanawiam... – odparł Ashe – ...kim może być ta brunetka w jasnozielonej sukni. Wygląda mi znajomo, ale nie potrafię sobie przypomnieć, kto to taki.
– Mam pana przedstawić? – Mężczyzna już ruszał w stronę nieznaną. – To siostra Franshama.

Domyślił się, że chodzi o tego wysokiego mężczyznę, którego odprowadziła na parkiet.
– Panna Hurst? – zagadnął Hardinge, kiedy znaleźli się na miejscu.
– Lord Hardinge. – Jej uśmiech był spontaniczny i szczerzy. Ashe zauważył ciepłe piwne oczy, białe zęby i urocze rumieńce na wydatnych kościach policzkowych... W tym momencie nieznaną odwróciła się do niego z uśmiechem i zaraz potem pobladła, jakby cała krew odpłynęła jej z twarzy.

– Panno Hurst? Czy pani się dobrze czuje? – Hardinge wyciągnął rękę, ale kobieta szybko rozpostarła wachlarz i trzymając go przed twarzą, zaczęła się nim energicznie chłodzić.

– Przepraszam za tę chwilę słabości. Tak tu gorąco. – Głos miała lekko ochrypnięty.
Ashe natychmiast stracił głowę. Wachlarz wysłał w jego stronę słodki, subtelny zapach jaśminu i w tej chwili ją rozpoznał. Nie dalej jak wczoraj te piwne oczy ciskały błyskawice, kiedy oddalał usta od jej ust.

– Pani pozwoli, że ją odprowadzę do krzesła. – Ashe wsunął rękę pod ramię dziewczyny i wyjął wachlarz z jej dłoni. – O, proszę bardzo. – Wskazał uchylone okno, przesłonięte rzędem palm w doniczkach. Pod nim stała akurat dwuosobowa ławeczka. – Wszystko już w porządku, Hardinge, ja się panią zajmę, a pan może zainteresuje się jakąś lemoniadą? – W ten sposób pozbędzie się go przynajmniej na kilka minut.

Panna Hurst nie protestowała, kiedy ją prowadził wśród palmowych liści do tapicerowanej ławeczki.

– Jak pan może?! – syknęła wściekła. – Co pan robi?
Ashe z całym rozmysłem prowokacyjnie uniósł brew. Im bardziej jest zła, tym mniej będzie nad sobą panowała.

– Co robiłem, kiedy się spotkaliśmy? – Zaczął punkt po punkcie wyliczać na palcach. – Zszedłem z pokładu statku, zrobiłem zakupy z siostrą, a teraz przyszedłem z rodziną na bal. Same niewinne zajęcia, panno Hurst czy jak tam się pani naprawdę nazywa. – Ma pani mi coś do zarzucenia?

– Pan mnie śledzi... czy może jest to po prostu koszmarny przypadek...? – Westchnęła i oparła się o ciężką brokatową kotarę, jakby nagle uszły z niej siły.

– Różnie na mnie mówiono, ale jeszcze nikt nie nazwał mnie koszmarnym przypadkiem – odparł Ashe. – O, idzie Hardinge z lemoniadą. – Bardzo dziękujemy. Mam nadzieję, że panna Hurst czuje się już troszkę lepiej. – Ja tu z nią chwilę posiedzę i przypilnuję, żeby nikt jej nie przeszkadzał. – Uśmiech Ashe'a miał potwierdzać jego całkowitą bezinteresowność.

– Clere, panno Hurst... – Hardinge zrozumiał aluzję i wyniósł się, zostawiając ich samych w liściastym gniazdku.

– Dziękuję, lordzie Clere. – Panna Hurst wypila lemoniadę. – Gdyby nie pan, nie wymagałabym pomocy.

Ashe'a kusilo powiedzieć, że w ten sposób mówią wszystkie dziewczyny, ale jedno spojrzenie na jej minę wystarczyło za ostrzeżenie.

– Hardinge nie miał okazji mnie przedstawić. Skąd pani zna moje nazwisko? – Czyżby o niego pytała?

– Znam pański tytuł, i to wszystko. Robiłam wszystko, żeby uniknąć spotkania z panem – dodała cierpko.

– Nazywam się Ashe Herriard, panno Hurst. Czy odgrywa pani jeszcze jakieś role?

– Miał pan okazję poznać je wszystkie. – Przyglądała mu się z lekko przechyloną głową. Przypomniała mu tym Lucyfera. – Ashe. Czy to hinduskie imię? Znam pewnego kupca w porcie imieniem Ashok. Od lat prowadzi tu przeróżne interesy, ale mówi, że pochodzi z Bombaju. – Uśmiechnęła się. – Prawdziwy łotr.

– Nie, to imię pochodzi od rodziny mojej babki po mieczu. Jeśli pani sobie życzy, to służę kompletem: George Ashbourne Talish Herriard.

– Talish?

– Król ziemi.

– Ten element wydaje się... bardzo stosowny – zauważyła cierpko panna Hurst. W dalszym ciągu siedziała odchylona do tyłu, wachlując się z lekka, ale atmosfera rozmowy znacznie się rozluźniła.

– To istotnie brzmi trochę zbyt górnołotnie – zgodził się Ashe. – To po moim pradziadku, radży Kalatwah.

– Naprawdę? – Panna Hurst usiadła prosto, unosząc łukowate ciemne brwi. – Czy to znaczy, że jest pan księciem? Czy mam złożyć ukłon? – Ashe wyczuł sarkazm w jej głosie.

– Moja babka była księżniczką, co wywołało w rodzinie mojej matki, która miała ojca Anglika, pewien zamęt – wyjaśnił, nieoczekiwanie wywołując u niej uśmiech. – Jestem tylko wiechrafią z tytułem honorowym.

– Pańska matka jest bardzo piękna. – Ashe skinął głową w geście podziękowania. – A ojciec wybitnie przystojny. Wyobrażam sobie, że większość obecnych tu kobiet straciła dla niego głowę.

– Musiałyby stawić czoło mojej matce, a ona nie jest łagodna jak baranek.

– Baranek? Ona mi się raczej kojarzy z panterą – zauważyła panna Hurst.

– Trafne porównanie – zgodził się. – Jak pani na imię? To niesprawiedliwe, żebym tego nie wiedział, skoro pani zna moje.

Nie spuszczała z niego czujnych piwnych oczu.

– Indyjska swoboda, lordzie Clere?

– Raczej chorobliwa ciekawość, panno Hurst.

To wywołało nowy wybuch śmiechu, który Phyllida natychmiast powstrzymała, jakby się przestraszyła, że na chwilę straciła czujność.

– Phyllida. Przyznam, że to imię jest dla mnie pewnym obciążeniem.

– Ale to piękne imię. Czy w porcie, w sklepie i na sali balowej miałem przyjemność z Phyllidą Hurst, czy może nosi pani jakieś inne imiona, których nie dane mi było poznać?

– Nic więcej nie zdradzę, lordzie Clere.

– Nie? – Przez dłuższą chwilę patrzył jej w oczy, a potem jego wzrok powędrował od czubka wymyślnej fryzury, przez nobliwe kamee spoczywające na pięknym białym wzniesieniu jej biustu, wzdłuż smukłych kształtów ukrytych pod suknią z zielonego jedwabiu, aż do maleńkich czółenek wystających spod rąbka spódnicy. – To wielka szkoda.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Rumieniec pojawił się najpierw w dekolcie panny Hurst, a potem rozlał się na szyję i policzki. Coś wspaniałego, pomyślał Ashe, jak zamrożony sorbet polany sokiem z granatu w upalny dzień.

Ile mogła mieć lat? Dwadzieścia pięć lub dwadzieścia sześć... Atrakcyjna, bystra, elegancka, a jednak panna. Dlaczego? – zastanawiał się Ashe. – To musi mieć coś wspólnego z jej podwójnym życiem.

- Byłabym zobowiązana, gdyby pan nie wspominał nikomu, że już wcześniej się spotkaliśmy. – Powiedziała to całkiem spokojnie, ale Ashe podejrzewał, że jest to dla niej sprawa znacznie poważniejsza, niż chciała się do tego przyznać.

– Członkom elity towarzyskiej nie przystoi pracować w sklepie, prawda?

– Z całą pewnością nie.

– Żałuję wobec tego, że mój dziadek ze strony matki był namiestnikiem prowincji w Indiach. – Ashe nie przejmował się specjalnie tym, co ludzie myślą o jego pochodzeniu, ale był ciekaw jej reakcji.

– Jeśli był nieprzyzwoicie bogaty i już nie żyje, to spadkobierca tytułu hrabiowskiego nie ma się czym przejmować. Socjeta jest wyjątkowo zmienna i wybiórcza w uprzedzeniach. – Phyllida naraz zrobiła dość ponurą minę. – Przynajmniej jeśli chodzi o mężczyzn. Z kobietami jest zgoła inaczej.

– Mógłbym pani zniszczyć reputację taką plotką?

– Owszem, i dobrze pan to wie. Kobiety nie mogą prowadzić sklepów ani nigdzie chodzić bez męskiej opieki, w szczególności do portu. Czy jako chłopiec często obrywał pan muchom skrzydełka, lordzie Clere?

Ashe odczuł nagle wyrzuty sumienia. Ta sprawa musiała być dla panny Hurst śmiertelnie poważna. Ciekawe jednak, dlaczego w ogóle musiała ona pracować. Czyżby tak bardzo brakowało jej pieniędzy na własne wydatki?

– Bardzo przepraszam, nie chciałem pani obrazić. Obiecuję, że nikomu nie zdradzę pani sekretu.

Muzyka ucichła i goście zaczęli schodzić z parkietu. Ashe doszedł do wniosku, że już dłużej nie może się ukrywać z Phyllidą Hurst za palmami. Jeszcze ktoś to zauważy i pomyśli, że to schadzka, co by z pewnością naruszyło jej reputację.

– Czy zechce pani zatańczyć, panno Hurst?

Ashe miał nadzieję, że sprostą zadaniu. Zdecydowanie wyszedł z wprawy, a poza tym do chwili ich wyjazdu walc jeszcze nie zdążył dotrzeć do Kalkuty.

– Ale ja nie tańczę – odparła panna Hurst. – I naprawdę nie chciałabym pana dłużej zatrzymywać...

– Rozumiem. Ale proszę jeszcze tylko powiedzieć, czy pani naprawdę wcale nie tańczy?

– Po prostu nie lubię i brak mi poczucia rytmu – odparła.

Kłamczucha, skwitował w duchu. Przez cały czas kiedy siedzieli na ławeczce pod oknem, bezwiednie przytupywała nogą w takt muzyki. Miała ochotę zatańczyć, ale z jakichś względów nie chciała. Ciekawe, stwierdził Ashe i wstał.

– No cóż, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko życzyć pani miłego wieczoru, panno Hurst. Może się jeszcze kiedyś spotkamy, na przykład oglądając wystawy na Jermyn Street.

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe. Ceny na tej ulicy są zdecydowanie za wysokie

jak na moją kieszeń. Dobranoc, lordzie Clere.

Ashe skłonił się i odszedł, starając się trzymać z daleka od jej kryjówki. Patrząc na wirującą w walcu parę, doszedł do wniosku, że absolutnie nie obejdzie się bez profesjonalnych lekcji tańca.

Ashe pomyślał ponownie o pannie Hurst. Zastanawiał się, czy pozna jeszcze jakieś inne niezamężne kobiety, które łączyłyby w sobie jej urodę, styl, charakter i bystrość. Był przekonany, że wszystkie panny do wzięcia są do siebie podobne: ładne, mizdrzące się i jednakowo nudne.

Poszukiwanie żony mogło się okazać znacznie bardziej interesujące, niż sobie wyobrażał. Panna Hurst, z jej pachnącymi skandalem tajemnicami, była troszkę starsza od większości niezamężnych kobiet, ale z pewnością wciąż mogła mieć dzieci, a sklepu można z łatwością się pozbyć.

Odnalazł rodziców, którzy przyglądali się Sarze pogrążonej w rozmowie z gromadką niemalże jednakowych dziewcząt.

– O, jesteś. – Matka położyła mu rękę na ramieniu, żeby go zatrzymać. – Pozwoli pani, lady Malling, że jej przedstawię mojego syna, wicehrabiego Clere. Ashe, oto hrabina Malling.

Ashe przywitał się z. Była to ta sama osoba, która towarzyszyła Phyllidzie, kiedy przyszli. I ta sama, która rozmawiała z młodym człowiekiem, najpewniej jej bratem.

– Może pani będzie mogła mi powiedzieć, kim jest ten wysoki, ciemnowłosy mężczyzna stojący o tam, tuż obok lilii?

– To Gregory Hurst, hrabia Fransham – wyjaśniła usłużnie hrabina. – Kawał przystojnego łotra.

– Zaraz... czy ja się przypadkiem nie mylę? Wydawało mi się, że dama, z którą go widziałem, jest jego siostrą, ale została mi przedstawiona jako panna Hurst...

– Ach, tak – lady Malling ściszyła głos – ona jest jego starszą siostrą. Niestety, z przykrością muszę powiedzieć, że ich rodzice pobrali się dopiero po jej urodzeniu. Cóż to był za skandal w tamtych czasach! Niestety, oznacza to, że panna Hurst pochodzi z nieprawego łoża, a co za tym idzie, jest niskiego pochodzenia.

– Ale przecież jest przyjmowana na salonach?

– O tak. Prawie w każdym domu, oczywiście z wyjątkiem dworu królewskiego i Almacka. To czarująca osoba... Ale nie sądzę, żeby była odpowiednią kandydatką na żonę. Bo nawet pomijając jej nieszczęsne urodzenie, to przecież nie ma żadnego posagu. Bóg raczy wiedzieć, jakim cudem ona się tak dobrze ubiera i skąd ma na przykład te kamee. No a Fransham to szalała i żaden materiał na zięcia. Z wyjątkiem hrabiowskiego tytułu naturalnie. Moim zdaniem może liczyć co najwyżej na córkę bogatego kupca.

Do diabła! – zaklął w duchu Ashe. Ekscentryczność to jedno, ale pochodzenie z nieprawego łoża, brak posagu i na dodatek wątpliwa działalność handlowa – wszystko to razem stanowiło przeciwieństwo tego, co chciałby widzieć w kandydatce na żonę...

Spojrzał na matkę, owoc miłości hinduskiej księżniczki i kupca z Kompanii Wschodnioindyjskiej żyjącego w separacji z angielską żoną.

– A więc bycie dzieckiem z nieprawego łoża nie oznacza, że nie ma się wstępu na salony – zauważyła jego matka, jakby czytała w myślach syna.

Jedno spojrzenie na lady Malling powiedziało mu, że jest doskonale zorientowana co do jej paranteli.

– Naturalnie, że nie – potwierdziła starsza pani – wszystko zależy od rodziców i zachowania. No i od jej pozycji społecznej.

– Czyli od pieniędzy – dodała chłodno matka Ashe'a.

– Naturalnie – przytaknęła i zachichotała matrona, niemal niedostrzegalnie strzygąc

okiem w stronę kompletu jej wspaniałych birmańskich szafirów. – Sfery wyższe ustanawiają reguły, by potem je naginać do siebie. Proszę mi powiedzieć, lady Eldonstone, w które dni pani przyjmuje.

– We wtorki, w środy i piątki – odparła Mata. I tylko jej rodzina wiedziała, że wymyśliła to na poczekaniu. – Mam nadzieję, że nie każe nam pani na siebie długo czekać na Berkeley Square, lady Malling.

– Z całą pewnością nie.

Ashe spojrział w drugi koniec sali. Phyllida Hurst zapadła się pod ziemię.

Łgarz i potwór. Phyllida przemknęła przez tłum gości i schowała się w damskiej gotowalni. Nie chciała dłużej znosić zuchwałego spojrzenia Ashe'a Herriarda, a nie mogła wymierzyć mu policzka.

Najpierw z nią flirtował – ba, nawet więcej – a kiedy się dowiedział, kim ona jest, zadał jej cios.

Opadła na stołek przed lustrem, groźnym wzrokiem patrząc na swoją wzburzoną twarz.

Jakżeż byłam głupia, że wyobrażałam sobie, że jestem debutantką flirtującą z mężczyzną, który mógłby mi zaproponować małżeństwo. Jakżeż byłam głupia, w ogóle marząc o małżeństwie... – upomniała się w myślach

– Czy coś się stało? – Phyllida nie zauważyła, że na sąsiednim stołku usiadła panna Millington.

– Mężczyźni! – odpowiedziała z goryczą Phyllida, upinając włosy.

– O mój Boże...! Jakiś jeden szczególny czy wszyscy? Muszę przyznać, że bardzo mi się podoba pani brat, panno Hurst. To świetny tancerz i szalenie zabawny towarzysz. Mam nadzieję, że nie on panią zirytował, prawda?

– Gregory? W żadnym razie. – Gregory zachowywał się tego wieczoru nienagannie. – Nie, to taki jeden kompletnie pozbawiony taktu pyszałkowaty drań. Mam nadzieję – dodała mściwie – że te jego za ciasne jedwabne portki rozprują mu się w najbardziej intymnym miejscu!

Panna Millington dosłownie wybuchła śmiechem. Wtedy Phyllida wyobraziła sobie półnagiego hrabiego Clere i już po chwili śmiały się obydwie.

– Owszem, jest bardzo przystojny i ma doskonałą figurę, ale taki widok to chyba jednak nam się nie trafi.

– A może by pani zechciała nas odwiedzić, panno Hurst? – Dziewczyna zawahała się. – To zapewne z mojej strony zbyt duża poufałość, ale pomyślałam, że mogłybyśmy się zaprzyjaźnić...?

Phyllida rozejrzała się szybko dokoła. Na szczęście były same.

– Skoro połączyła nas wspólna chęć studiowania klasycznych rzeźb czy może nawet anatomii...? – powiedziała z szelmowskim uśmiechem. – Bardzo chętnie. Proszę mówić do mnie Phyllida.

– A ja jestem Harriet. – Panna Millington wsunęła rękę do torby. – O, proszę, to jest wizytówka mamy. Przyjmujemy we wtorki i czwartki.

– Bardzo dziękuję. Ogromnie się cieszę.

Phyllida, już w znacznie lepszym nastroju, lekko przyprószyła pudrem ryżowym zarumienione policzki i wyruszyła na poszukiwanie Gregory'ego.

Znaleźli się niemal natychmiast, oboje najwyraźniej gotowi wracać do domu.

– Wywiązałem się w stosunku do wszystkich sześciu wskazanych przez ciebie panien – powiedział Gregory, podając siostrze płaszcz. – Jeśli zostanę tutaj choćby chwilę dłużej, pogubię się w tych wszystkich córkach bankierów, dziedziczkach fabrykantów i latoroślach kapitanów statków z grubymi portfelami.

– A jak ci się podobała panna Millington? – zagadnęła Phyllida, kiedy brat pomagał jej wsiąść do dorożki.

– Panna Millington? To ta wysoka brunetka z ładnym uśmiechem. Muszę powiedzieć, że ma styl.

– Zatem mam dla ciebie dobrą wiadomość. Uważa cię za świetnego tancerza, zaprosiła mnie do domu i zostałyśmy przyjaciółkami. Naprawdę bardzo mi się spodobała ta dziewczyna.

– Mnie również – przyznał Gregory.

– Teraz tylko musi się w tobie zakochać. Uważaj, aby nie wplątać się w jakiś skandal, bo zaniepokoisz jej kochającego tatę i nasz plan spali na panewce.

– Dobrze. Wrócimy do tego po śniadaniu, zgoda? – zachichotał Gregory. – Dołożę wszelkich starań, żeby być grzecznym chłopcem, Phyll.

Phyllida utrzymała optymistyczny nastrój przez czas krótkiej podróży do domu oraz podczas przygotowań do snu.

Kiedy jednak zgasiła świeczkę, położyła się i zamknęła oczy, obraz, jaki jej został pod powiekami, nie przedstawiał szczęśliwej pary na ślubnym kobiercu, tylko twarz Ashe'a Herriarda, na której malował się pogardliwy uśmiezek.

Nieczuły, bezczelny arogant, pomyślała i uderzyła pięścią w poduszkę. – Twoja opinia nie jest warta funta kłaków i powiem ci to prosto w oczy, jeśli jeszcze kiedykolwiek będę miała nieszczęście cię spotkać.

Nazajutrz o piątej rano okazało się jednak, że po mściwych myślach nie zostało śladu i że zastąpiło je zawstydzenie zmieszane z pożądaniem. Uniosła się na poduszkach, żeby w mroku przedświt udczytać na małym zegarku godzinę.

Próby ponownego zaśnięcia skończyły się niepowodzeniem. Przewracała się z boku na bok, wspominając gorący dotyk jego warg na swoich ustach i elegancję, z jaką siadał na ławeczce pod oknem. Takie myśli w stosunku do człowieka, który nią pogardzał za jej niefortunne urodzenie, nie były niczym przyjemnym.

W końcu Phyllida odrzuciła kołdrę i wyjrzała przez szparę między zasłonami. Zapowiadał się ładny dzień. Stwierdziła, że jeśli nie może spać, to przynajmniej zażyje trochę ruchu na świeżym powietrzu. Spacer po Green Parku dobrze jej zrobi i pozytywnie nastroi na cały ranek.

Woda w stągwi była zimna, ale to nie miało znaczenia. Phyllida włożyła zwykłą sukienkę, buty z krótką cholewką, upchnęła włosy w siatce, wzięła czepek i zarzuciła szal na ramiona.

Wkrótce obudzi się Anna i będzie sobie szykowała śniadanie w kuchni. Mogłyby razem zjeść i iść na spacer.

Spotkały się w połowie schodów.

– Co pani robi o tej porze na nogach, panno Phyllido?

– Zamierzam zjeść z tobą śniadanie, a potem iść na spacer.

– Mam nadzieję, że nie sama! – Dziewczyna poszła do pompy i napełniła wodą spory czajnik. Miała czterdzieści kilka lat i była brzydka, twardo stąpającą po ziemi osobą z przeszłością, o której wołała nie mówić.

– Nie, nawet o tej godzinie ktoś mógłby mnie zobaczyć, a to by była plama na mojej nieskazitelnej reputacji. – Phyllida wzięła z pojemnika kawałek chleba i rozejrzała się za nożem.

– A tego w tej chwili raczej nie chcemy ryzykować, prawda? – powiedziała Anna uszczypliwie. Była u Phyllidy od sześciu lat, wiedziała o sklepie i nie miała żadnych oporów przed szczerością.

– To chyba oczywiste – zgodziła się Phyllida z równie poważną miną. – Więc pójdę teraz na żwawy spacer, a ty weź pled i jakieś pismo, usiądź sobie na jednej z ławek i obserwuj okolicę.

Wyruszyły zaraz po szóstej, klucząc w płataninie uliczek tak, żeby dojść do Green Parku. Dokoła nich dzielnica St. James's dopiero się budziła do życia. Służące zamiatały frontowe schodki, inne brały koszyki i wyruszały na wczesne zakupy. Do tylnych wejść licznych klubów i sklepów obsługujących to skupisko arystokratów, utracjuszy i dam lekkiego prowadzenia, a także szacownych zjadaczy chleba podjeżdżały wozy dostawcze. Łagodne stoki wzgórz pokrywała miejska zabudowa ciągnąca się aż do tudorowskiego Pałacu Świętego Jakuba i dalej do parku o tej samej nazwie.

O tym, że jest to teren zbyt niebezpieczny jak na spacer o wczesnym poranku, Phyllida wiedziała doskonale. Ze swoich miejsc pracy w okolicznych krzakach wynurzają się wtedy damy lekkich obyczajów i im podobne podejrzane nocne osobniki, wśród których zdarzali się strażnicy spieszący do swoich baraków po obsłudze swojej zgoła odmiennej klienteli.

Ranne ptaszki wśród jeźdźców wybierają długie trasy Hyde Parku, pozostawiając w spokoju Green Park przynajmniej do dziewiątej.

– Możesz sobie usiąść i poczytać, a ja się tymczasem przejdę do Constitution Hill i z powrotem – zaproponowała Phyllida, kiedy skręciły w Queen's Walk w stronę Piccadilly. – Chyba że masz ochotę iść ze mną.

– Wygląda na to, że przyda się pani mały spacer – zauważyła Anna. – I to raczej samotny. Kto panią tak zdenerwował?

– A, taki jeden hrabicz, który dopiero co przyjechał do miasta i przeżył szok na wiadomość o tym, że nieświadomie wdał się we flirt z kobietą z nieprawego łoża.

– Głupek – skwitowała. – Jak pani mogła tak się dać zdenerwować komuś takiemu? – Cóż było na to odpowiedzieć? Zresztą Anna i tak wiele mogła wyczytać z milczenia Phyllidy. – Wygląda na to, że do tej pory się pani podobał.

– I owszem – przyznała Phyllida i wzruszyła ramionami.

– Przystojny?

– I to jeszcze jak! A do tego świetnie o tym wie.

– Najlepiej więc niech się panienka przejdzie i zapomni o tym półgłówku. – Anna rozejrzała się po ławkach. – A ja usiądę sobie o tam, w słońcu.

– Dziękuję ci, Anno. – Porcja zdrowego rozsądku dziewczyny pomogła jej otrząsnąć się z przykrych rozmyślań. – Gdybyś zmarła, to wyjdź mi naprzeciw.

Phyllida pomachała Annie i oddaliła się w stronę Queen's House, położonego w drugim końcu parku. Wdychając zapach zieleni, która po zimie budziła się do życia, od razu poczuła się lepiej. Silna i zdecydowana, mogła stawić czoło niedorzecznym marzeniom.

Z koron drzew zrywały się gawrony, zajęte budowaniem gniazd, kawki wykonywały w powietrzu najróżniejsze akrobacje ni to bawiąc się, ni to łącząc w pary. Przed nią na ścieżce stadko srok walczyło o jakąś zdobycz, kiedy nagle wylądowało pośród nich coś, co spadło z góry niby kamień, powodując, że ptaki jak na komendę wzniosły się w górę. Nagle intruz odwrócił w jej stronę szary łepiek z potężnym czarnym dziobem i spojrzał na nią inteligentnymi oczami.

– Lucyfer!?! – Ptak w podskokach ruszył w jej stronę. – Wynocha, ohydne ptaszysko. Sio!

Nagle Phyllida usłyszała za sobą na murawie tętent końskich kopyt. Wielki gniady koń przemknął obok niej, a potem zatoczył koło i zwolnił, gdy jeździec ściągawszy wodze, podjechał do niej stępa.

– Do mnie, Lucyferze. – Ptak zatrzepotał skrzydłami, wzbił się w górę i usiadł na ramieniu mężczyzny, wprawiając wierzchowca w lekkie zdenerwowanie. Jeździec jedną ręką uspokoił konia, a drugą uchylił przed Phyllidą kapelusza.

– Przepraszam panią bardzo za Lucyfera, panno Hurst, ale wyraźnie sobie panią upodobał.

No oczywiście, pomyślała, lord Clere.

ROZDZIAŁ PIĄTY

– Nie jest to sympatia odwzajemniona, zapewniam pana. – Dlaczego lord Clere nie mógł jeździć sobie po Hyde Parku, jak wszyscy? Dlaczego stronił od popołudniowych przejażdżek w modnym towarzystwie? Dlaczego wreszcie w ogóle nie wyjechał z kraju?

– Podejrzewam, że ten brak sympatii dotyczy także i mnie – odezwał się. – Mimo to czy mogę towarzyszyć pani w jej spacerze?

– Nie mogę tego panu zabronić. Park jest miejscem publicznym. – Jej odpowiedź była bardzo nieuprzejma, ale Phyllida się tym nie przejmowała. Ruszyła przed siebie, ptak sfrunął szukać w trawie pożywienia, a Ashe zaś zsiadł z konia.

– Naprawdę? Czyżby to był rzeczywiście park publiczny? Tak myślałem, ale nie widzę tu innych jeźdźców. Zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie naruszyłem którejs z ważnych zasad etykiety. – Z tego, co mówił, bynajmniej nie wynikało, że się chociaż trochę przejmuje tymi zasadami.

– Modnym miejscem przejażdżek jest Hyde Park – poinformowała go Phyllida. – Nawet o tej porze dnia właśnie tam udają się ci, którym zależy na samotności czy dłuższej przejażdżce galopem. Szczerze polecam panu to miejsce.

Ashe zignorował aluzję i jak gdyby nigdy nic, szedł obok niej; palcat wetknął sobie pod łokieć, w drugiej ręce trzymał wodze.

Phyllida zastanawiała się gorączkowo, czego mógł od niej chcieć. Czyżby zamierzał złożyć jej jakąś nieprzyzwoitą propozycję?

– Właśnie wybierałem się do Hyde Parku, ale spojrzałem na mapę i ta droga wydała mi się atrakcyjniejsza od ulic miasta. Nie miałem nadziei, że panią zobaczę.

– Dlaczego miałby pan mieć taką nadzieję? – zapytała lodowatym tonem Phyllida.

– Żeby panią przeprosić.

Stała jak wryta.

– Przeprosić? – Była to ostatnia rzecz, której się po nim spodziewała. Podniosła wzrok, a on spojrzał jej prosto w oczy. Nawet w zwykłym stroju dżentelmena robił wrażenie z lekka egzotyczne i niepokojące.

– Za moje wczorajsze zachowanie. Nie mam żadnego wytłumaczenia dla swojego braku manier poza tym, że dowiedziałem się, kim jest pani brat, i nie mogłem zrozumieć, skąd u pani brak tytułu. Wyjaśnienie lady Malling wprawiło mnie w konfuzję i wtedy, w natłoku tych myśli, zaskakujących i nieuporządkowanych, zobaczyłem pani uśmiech...

– A pan musi koniecznie swoje myśli uporządkować, milordzie? – Phyllida nie wiedziała, jak zinterpretować jego słowa.

– Moja świadomość jest jak biurko splądrowane przez włamywaczy – przyznał. – Nawet teraz, po trzech miesiącach morskiej podróży, muszę się ciągle pilnować, żeby myśleć po angielsku. Tyle zasad etykiety mam do opanowania, tak bardzo różnych od tego, co obowiązuje w europejskim środowisku Kalkuty, i tak odległych od tego, co znam z dworu mojego ciotecznego dziada, gdzie spędziłem kilka ostatnich lat, że naprawdę gubię się w tym wszystkim.

– Pan zapewne nie chciał wracać do Anglii... – zagadnęła Phyllida. Z jego tonu wywnioskowała, że nie chodziło o to, że sobie z tym wszystkim nie radzi; po prostu irytowało go, że musi sobie tymi sprawami zaprzętać głowę, choć jednocześnie uznawał ich wagę. To interesujące. Większość elity uważała, że przynależność do śmietanki towarzyskiej Londynu, z całą dbałością o każdy najdrobniejszy nawet szczegół etykiety, jest największym przywilejem.

– Jedyna osoba, wobec której słowo „wracać” zostało właściwie użyte, to mój ojciec. Dla mojej matki i siostry ten kraj jest tak samo obcy jak dla mnie. W każdym razie wczoraj obraziłem panią i dlatego chciałbym ją przeprosić.

– Wybaczam panu – odparła szczerze i zapytała: – Cóż więc zamierza pan teraz ze sobą zrobić, lordzie Clere?

– Przez cały sezon pozostaniemy w Londynie. Moja siostra jest debiutantką i trzeba ją wprowadzić do towarzystwa. Poza tym musimy się ubrać, no i trzeba coś zrobić z naszym miejskim domem po piętnastu latach zaniedbania. Ponadto muszę się nauczyć obowiązków wicehrabiego, spadkobiercy tytułu i angielskiego dżentelmena. No i oczywiście potrzebuję lekcji tańca... – dodał ponuro, co wywołało nieoczekiwane uśmiech na jej twarzy.

W pewnym momencie skręcili ze ścieżki w kierunku Queen’s House. Phyllida rozejrzała się dokoła i stwierdziła, że znaleźli się na skraju parku w pobliżu miejsca, w którym Constitution Hill zbiegała się z Knightsbridge Road.

– Tu można przejść na skróty do Hyde Parku. A to jest Knightsbridge Turnpike – wskazała ręką.

– W pobliżu musi być też ujeżdżalnia. Miałem zamiar poszukać jej po przejeździe. – Ashe zagwizdał. Wielkie ptaszysko zatrzepotało skrzydłami, wzniosło się w górę i usiadło na płocie, łakomym wzrokiem patrząc na tasienki czepka Phyllidy.

– Takich rzeczy młoda dama wiedzieć nie może, milordzie. – Zrobiła niewinną minkę. – Ale tak, jest tuż za rogiem, za St. George’s Hospital.

Ashe zręcznie dosiadł konia.

– Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy, panno Hurst. Zwłaszcza gdy już trochę lepiej się poznaliśmy.

Phyllida uniosła rękę w geście pożegnania. Przez chwilę patrzyła, jak Ashe włącza się w ruch uliczny, kierując w stronę parku. Był zdumiony i zaskoczony tym, czego się dowiedział na jej temat, i zresztą szczerze to powiedział. Ale zachował się bardzo uczciwie, skoro było go stać na takie szczerze wyznanie, pomyślała, wracając do Anny.

Musiała mieć się na baczności.

Miał wyjątkowe szczęście, stwierdził Ashe, kierując wynajętego wierzchowca w stronę Rotten Row. Ich spotkanie przebiegło wprost idealnie; żałował jedynie, że nie dowiedział się, gdzie mieszkają. Nie chciał bowiem składać jej niezapowiedzianej wizyty w sklepie. Elegancka, inteligentna i urodziwa była przy tym wystarczająco dojrzała, by nie rozczulać się nad serduszkami i kwiatkami i nie oczekiwać nieszczerych deklaracji miłości.

Do licha, jest doskonała, stwierdził w duchu. Podobała mu się, uważał ją za atrakcyjną, a przecież w najmniejszym nawet stopniu nie przypominała Reshmi, jego zmarłej miłości.

Szczerze mówiąc, nie miałby nic przeciwko temu, żeby ją poślubić choćby nawet jutro, skracając w ten sposób swe męczarnie poszukiwania kandydatki na żonę. Tyle tylko że Phyllida Hurst była dzieckiem z nieprawego łoża, a jakby tego było mało, miała jakieś potajemne życie, które w razie ujawnienia całkowicie by ją skompromitowało. Ponadto, jej brat także nie cieszył się nieskazitelną opinią, jak nie omieszkała zauważyć ta odrażająca lady Mallings.

Ostatniego wieczoru odkrył, że Phyllida ma dwadzieścia sześć lat. Ciekawe więc, co by powiedziała na romans... Przeszedł go rozkoszny dreszcz i zdał sobie sprawę, że od kiedy dowiedział się prawdy o niej, nie opuszczała jego myśli.

– Rozmawiałem z tym... z tym Hindusem. – Gregory wszedł do salonu i jak zwykle leniwym ruchem opadł na sofę.

– Rozumiem, że masz na myśli Ashe’a, lorda Clere, tak? – Garść sztucznej biżuterii, którą Phyllida kupiła właśnie od handlarza w Siedmiu Tarczach, przeleciała jej między palcami i zsu-

nęła się do szkatułki.

Wyglądało na to, że jej brat nie miał talentu przyzwoitki.

– Aha, to ty go poznałaś, tak? Ciekawy facet. Zna się na koniach i do tego siedzi na pieniądzach.

– Mam nadzieję, że nie wróciłeś do grania? – Serce Phyllidy zabiło mocniej. – Czyżby wszystkie postanowienia i obietnice jej brata poszły w niepamięć?

– Ależ skąd! – Gregory wyglądał na urażonego. – Zajrzałem po prostu do ujeżdżalni, żeby zapalić i pogadać, wiesz. Clere kupił dla siebie dwa konie pod wierzch, ładną młodą klaczkę dla swojej siostry i parę koni cugowych.

– Wielkie nieba! – Phyllida odsunęła biżuterię i zaczęła liczyć w myślach. – To przecież majątek! I to na raz.

– Owszem. Ale dokonał doskonałego wyboru. Pamiętasz tę parę pięknych siwków, które Feldshore musiał sprzedać, żeby spłacić swoje karciane długi? Wspaniałe konie... Clere obszedł je dokoła, kazał przekłusować i orzekł, że są za słabe w pęcinach. Masz pojęcie?

– Niesamowite – zgodziła się Phyllida, próbując sobie przypomnieć, co to takiego może być „pęcina”. – Mam nadzieję, że go na to wszystko stać. – Bez trudu wyobraziła go sobie jako radzę w pałacu i paradujące przed nim niewolnice.

– Jego dziadek był nababem. Ojciec jest markizem, a on jako jedyny syn dziedziczy po nim tytuł. Muszą spać na pieniądzach – powiedział Gregory z zyczliwą zazdrością.

– A jego babka była hinduską księżniczką. – Phyllida nie mogła się powstrzymać przed dodaniem tej informacji.

– Wygląda na to, że naprawdę z nim rozmawiałaś.

– Mhm.

– To pewnie się ucieszysz, kiedy cię powiadomię, że go zaprosiłem na obiad.

– Co takiego? – Naszyjnik wysunął jej się z palców i z grzechotem wpadł do szkatułki.

– Nie jesteś zadowolona? – Wesoly zwykle Gregory spochmurniał. – Czy zachował się wobec ciebie niewłaściwie? A może powiedział coś niestosownego? Jeśli tak...

– Nie, nie! – zaprzeczyła szybko. – Nic takiego nie miało miejsca. On... on po prostu nie wiedział o naszych rodzicach... A kiedy się dowiedział, okazał zdziwienie. To wszystko... Po-tem jednak przeprosił.

Gregory miał w dalszym ciągu chmurną minę.

– On ci się podoba, Phyl, prawda?

Zdobyła się na smutny uśmiech i wzruszenie ramion.

– Jest inteligentny i atrakcyjny. A także interesujący w rozmowie.

– Na pewno będzie szukał żony – wtrącił ostrożnie Gregory.

– Wiem, tego można się było spodziewać. – Poczula nerwowy skurcz żołądka.

– Skoro mu się spodobałaś, mógł się tobą zainteresować, ale potem dowiedział się... – brnął dalej Gregory, jakby czytał siostrze w myślach.

– Że jestem nieodpowiedniego pochodzenia. I tyle. Nie miej takiej tragicznej miny, Gregory. Lord Clere i ja rozmawialiśmy, ot i wszystko. Niczym się nie różni od innych młodych mężczyzn, z którymi mamy kontakty towarzyskie. Naprawdę nie przywiązuję żadnej szczególnej wagi do tej znajomości.

Skłamała. Prawda była taka, że po raz pierwszy poczuła żal, że nie jest właściwą kandydatką na żonę dżentelmena. Ashe Herriard zachwiał jej równowagę. Podobał jej się i nie był jej obojętny. Tylko że konsekwencje wyboru, jakiego dokonała w wieku lat siedemnastu, oznaczały, że małżeństwo z arystokratą jest wykluczone ponad wszelką wątpliwość.

– Powiem mu, że mamy problemy z kuchnią, i zaproszę go do White’a – zaproponował.

– Nie bądź głupi! – Skąd się wziął jej promienny uśmiech? – Obiad proszony to przyjemność. Zaraz, kogo jeszcze moglibyśmy zaprosić? Musi być przynajmniej osiem osób, inaczej byłoby to krępujące. Może panna Millington? Jeżeli zaprosimy jakieś małżeństwo, to jej rodzice nie powinni mieć nic przeciwko temu. Lucy i kuzyn Peter to idealny wybór, nie sądzisz? Jestem przekonana, że pani Millington uzna towarzystwo baroneta i członka parlamentu za właściwe dla córki.

– To sześć osób. Zaproszę jeszcze Hardinge’ów, zgoda?

– Pani Millington będzie w siódmym niebie! Hrabia, baronet, wicehrabia i baron. Nie wyobrażam sobie, żeby nie puściła Harriet. A na który dzień zaprosiłeś lorda Clere?

– Powiedziałem, że muszę się z tobą porozumieć i dam mu znać. Robił wrażenie zadowolonego. – Gregory znów się zasępił. – Lepiej, żeby nie zabawiał się twoim kosztem, Phyll.

– On się nie zabawia moim kosztem, w żadnym razie. Zobaczmy, czy środa będzie dla wszystkich dogodnym dniem.

– List do pana, milordzie. – Herring wyciągnął w stronę Ashe’a srebrną tackę.

Ashe podważył palcem pieczęć z czerwonego wosku i rzucił okiem na pismo.

– Moje pierwsze zaproszenie na obiad – wyjaśnił ojcu, który siedział naprzeciwko niego, studiując opinię rzeczoznawcy dotyczącą stanu wiejskiej rezydencji w Hertfordshire.

– Spotkanie kawalerskie?

– Najwyraźniej nie, choć to od Franshama. Spotkałem go dzisiaj w ujeżdżalni. Twierdzi, że zaprosił hrabiostwo Hardinge, pana Petera Blacketta, członka parlamentu, z żoną, i niejaką pannę Millington, kimkolwiek ona jest.

– Twoja matka też grozi wydaniem obiadu proszonego. – Lord Eldonstone zrobił jakąś notatkę przy kolumnie cyfr i rzucił plik papierów na boczny stolik. – U nas pewnie nie skończy się na siedmiu osobach przy stole.

– Ośmiu, jeżeli gospodynią będzie siostra Franshama.

Ashe mógłby przysiąc, że idealnie panował nad głosem, ale mimo to jego ojciec uniósł brew.

– Panna Hurst? Robi wrażenie inteligentnej i wytwornej młodej kobiety. No cóż, niestety biedaczka miała nieodpowiedzialnego ojca.

– Właśnie – zgodził się Ashe. A poza tym jest tajemnicza, pachnie jaśminem, ma cięty język i nie mogę przestać o niej myśleć. – Czy lektura pisma od rzeczoznawcy jest przygnębiająca?

Ojciec Ashe’a się skrzywił.

– Czegoś takiego się spodziewałem. Nie dość, że majątek był zaniedbywany, to jeszcze mój ojciec wyciskał z niego każdego pensa.

– Z pewnością pochłonie dużo pieniędzy. Może nie powinien wydawać tak dużo na konie?

Markiz potrząsnął głową.

– Bez trudu damy sobie z tym radę. Kiedy się doprowadzi majątek do porządku, nie będzie trzeba do niczego dokładać. Myślałem o tym, żeby w przyszłym tygodniu wybrać się tam na kilka dni. Pojechałbyś ze mną?

Na statku ustalili, że zanim zjadą tam całą rodziną, Tompkins każe wysprzątać dom i uzupełnić wszelkie braki, zaangażuje więcej służby i ogólnie zadba o to, żeby dom nadawał się do zamieszkania. Zapewnianie sobie odpowiedniej pozycji towarzyskiej, wprowadzanie Sary na salony, a także nieustanne spotkania z prawnikami i przedstawicielami banków siłą rzeczy odsunęło sprawę wiejskiej rezydencji na dalszy plan.

– Tak szybko? – Ashe uświadomił sobie, że jego stosunek do siedziby w Hertfordshire jest dość obojętny. Angielska wieś była mu obca, wiedział jednak, że to właśnie dobra ziemskie

określają status angielskiego arystokraty i ten nieznan dom jest jego przeznaczeniem i powinnością.

Uśmiechnął się ponuro pod nosem i odpowiedział:

– Oczywiście, ojcze. Z przyjemnością się tam przejadę. – Ojciec potrzebował wsparcia, chociaż nigdy by się do tego nie przyznał. – Ostatecznie na wsi nie trzeba tańczyć walca. – No i nie ma tam niepokojąco pięknej panny Hurst.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nadeszła środa. Ashe, podobnie jak reszta rodziny, zebrał bogatą kolekcję kart z połączonymi brzeżkami do przejrzania, w związku z czym Edwards, nowy sekretarz markizy, miał pełne ręce roboty: jednym trzeba było podziękować, innym grzecznie odmówić.

Ten obiad będzie skromnym początkiem jego życia towarzyskiego w Londynie, stwierdził Ashe, przyglądając się wąskiej kamienicy przy Great Ryder Street. W środku nie znalazł niczego z przytłaczającego przepychu miejskiej rezydencji Herriardów, czego szczerze gospodarzom zazdrościł. Mimo to wewnątrz charakteryzowała pełna elegancji prostota, zarówno w dekoracji, jak i w wystroju, świadcząca nie tylko o dobrym guście Phyllidy, ale i jej talencie do okazyjnych zakupów.

– Lordzie Clere! Jakże miło, że znalazł pan dla nas czas. Witamy. – Gospodarz zbliżył się do niego z wyciągniętą ręką, jednocześnie dokonując prezentacji. Hardinge powitał go jak dobrego znajomego, a jego żona okazała ujmującą życzliwość. Potem przyszła kolej na baroneta i zarazem członka parlamentu, niejakiego pana Blacketta, chudego i bardzo poważnego mężczyznę, z małżonką, której pulchność i jowialność rekompensowały niedostatki męża. Listę zamykała panna Millington, przedstawiona przez gospodarza jako przyjaciółka siostry. Sądząc z ukradkowego, pełnego zainteresowania spojrzenia, jakie posyłała Franshamowi, nie był to jedyny powód jej obecności.

Phyllida weszła w momencie, kiedy rozmawiano o pogodzie tego ranka.

– Dla lorda Clere to, jak sądzę, głęboka zima – zauważyła z uśmiechem. – Proszę przyznać: dla pana nasze mizerne wiosenne słońce nie jest warte swojej nazwy, prawda?

– Muszę przyznać, że nie było mi ciepło od chwili, kiedy minęliśmy Gibraltar – odparł Ashe – ale mam nadzieję, że w lecie temperatury osiągną poziom właściwy indyjskiej zimie, pan-no Hurst. A na razie dosłownie pławię się w ciepłe powitania, jakie mnie spotkało w Londynie.

Hardinge zachichotał.

– To dopiero odpowiedź godna dyplomaty!

– A i owszem, w pewnym sensie nim byłem. Przez kilka lat pełniłem funkcję asystenta radcy Kalatwah, mojego ciotecznego dziada, co wymagało umiejętności budowania sojuszy i rozwiązywania trudnych spraw.

– Jakimi językami się pan posługiwał, jeśli wolno wiedzieć? – zapytał sir Peter.

– Hindi i perskim. Znam też kilka tamtejszych dialektów, ale raczej słabo – przyznał.

– Musimy pana skierować do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. – Ashe nie wiedział, czy poważnie traktować tę deklarację.

– To bardzo interesująca perspektywa. Na razie jednak muszę się zająć rodzinnymi majątkami. Mój dziadek nie poświęcał im tyle czasu, ile wymagały.

Innymi słowy, cały czas pił, grał w karty i oddawał się rozpuście. Wyglądało jednak na to, że goście doskonale o tym wiedzieli.

– Podano do stołu.

Pokojówka, która zaanonsowała obiad, musi być ich jedyną służbą domową, doszedł do wniosku Ashe, kiedy towarzystwo ruszyło parami do stołu. Phyllida podała mu ramię jako najwyższemu rangą gościowi i poprowadziła go do stołu.

– Zamierza pan spędzić w mieście sezon towarzyski, lordzie Clere? – zagaiła rozmowę lady Hardinge, kiedy każdy zajął swoje miejsce.

– Matka uznała, że to odpowiednia pora, by wprowadzić moją siostrę do towarzystwa,

a ponieważ dopiero przyjechaliśmy z Indii i mamy do załatwienia, jak się zapewne pani domyśla, wiele spraw, spędzenie sezonu towarzyskiego w Londynie wydało nam się ze wszech miar rozsądne. Ja jednak czuję się tylko dodatkiem do mojej siostry i matki, jeśli można tak powiedzieć, i w pewnym sensie sam z sezonu nie korzystam.

– Mam nadzieję, że mimo wszystko nie oprze się pan jego urokom – wtrąciła lady Blackett z chichotem. – Co za szczęśliwa okoliczność, że nie jest pan już w żałobie...! Jak domniemywam, pan również ma małżeńskie plany, lordzie Clere. Słyszałam ostatnio plotkę, że na rynku matrymonialnym pojawił się nowy niezwykle atrakcyjny kawaler... Czyżby chodziło o pana?

– Och, nie mam z tą plotką nic wspólnego, droga pani. Dodam nawet, że brzmi to dość niepokojąco. – Oczywiście powinien czym prędzej znaleźć żonę, ale nie zamierzał występować w roli zwierzyny łownej.

– A nawet przerażająco – wtrącił scenicznym szeptem Hardinge, wzbudzając ogólny śmiech. – Radziłbym w każdym razie jak zarazy unikać klubu Almacka – dodał.

– Czyżby pan nie czytał *Dumy i uprzedzenia*, lordzie Clere? – zapytała Phyllida, a kiedy potrząsnęła głową, zacytowała: – *Jest prawdą powszechnie znaną, że samotnemu a bogatemu mężczyźnie brak do szczęścia tylko żony*. Obawiam się, że wszystkie polujące matrony będą miały pana na uwadze.

– To istotnie brzmi niebezpiecznie, będę musiał obmyślić jakąś strategię obronną – odparł Ashe. – Zdarzało mi się do tej pory stawiać czoło tygrysom, więc może i w tej sytuacji sobie poradzę.

– Prędzej czy później i tak pan się podda, Clere – zauważył Fransham z uśmiechem. – I ja byłem kiedyś taki płochliwy, ale teraz zaczynam dostrzegać zalety małżeństwa. – Mówiąc to, nie patrzył w stronę panny Millington, która mimo to zaczerwieniła się z lekka.

– Zapewne – przyznał Ashe – ale wolę sam dokonywać wyborów, zamiast być zwierzyną łowną.

– Dość już tego znęcania się nad biednym lordem Clere – przyszła mu w sukurs Phyllida wśród ogólnych wybuchów śmiechu. – Po Londynie oczekiwał wystawnych przyjęć i wyrafinowanych dysput, a tymczasem znalazł się na skromnym obiedzie wśród frywolnych przyjaciół.

– Czarujących frywolnych przyjaciół – skorygował gospodynię Ashe. Mówiąc to, pochwycił jej spojrzenie i posłał jej uśmiech. Ile ciepła jest w tych piwnych oczach i jak pięknie ona wygląda, kiedy jest szczęśliwa, pomyślał mimowolnie i jego oczy musiały go zdradzić, bowiem Phyllida zarumieniła się nagle i spuściła wzrok.

– To na razie wszystko, dziękuję ci, Jane. Zadzwoń, kiedy będę cię potrzebowała – zwróciła się do pokojówki. Następnie wdała się w rozmowę z lordem Hardinge na temat opery, na której jej gość nie miał okazji być w ubiegłym tygodniu, i dyskusja zeszła na teatr i sztukę.

Ashe dołączył do rozmowy, głównie w roli słuchacza, chłonąc wiadomości z takim samym zaangażowaniem, jakby to była jedna z oficjalnych misji, w których jeszcze tak niedawno uczestniczył.

Oczywiście każda informacja o tym nowym dla niego świecie była cenna, ale Ashe łapał się na tym, że coraz pilniej wsłuchuje się w słowa Phyllidy. W roli gospodyni była niezastąpiona. Potrafiła podtrzymywać rozmowę, nadając jej interesujący bieg, a jednocześnie zdradzając wiedzę i szerokie zainteresowania w dziedzinie kultury. Z taką kochanką na pewno by się nie nudził...

Zapewne w grę mogłaby wchodzić tylko poważniejsza, długotrwała relacja, a nie krótki romans, jakimi się zadowalał po śmierci Reshmi. Jej odejście odcisnęło na nim bolesne piętno, które kazało mu obiecać sobie, by nigdy już nie angażować się uczuciowo.

– Podobno pojawiła się na rynku bardzo ciekawa chińska porcelana – zauważył sir Peter,

przerywając rozmyślenia Ashe'a. – Nie mam pojęcia, czy to plotka, czy prawda, ale ma zostać wystawiona na aukcji. Z tego jednak, co wiem, nie zajmuje się tym żaden z dużych domów handlowych.

– Podobno to potwierdzona informacja, a owa porcelana jest bardzo cenna, ale właściciel chce z jakichś względów sprzedać go bezpośrednio sklepom – wtrąciła Phyllida. Wszyscy spojrzeli na nią z grzecznym zdumieniem. – To znaczy... ostatnio na wieczorze muzycznym przypadkiem usłyszałam rozmowę na ten temat... Ktoś narzekał, że przez to ich cena szybko wzrosnie.

– Muszę przyznać, droga Phyllido, że na chwilę oczami wyobraźni zobaczyłam, jak w obskurnym portowym magazynie oglądasz te cuda – wyznała lady Blackett i zachichotała. – Wiem, jak kochasz piękną porcelanę... ale cóż by to był za skandal?! – Wszyscy się roześmiali, a Ashe zauważył, że śmiech Phyllidy jest wymuszony, a uśmiech jej brata nieco sztuczny. Nikt jednak zdawał się tego nie dostrzegać.

– Nie mówiąc już o niebezpieczeństwie – dodał Ashe. – Z tego, co miałem okazję zobaczyć, nie jest to miejsce odpowiednie dla damy.

Tym razem spojrzenie Phyllidy nie wywołało u niego erotycznych fantazji.

– Istnieją godne współczucia kobiety, które chcąc nie chcąc, muszą w tamtym miejscu prowadzić interesy, lordzie Clere. A jest to dla nich niebezpieczne dlatego, że bywają narażone na ataki mężczyzn, którzy tam na nie czyhają.

– Tak, ale to dotyczy kobiet pracujących. Zresztą wiele z nich nie jest lepszych od... – sir Peter urwał, uświadamiając sobie, że znajduje się w towarzystwie mieszanym. – Cóż... miałem na myśli, że nie są to godne szacunku damy. Pojawienie się kobiety z towarzystwa w tamtym miejscu byłoby prawdziwym skandalem.

Rozległ się szmer aprobaty dla tych słów, kiedy nagle, ku zdumieniu Ashe'a, głos zabrała panna Millington.

– Wiele pań z towarzystwa prowadzi działalność charytatywną na terenie East Endu, by osobiście nieść pomoc nawet tym nieszczęsnym kobietom, o których mówił sir Peter z taką pogardą.

Potem rozmowa zeszła na problem dobroczynności i tego, jak najlepiej wspierać potrzebujących. Ashe wzbudził zainteresowanie swoimi opowieściami o *sadhu*, którzy ubrani jedynie w skąpe szaty i pokryci grubą warstwą mieszaniny popiołów z wodą żyją tylko z datków przechodniów.

– Ci ludzie są nadzy? A co z paniami? Przecież chyba panie nie mogą uniknąć takiego widoku? Czyż to nie jest publicznie gorszące? – dopytywała lady Hardinge.

– W Indiach nagość też może być szokująca. Wszystko zależy od kontekstu – wyjaśnił Ashe. – Moja matka i siostra nie mają żadnych oporów przed wrzucaniem datków do miski nagego *sadhu*, ale na przykład widok domownika spacerującego po mieszkaniu bez koszuli byłby dla nich gorszący. – Goście w dalszym ciągu patrzyli na niego z niedowierzaniem, więc kontynuował: – Czyżby angielskie damy nigdy nie oglądały rzeźby z okresu klasycznej Grecji, nie podziwiały nagości za jej estetyczne walory?

Gromkim śmiechem zebrani goście przyznali mu rację.

– Ale trudno porównywać biały zimny marmur z żywym ciałem – zaprotestowała Phyllida. – Gdybym na przykład spotkała spacerujące po Green Parku marmurowe rzeźby z kolekcji lorda Elgina, te w naturalnych kolorach, byłabym zszokowana. – Ashe pochwycił jej spojrzenie skierowane do panny Millington, która najwyraźniej powstrzymywała śmiech, jakby łączył je jakiś wspólny sekret.

Doszedł do wniosku, że młode niezamężne kobiety wcale nie są tak mało zainteresowane

mężczyznami, jak się tego po nich oczekuje. Wyobraził sobie Phyllidę, jak ogląda erotyczne rzeźby zdobiące niektóre sale w pałacu radży w Kalatwah. Niewątpliwie byłaby zawstydzona, ale zapewne i trochę podniecona...

W oczach lorda Clere Phyllida dostrzegła lekkie rozbawienie i zachwyt, co wywołało na jej twarzy rumieniec. Ten człowiek najwyraźniej czytał w jej myślach. Prowokator, który potrafił flirtować, nawet wtedy gdy nie używał słów.

Phyllida pochwyciła zainteresowanie pań.

– Panie pozwolą?

Jeszcze drzwi salonu na dobre się za nimi nie zamknęły, kiedy Lucy Blackett wykrzyknęła:

– Cóż za atrakcyjny mężczyzna! I jaki egzotyczny z tą złocistą cerą. Skrzętnie go ukrywałam, kuzynko Phyllido.

– Ależ w żadnym razie! To znajomy Gregory’ego. Poznali się parę dni temu w ujeżdżalni i wtedy Gregory go zaprosił. Żał mi całej tej rodziny. Nagle znaleźli się w obcej im Anglii, z całym tym ogromnym zaniedbanym majątkiem... To musi być dla nich bardzo trudne.

Panie były wyraźnie rozczarowane tym, że Phyllida nie chce się przyznać do potajemnych motywów, jakie ją miały skłonić do zaproszenia Ashe’a. Tymczasem rozmowa zeszała na inne tematy i po chwili do pań dołączyli panowie.

Reszta wieczoru upłynęła w miłej atmosferze. W końcu przysza Jane z wiadomością, że zajęchały powozy, i goście ruszyli do wyjścia.

Z kuchni przysza pokojówka Harriet, a Gregory zaofiarował się, że odprowadzi pannę Millington do domu.

– Chyba się nie mylę, sądząc, że pani brat interesuje się panną Millington?

Phyllida odwróciła się i zobaczyła Ashe’a.

– Mam nadzieję – przyznała. Jane trzymała jego kapelusz, laskę i rękawiczki, ale Ashe nawet nie wyciągnął po nie ręki. – Bardzo ją lubię.

– Czy mógłbym przed wyjściem zamienić z panią parę słów, panno Hurst?

Phyllida zorientowała się, że – nie licząc służby – jest sama w domu. Będzie musiała poprosić Jane, żeby usiadła w rogu pokoju albo zadzwonić po Annę. Z drugiej strony taka dbałość o zachowanie pozorów wydała jej się nazbyt pruderyjna.

Wróciła do salonu i zauważyła, że Ashe zostawił uchylone drzwi, co przyjęła z ulgą. Naraz zabrakło jej powietrza. Usiadła i gestem wskazała gościowi krzesło, ale Ashe nie skorzystał z zaproszenia; wolał stać.

– Pani zamierza wybrać się samotnie do tego magazynu z porcelaną, prawda? – zapytał bez żadnych wstępów.

Owszem. Jeśli to, co na ten temat słyszała, potwierdzi się chociaż w połowie, kupi tyle, na ile ją będzie stać, i doskonale na tym zarobi. Postanowiła jednak się do tego nie przyznawać.

– Jeszcze się ostatecznie nie zdecydowałam, lordzie Clere.

– Owszem, zdecydowała się pani, wyczytałem to w pani oczach... I jestem zmuszony pani tego zabronić. Tam jest niebezpiecznie.

Phyllida wstała, różowy muślin jej sukni zaszeleścił.

– Pan nie ma prawa mi niczego dyktować, lordzie Clere.

– Czyż nie jest obowiązkiem dżentelmena chronić każdą damę?

– Mam brata, sir.

– Pani brat albo o to nie dba, albo nie jest w stanie pani kontrolować. – Ashe oparł się o krzesło, najwyraźniej nie przejmując się ani jej tonem, ani widocznym na czole marszem.

– Skoro jesteśmy sami, to pozwolę sobie uświadomić panu, że prowadzę interesy. Mam

dwadzieścia sześć lat i nie podlegam już niczyjej kontroli. Potrzebuję natomiast przedmiotów wyjątkowych, najwyższej jakości, a ta porcelana wydaje się właśnie taka.

– Ja ją kupię w pani imieniu.

Phyllida z wrażenia usiadła z mało elegancką gwałtownością.

– Pan? A co pan wie o porcelanie?

– Założę się, że przynajmniej tyle co pani. – Ashe opadł na krzesło obok niej. – Wychowałem się w jednym z wielkich miast Wschodu o kilkusetletniej tradycji handlowej. Mój dziadek piastował wysokie stanowisko w Kompanii Wschodnioindyjskiej, a ostatnie trzy lata życia spędziłem na dworze niezmiernie bogatego księcia z pasją kolekcjonerską.

– Proszę mi wybaczyć, ale tylko ja wiem, jaki towar ma szansę się sprzedać w moim sklepie i jakie są moje możliwości finansowe.

– Wobec tego będę pani towarzyszył. – Ashe był sympatyczny, a nawet się uśmiechał, ale robił wrażenie człowieka niezłomnego.

– I sprzątnie mi pan sprzed nosa najlepsze okazy, tak?

– Teraz, kiedy już wiem o tej kolekcji, odnalezienie jej nie będzie dla mnie żadnym problemem. Nie muszę pani towarzyszyć, mogę po prostu iść tam jutro i zgarnąć wszystko to, co najatrakcyjniejsze.

– Och...! – Phyllida nie była przyzwyczajona do tego, by napotykać takie ograniczenia.

– Pan nie jest dżentelmenem, sir – powiedziała z lodowatą stanowczością, zdecydowana pokazać mu, gdzie jest jego miejsce.

– Owszem, jestem. – Ashe Herriard wstał, sprawiając, że Phyllida zacisnęła zęby, zirytowana nonszalancją jego zachowania. Jakiś przewrotny kobiecy instynkt kazał jej patrzeć na niego, podziwiać go i w pewnym sensie zabiegać o jego względy.

Ashe stanął naprzeciwko niej i wyciągnął ręce. Zaskoczona, odpowiedziała na ten gest. Czy według obyczaju indyjskiego był to gest oznaczający kapitulację? Machinalnie dała się pociągnąć i wstała z krzesła.

– Ja po prostu nie jestem angielskim dżentelmenem – powiedział i przyciągnął ją do siebie tak blisko, jakby mieli tańczyć walca lub jakby miał ją pocałować...

Jeśli tylko się waży, wymierzę mu policzek, postanowiła, ale nie próbowała uwolnić się z jego uścisku. Spojrzała w zielone oczy, w których zawsze igrało rozbawienie.

– Zostałem wychowany tak, żeby rozumieć dżunglę i jej niebezpieczeństwa. Wasz East End to nic innego, jak właśnie dżungla, tyle że bez tygrysów i kobr. Nie zgodzę się na to, żeby kobiety zapuszczały się tam bez męskiej opieki. I to pozostaje poza wszelką dyskusją. Możemy jednak negocjować warunki ugody – oświadczył Ashe. – Jeśli pani mi obieca, że nie wybierze się tam bez mojej eskorty, ja zobowiązę się nie kupować nic, dopóki pani nie dokona wyboru.

– Ale nie możemy tam pojechać wytornym powozem z herbem na drzwiach. – Phyllida wiedziała, że tym samym przyznała się do kapitulacji. – Musimy wziąć dorożkę.

– Naturalnie. Przecież nie będziemy się afiszować z bogactwem – zgodził się Ashe. – Pani doskonale wie, że tego wymaga zdrowy rozsądek... I dlaczego jako kobieta rozsądna czuje pani niezadowolenie?

Ze wszystkich pochlebstw, jakie mógł o niej powiedzieć, „rozsądna” nie mieściło się w jej kategorii komplementu. Choć niewątpliwie taka była intencja Ashe’a. Mimo to ich palce dalej pozostawały splecione. Stał tak blisko, że czuła zapach drzewa sandałowego.

Jej rozsądek gdzieś się chwilowo ulotnił.

– Bo oznacza to, że uległam – wyrzuciła z siebie w końcu.

Ashe nie poczuł się urażony; uniósł tylko ciemne brwi w grymasie zdziwienia.

– Tak bardzo mnie pani nie lubi?

– Doskonale pan wie, że nie o to chodzi. Nie rozumiem tylko, czego pan ode mnie chce i dlaczego pan podtrzymuje naszą znajomość... Poszukuje pan żony, a ja nie jestem kandydatką, którą mógłby brać pod uwagę ktoś o pana pozycji. Co więc pozostaje?

– Przyjaźń? – zasugerował po krótkiej przerwie Ashe.

Phyllida nie spuszczała z niego wzroku.

– W angielskim społeczeństwie mężczyźni i kobiety się nie przyjaźnią. Chyba że są blisko ze sobą spokrewnieni.

– Ale dlaczego nie mielibyśmy zachowywać się niekonwencjonalnie? Ubóstwiam nowatorskie doświadczenia.

Phyllida nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Wyznanie prawdy nie wchodziło w grę. Nie mogła przyznać, że Ashe jej się podoba.

– Zatem zgoda – postanowiła uciąć dyskusję. – Czy może pan wpaść po mnie jutro około dziesiątej? I bardzo proszę ubrać się w sposób niezwracający uwagi.

– A zatem o dziesiątej. Obiecuję wybrać strój odpowiadający naszej misji.

– Do jutra, milordzie. – Lekko szarpnęła rękami, które skandalicznie długo spoczywały w jego dłoniach.

– Ashe, Phyllido. Jesteśmy przyjaciółmi, nie zapominaj. – Skłonił głowę, jednocześnie dotykając ustami jej dłoni. W zaskoczeniu rozchyliła usta, jakby to na nich Ashe złożył pocałunek.

– Dobranoc – powiedział w końcu, puszczając jej rękę. – Dziękuję za urocze przyjęcie. Proszę mnie nie odprowadzać do drzwi, sam znajdę drogę.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Phyllida usiadła, zastanawiając się, w co też najlepsze się wdała.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy nazajutrz rano punktualnie o dziesiątej pojawił się Ashe, czekała na niego niejaka pani Drummond. Miała na sobie brązową wełnianą suknię, jeszcze ciemniejszą brązową pelisę, prosty słomkowy kapelusik, ozdobiony pęczkiem sztucznych kwiatków, szydełkowe rękawiczki i toporne buty. Pod rękawiczkami bystre oko mogło się dopatrzeć ślubnej obrączki.

– O Boże! – Ashe stanął jak wryty. – Wyglądasz jeszcze gorzej niż wtedy, kiedy się poznaliśmy.

– Przejmujesz się mną? – spytała zaskoczona Phyllida. – Spójrz lepiej na siebie. Co to ma znaczyć?

Ashe włożył coś w rodzaju dopasowanego w talii i długiego do kolan surduta z czarnego matowego brokatu, ze stójką. Spod surduta widać było obcisłe ciemnoczerwone spodnie wpuszczone w buty z miękkiej czarnej skóry. Stroju dopełniał rodzaj szarfy pod kolor spodni. Jednodniowy zarost, ciemniejszy od włosów, sprawiał, że i cera Ashe'a wydawała się ciemniejsza. Egzotycznego wyglądu dopełniały włosy, niezwiązane tym razem i sięgające ramion. Kiedy poruszył głową, mignął jej złoty kolczyk w prawym uchu.

– Nie podobam ci się? – uniósł brew i Phyllida dałaby głowę, że do tego wszystkiego przyciemnił sobie rzęsy.

– Wyglądasz wspaniale i doskonale o tym wiesz – warknęła. Prędzej umrze, niż da mu odczuć, że jest uosobieniem jej marzeń o egzotycznym Oriencie. – Proszę nie dopominać się komplementów, lordzie Clere. Nie powiem jednak, żeby to był trafny wybór stroju jak na miejsce, do którego się wybieramy.

– Ależ wyglądam jak marszand ze Wschodu. Ktoś, kto się doskonale zna na chińskiej porcelanie.

– Zobaczymy, kto zrobi lepszy interes – odparła Phyllida. – Ustalmy, czy się znamy.

– Raczej to zły pomysł. Poproszę, żeby dorożkarz zatrzymał się za rogiem, i wejść pierwszy.

– Dlaczego? – Phyllida wrzuciła do torebki klucz od drzwi wejściowych.

– Na wypadek jakiegoś niebezpieczeństwa oczywiście. – Ashe wyszedł za nią z domu. Phyllida poinformowała dorożkarza, dokąd ma jechać, po czym wsiedli i ruszyli.

– Czy w razie czego złapiesz ewentualnych napastników tą swoją szarfą?

– Jesteś bardziej nieznośna od mojej siostry – pozałił się Ashe. – Nie, zamierzam zaszytletować ich jednym z trzech noży, jakie mam przy sobie. – Oparł się wygodnie o sfatygowane poduszki pojazdu i skrzyżował długie nogi.

Ciekawe, jaki to dżentelmen chodzi w dzisiejszych czasach uzbrojony w noże. W oczywisty sposób robił sobie z niej żarty.

– Kim jest panna Millington? – zmienił nagle temat Ashe. – Nie znalazłem jej ani w księdze genealogicznej parów, ani ziemiaństwa.

– Ona jest nie dla ciebie! – Phyllida gwałtownie wyprostowała się, łapiąc mocno torebkę. – Ona jest dla Gregory'ego.

– Ależ wcale nie powiedziałem, że się nią interesuję, po prostu próbowałem ją jakoś... umiejscowić.

– Jej ojciec jest wybitnym bankierem.

– Ach, rozumiem. Ona ma wnieść do małżeństwa posag, a twój brat tytuł i dobra ziemskie.

– Otóż to. A ponieważ podobają się sobie, mam nadzieję, że wyjdzie z tego udany mariaż.
– Za twoją sprawą, jak sądzę.
– Oczywiście. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że nasz ojciec zostawił Gregory’emu tytuł hrabiowski, walący się dom, dużą ordynację zaniedbanej ziemi i niesamowite długi. Sprzedaliśmy, co tylko się dało, na pokrycie długów, ale praktycznie nie zostało nam nic na życie, a już w żadnym razie na to, żeby odrestaurować dwór i majątek.

– To znaczy, że utrzymujesz was oboje ze swojego sklepu? A co będzie z tobą, kiedy Fransham się ożeni? Wygląda na to, że jesteś zręczną swatką... Czy nie mogłabyś tych talentów wykorzystać we własnej sprawie?

– Ja nie wyjdę za mąż. – Phyllida zaczęła bawić się rękawiczką. – W mojej sytuacji...
– Nonsens. Ktoś prędzej czy później się w tobie zakocha...jakiś przedstawiciel wolnego zawodu, młodszy syn...

I wtedy będzie musiała się tłumaczyć ze swojej przeszłości.

– Ja nie wyjdę za mąż – powtórzyła uparcie. – Nie mam na to ochoty.

Wzdrygnęła się. Zbyt wysoko ceniła sobie niezależność. A to, że znalazła atrakcyjnego mężczyznę, o którego pocałunku i dotyku stale śniła, jeszcze nic nie znaczyło.

– Jesteśmy już blisko. – Phyllida pociągnęła za sznurek. – Jeśli wysiądziesz tutaj i skęcisz za róg, a potem pójdziesz w lewo, zobaczysz magazyn. Powiedz dorożkarzowi, żeby za kilka minut podwiózł mnie pod same drzwi.

Po wejściu do magazynu Phyllida skinęła głową strażnikowi i uwijającym się pracownikom. Wśród skrzyń i półek przechadzały się małowówne, nędznie wyglądające postacie z notesami. Poznała ich: to jej koledzy „po fachu” robili swoje tajemnicze notatki.

Wymieniła z nimi krótkie pozdrowienia. Wszyscy mieli pokerowe miny jak wytrawni gracze podczas wysokiej licytacji. Bez trudu wyłowiła wzrokiem Ashe’a. Przechadzał się zatłoczonymi alejkami, z szyderczym uśmieszkiem na ustach, a tuż za nim podążał Joe Bertram, kierownik magazynu. Patrzyła, jak Ashe się zatrzymuje i potrząsa głową nad kolekcją drobiazgów, którymi była zainteresowana.

– A to kto jest do stu piorunów? – Jeden z kupców przystanął koło Phyllidy i brodą wskazał na Ashe’a, który strzelał oczami w stronę okazałych rozmiarów wazy.

– Nie mam pojęcia – odparła, ledwie rozpoznając go w wyniosłym, egzotycznie wyglądającym mężczyźnie. – W każdym razie robi wrażenie, że wie, o czym mówi.

– Zdenerwował Bertrama. Może nam wszystkim opuści ceny – powiedział mężczyzna, zachichotał i ruszył dalej.

Ashe podszedł do Phyllidy i lekko skinął głową. Jego twarz była bez wyrazu – ot, po prostu arystokrata okazujący szacunek istocie niższej. Zignorowała go, udając zainteresowanie jakimś dużymi urnami, po czym całą swoją uwagę poświęciła interesującym ją przedmiotom. Kiedy wzięła do ręki pierwszą delikatną filiżankę, serce waliło jej jak młotem. Były tam wysokiej jakości *famille rose*, przepiękne niebiesko-białe kadzielnice, czarujące nieglazurowane miniaturowe figurynki z terakoty i talerzyki...

Będzie musiała bardzo starannie wybierać i mocno się targować.

Usłyszała naznaczony wyraźnym akcentem głos Ashe’a, udającego zainteresowanie kompletem waz. Odłożyła na bok wybrane przedmioty, dodała te, które skłonna była poświęcić w trakcie pertraktacji, i rozejrzała się za Bertramem lub którymś z jego asystentów. Nagle w drzwiach zobaczyła przepychankę, której towarzyszyły śmiechy i przekleństwa, po czym do środka wtargnął Harry Buck i grupa jego oprychów. Kupcy, których do tej pory wszędzie było pełno, teraz nagle rozpiechli się jak teriery na widok buldoga. Tylko Ashe oglądający podstawę jakiejś wazy, zdenerwowany pan Bertram i ona pozostali wystawieni na spojrzenie mętnych

ciemnych oczu Bucka. Prześlizgnęło się ono po Ashe'u, wyraźnie pomijając go jako cudzoziemca, potem po Bertramie, który na pierwsze skinienie znalazł się u jego boku, i zatrzymało się na niej. Odczuła je jak dotyk brudnych paluchów. Jej nocne koszmary zaczynały się i kończyły na Bucku, z jego ochryplym rechotem, grubymi łapskami i cuchnącym cebulą oddechem. Znalazła się w pułapce. Nie spuszczała wzroku z czarki, którą trzymała w rękach, a której ścianki były tak cienkie, że widziała przez nie swoje palce.

Odstawiła czarkę w obawie, że ją upuści, i udawała, że coś notuje.

– O! Kogo my tu widzimy? – Buck zbliżał się do niej powoli. – Jakaś lala wybiera sobie ładną filiżaneczkę, co? Trochę za droga dla ciebie, ślicznotko, he? Ale zaraz ci pokażę, jak możesz zarobić kilka monet.

Miała nadzieję, że jej nie pozna, kiedy się zbliżył. Poczowała bijący od niego odór i uchwyciła się krawędzi stołu, próbując się przeciwstawić naturalnemu instynktowi, który nakazywał jej ucieczkę.

Buck przymrużonymi bystrymi oczami wpatrywał się w jej twarz. Phyllida za wszelką cenę starała się nad sobą zapanować. Nie mogła okazać strachu.

Uniósł rękę, jakby chciał ją wziąć pod brodę i zadrzeć jej głowę do góry.

– Jak się nazywasz?

– Nie sądzę, żeby pani miała ochotę na rozmowę – usłyszała spokojny głos z wyraźnym obcym akcentem, a potem poczuła przez spódnicę lekkie muśnięcie poły jego surduta, kiedy Ashe stawał między nią a Buckiem.

– Ty, facet, chyba nie jesteś stąd, he? – powiedział Buck. – Nie orientujesz się, co i jak. Ja z tą kobitką rozmawiałem.

– Sprawy na całym świecie wyglądają tak samo – odparł spokojnym głosem Ashe. – Dżentelmen nie zaczepia damy.

– Co ty powiesz? Tylko że ja nie jestem żaden dżentelmen, a ona nie jest dama. – Buck uderzył ręką w blat prymitywnego stołu tuż koło uda Phyllidy. Odskokczyła jak oparzona, a jednocześnie zauważyła, że jeden z oprychów stanął za nią. – Spływaj, przystojniaczku, zanim oberwiesz.

Nagle coś błysnęło i między kciukiem i wskazującym palcem Bucka utkwilo w blacie stołu ostrze cienkiego noża. Aż zadzwoniła porcelana.

– Ręka mi się omsknęła – powiedział Ashe, przerywając głuchą ciszę. – To mi się zdarza, kiedy czuję się osaczony. Byłaby szkoda, gdyby ktoś się przewrócił i potłukł pański towar, sir.

– Mój? – Buck nie cofnął ręki, ale przestał patrzeć na Phyllidę, co odczuła, jakby jej zdjęto z ramion prawdziwy ciężar.

– Wiem, że się nie mylę. Dlatego dobrze radzę: niech pan każe swoim ludziom się odsunąć. Bo jak na przykład zemdleję ze strachu, to się mogę przewrócić na te cuda z okresu dynastii Song, a to by była tragedia, biorąc pod uwagę, jak cenne są to przedmioty i jak znaczną sumę gotów jestem zapłacić za ten komplet waz.

– Poważnie? – Buck cofnął rękę i utkwil wzrok w twarzy Ashe'a. Jest chamem i oprychem, pomyślała Phyllida, usiłując uspokoić oddech, ale nie na tyle głupim, żeby tracić pieniądze tylko dlatego, żeby postawić na swoim. Nikt poza nimi nie widział noża, który znikł w lewym rękawie Ashe'a równie szybko, jak się pojawił.

– Owszem, pod warunkiem że się dogadamy co do ceny. A jeśli nie wystraszy pan tej pani, to sądzę, że i ona będzie zainteresowana zakupem tych rzeczy, które sobie odłożyła.

Phyllida spojrzała na Ashe'a, jego postać górowała nad nią, wielka i groźna. Robił wrażenie całkowicie spokojnego. Wytrzymał spojrzenie Bucka, który pierwszy spuścił wzrok.

– Pokaż pan najpierw te pieniądze.

– Co to, to nie. Najpierw uzgodnimy cenę. Potem ja poślę po pieniądze i dopiero wtedy dokonamy transakcji – powiedział Ashe takim tonem, jakby to była towarzyska pogawędka przy herbacie.

– Zgoda – mruknął pod nosem Buck i skinął na swoich ludzi.

– O mój Boże. – Phyllida wypuściła wreszcie z rąk blat stołu i zaczęła masować obolałe palce. – Czy aby wyjdziemy stąd żywi?

– O ile wydam odpowiednio dużą sumę pieniędzy – wyjaśnił Ashe, hamując śmiech. – Wybrałaś już to, co cię interesuje?

– Wybrałam. – Wiedziała, że nie może ot tak sobie uciec z magazynu, jak nakazywał jej instynkt samozachowawczy. Wiedziała, że to by tylko zwróciło na nią uwagę i rozbudziło ciekawość Bucka. Postawiła figurkę, którą przewrócił impet lecącego noża.

Ashe skinieniem ręki przyzywał Bertrama i cofnął się dyskretnie, kiedy negocjowała ceny. Początkowo głos jej drżał, ale znajoma rutyna przywróciła jej utracony spokój. Uzgodnili cenę, która pozwoliła jej kupić prawie wszystko, co sobie wybrała.

– Zabiorę te rzeczy ze sobą – powiedziała, zapłaciła i oddaliła się, żeby umożliwić pracownikowi zapakowanie towaru, a Ashe'owi uzgodnienie ceny waz.

– To północny Song – oznajmił Bertram. – Bardzo rzadkie okazy.

– Nie, to seledynowe wyroby z południa. Z czternastego wieku, za późne jak na Song – skorygował Ashe.

Patrzeć i słuchać Ashe'a było czystą przyjemnością. Jego sposób wystawiania się, urokliwy melodyjny akcent, płynne ruchy rąk, kiedy gestykulował, sprawiały, że ani trochę nie wyglądał na Europejczyka. Phyllida obserwowała go zafascynowana.

– Wyprowadzę tę panią z jej zakupami – powiedział na koniec po dobieciu targu. – I jednocześnie wyślę człowieka po pieniądze. Proszę nic nie pakować do mojego powrotu, nie chciałbym, żeby cokolwiek zostało uszkodzone.

Albo podmienione, pomyślała Phyllida. Tylko kogo on miał wysłać po pieniądze?

Tymczasem Ashe wezwał czekającego dorożkarza i pomógł jej wsiąść.

– Skręć za róg i tam na mnie poczekaj – polecił mężczyźnie. – Będę za jakieś pół godziny. Gdyby ktoś próbował podejść, odjedź i krąż tu do mojego powrotu. Nie chciałbym, żeby cokolwiek niepokoił panią.

Nikt wprawdzie nie podszedł, ale po upływie kilku minut pojawił się Buck i oparty o framugę drzwi magazynu wpatrywał się w dorożkę. Mimo że się nie zbliżał, Phyllida miała uczucie, że jego wzrok przewierca na wskroś ściany pojazdu, sięgając miejsca, w którym siedziała, skulona i wciśnięta głęboko w kąć.

Po upływie dwudziestu minut Ashe wstawił na siedzenie obok jej zakupów skrzynkę ze swoimi wazami, a następnie sam wsiadł do dorożki.

– Wszystko w porządku? Musiałem udać, że idę po gotówkę. Gdyby oni mieli chociaż pojęcie, jaki majątek wynoszę...

– Oczywiście...

Ashe wpatrywał się w jej twarz, kiedy kołysała się w rytm podskakującego na wybojach pojazdu.

– Ten Buck to był chyba ten sam mężczyzna, na którego wtedy natknęliśmy się na nabrzeżu?

– Tak. – Po chwili Phyllida zorientowała się, że odpowiada monosylabami, i postanowiła coś dodać. – Można powiedzieć, że jest to tutejszy król świata przestępczego: do niego należą wszystkie domy publiczne, spelunki hazardu, on pobiera haracze od sklepikarzy... – Jej głos był tak napięty jak palce zaciśnięte na rzemiennej pętli, której się trzymała.

– Boisz się go, prawda?
– Każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie, boi się Bucka. Najwyraźniej z wyjątkiem ciebie.

– Widocznie nie mam oleju w głowie. Dlaczego więc tu przychodzisz, ryzykując spotkanie z tym człowiekiem?

– Bo w ten sposób zarabiam na życie. – Spojrzenie, jakie mu posłała, dobitnie świadczyło o tym, że Ashe nic nie rozumie. – Muszę kupować jak najtaniej i sprzedawać jak najdrożej. Dlatego przeszukuję lombardy, rozmawiam z marynarzami i kupuję towar prosto z magazynów portowych, tak jak dziś. Gdybym wiedziała, że ten magazyn należy do Bucka, nigdy bym tu nie przyszła – przyznała. – No i... dziękuję ci bardzo za wszystko. Powinnam była powiedzieć to już znacznie wcześniej. Od razu wiedziałeś, jak należało go potraktować. Jeszcze teraz dosłownie cała się trzęsę...

– To jest zwykły oprych, któremu zależy tylko na zarobku. Kiedy się pojawi ktoś gotów stawić mu czoło, ktoś, kogo on nie zna, uzbrojony i nieprzewidywalny, to kapituluje. W tej sytuacji ani ty, ani żadna inna kobieta nie miałyby szans.

– To prawda – zgodziła się Phyllida, w dalszym ciągu zdenerwowana groźbą przemocy, jakiej była świadkiem.

– Phyllido, to całkiem naturalne, że się bałaś. Nie musisz udawać bohaterki.

Potrząsnęła głową i wymamrotała pod nosem coś, z czego pochwycił tylko jedno słowo: słabość.

– To nonsens – powiedział ostro, widząc, że zadrżała jej dolna warga. – Chodź do mnie. – Obrócił się i zanim zdążyła zaprotestować, posadził ją sobie na kolanach, rozwiązał jej koszmarne czepek i rzucił na siedzenie naprzeciwko. Nastąpiła krótka szarpanina, by puściła rzemiennej pętlę, której się kurczowo złapała, po czym ukryła twarz na jego ramieniu. – Możesz sobie popłakać, jeśli masz taką potrzebę. Mnie to nie przeszkadza...

Phyllida westchnęła głęboko, ale powstrzymała łzy. Ashe objął ją ramieniem i czekał.

– Dziękuję – bąknęła pod nosem.

– Daj spokój... Płacz pomaga – dodał po chwili.

Ostatnią kobietą, którą trzymał tak jak teraz Phyllidę, była Reshmi, kiedy jej powiedział, że nie zabierze jej ze sobą do Anglii. Oboje przecież doskonale wiedzieli, że nie poślubi kurtyzany z dworu swojego ciotecznego dziada.

Phyllida poruszyła się na jego kolanach, a on w dojmujący sposób poczuł jej bliskość: subtelny zapach jaśminu, ciepło i delikatne krągłości ciała. Nie mógł pozostać na to obojętny. Postanowił, że będzie jej bronił przed wszystkim i wszystkimi z wyjątkiem siebie. Pragnie jej i ją zdobędzie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Cóż to byłoby za szczęście móc tak trwać w jego ramionach, pomyślała omamiona słodką iluzją, że wszystko jest w porządku, że jest kochana, że ten silny mężczyzna o nią dba i że ją ochroni przed wszelkimi kłopotami.

Kocham cię, Phyllido - szeptałby jej do ucha. – Nie liczy się twoje urodzenie ani tajemnice. Ożenię się z tobą.

Urocze marzenie, ale nie mogła sobie pozwolić na ani jedną chwilę dłużej w jego ramionach. Jakkolwiek rycersko zachował się w magazynie, teraz czuła jego narastające podniecenie. Ashe był podniecony, co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości. Wyczuwała to, choć za wszelką cenę starał się to ukryć. Czuła, że najmniejsza nawet zachęta z jej strony rozpaliby w nim ogień namiętności i obróciła wniwecz jego wysiłki. Nie była zwykłą niezamężną kobietą, spętana ograniczeniami i zasadami, których każdy dżentelmen musiał przestrzegać, i nieraz dawała mu wyraźnie odczuć, że potrafi być niekonwencjonalna i lekkomyślna.

Pokusa, żeby obrócić się w objęciach Ashe'a i poszukać jego ust, prysła jak bańka mydłana. Czuła, że byłby empatycznym, delikatnym i niezwykle hojnym kochankiem, ale nie umiała pokonać lęku przed zbliżeniem. Bała się, że odkryje, że nie jest już niewinna.

Poza tym nie była skłonna zaryzykować tak ciężko zdobytej akceptacji towarzystwa i dobrego imienia dla kilku namiętnych chwil w ramionach tego mężczyzny. Poza tym Ashe mógł nie skorzystać z jej zaproszenia.

Szok wywołany spotkaniem z Buckiem i przerażająca groźba wprowadziły zamęt w jej emocjach i zaburzyły zdolność trzeźwej oceny.

– O mój Boże, popatrz, już prawie jesteśmy na Great Ryder Street – powiedziała z ożywieniem, które zabrzmiało fałszywie nawet w jej własnych uszach. – Co się, do licha, stało z moim kapeluszem? – przesiadła się na swoje miejsce, starając się zachować resztki godności, a przy okazji stwierdziła, że jej kapelusik leży zakurzony na podłodze dorożki. – Dziękuję ci bardzo i przepraszam, że nie zdołałam utrzymać nerwów na wodzy.

– Gdzie zawieźć tę porcelanę? Tutaj czy do sklepu? – zapytał Ashe, jakby ostatnich dziesięciu minut nie spędzili w gorącym uścisku w publicznym środku lokomocji bez zasłonek w oknach.

– Tutaj, proszę. – Nie da się wytrącić z równowagi ani nie zdradzi się z tym, jak bardzo była bliska tego, żeby pozwolić uczuciom zapanować nad zdrowym rozsądkiem. Dorożka podjechała do krawężnika, Ashe pomógł jej wysiąść, wziął od niej klucz, żeby otworzyć drzwi, a następnie wniósł pakunek do środka.

– Więcej już tam nie pójdziesz. – Stali blisko siebie w wąskim korytarzu i Phyllida bardzo się pilnowała, żeby go przypadkiem nie dotknąć.

– Do magazynu? Nie pójdę. – Mogła mu to obiecać z całą szczerością.

– To byłaby pewnie z mojej strony naiwność oczekiwać, że nie pojawisz się więcej w tamtej części Londynu, prawda? – Ashe dotknął wierzchem dłoni jej policzka. – Dwa razy udało mi się odwrócić uwagę Bucka, ale już trzeci może się nie udać.

– Będę ostrożna. – Nagle jej ręka znalazła się na jego dłoni, chociaż Phyllida nie umiałaby powiedzieć, jak to się stało.

– Panie szanowny, jedziemy czy jak?

– Dorożkarz... – Ashe przystanął u stóp schodów, odwrócił się i powiedział: – *Au revoir*.

– *Au revoir* - odrzekła, zamykając za sobą drzwi. Pudło stało na środku korytarza i niemal

zapraszało do działania. – Gregory! Jesteś w domu? Potrzebuję pomocy.

– To jest od lady Arnold. – Anusha Herriard uniosła głowę znad listu. – Zaprasza nas na kilka dni pod koniec tygodnia do ich posiadłości w pobliżu Windsoru. Rozmawiałam z nią na temat Almacka.

– Ashe i ja wybieramy się do Eldonstone – oznajmił markiz. – Czy ten Almack jest taki ważny?

– Najważniejszy, tato. – Sara pokiwała głową, udając wyrzut. – Nie uważałeś...! Jeśli chcesz mnie dobrze wydać za mąż, to najlepszym rynkiem matrymonialnym jest właśnie Klub Almacka. Tam chadzają najbardziej pożądana kawalerowie Londynu.

– „Rynek matrymonialny”, co za koszarne określenie. – Ashe odłożył swoją pocztę i wzdrygnął się. – Ktoś mnie pytał, czy wezmę w tym udział, jakby to była jakaś impreza sportowa. – I tak to by zapewne wyglądało, gdybym się obsadził w roli kozła antylopy, ściganego przez sforę psów.

– Ty nie musisz się spieszyć, Ashe – powiedziała matka, podając list mężowi. – Nie rób takiej nieszczęśliwej miny.

– Nie ulega jednak wątpliwości, że odpowiednio ustosunkowana synowa, która doskonale porusza się w towarzystwie, byłaby ci bardzo pomocna – zauważył Ashe, a smutny uśmiech matki tylko wydawał się potwierdzać jego słowa.

– Wygląda na to, że gdybyś pojawił się na tym przyjęciu, miałbyś bogaty wybór – wtrącił się ojciec, przebiegając wzrokiem trzymany w dłoni arkusz papieru. – Będzie tam z pewnością kilku parów, z którymi chętnie bym porozmawiał. Prędzej czy później muszę się zadeklarować co do mojej politycznej orientacji, a takie właśnie spotkanie towarzyskie w swobodnej atmosferze może stanowić świetny początek.

– Rozumiem, że chcesz w takim razie odłożyć naszą wyprawę do Eldonstone? – zapytał Ashe.

– Powiedziałbym, że tak, gdyby nie ten list Perrotta. – Hrabia wręczył synowi drobno zapisany arkusz papieru. – Wygląda na to, że mój ojciec nie miał szacunku ani cierpliwości do przedmiotów należących do przeszłości i dom jest dosłownie zastawiony skrzynkami wypełnionymi bez ładu i składu najróżniejszymi rzeczami. Perrott nie ukrywa, że nie ma zielonego pojęcia, jak się do tego zabrać ani jak ustalić, co przedstawia jakąś wartość, a co nie.

– Biedaczysko. – Ashe roześmiał się. – Rzeczywiście wydaje się zdesperowany. Jeśli chcesz, pojedę sam. Znam się przynajmniej na porcelanie i wyrobach z kości słoniowej, mógłbym także spróbować wycenić biżuterię, o ile jakaś tam jeszcze jest. – Twarz ojca była nieprzenikniona i Ashe zastanawiał się, jakie złe wspomnienia dotyczące domu rodzinnego ta sprawa w nim obudziła. – Chyba że chcesz tam dotrzeć jako pierwszy...

– Nie. – Markiz potrząsnął głową. – Byłem tam tylko raz. Mój ojciec, jak wiesz, pozostał z dziadkiem w konflikcie i kiedy się pojawiłem w Eldonstone, ojciec nie był już tam przyjmowany. Pojechałem w nadziei, że dziadek powstrzyma go przed wysłaniem mnie do Indii i zostałem zaproszony tylko do gabinetu.

– Wobec tego udam się tam w pojedynkę – zaofiarował się Ashe. – Mogę odłożyć o kilka dni moje rozpoznanie „rynku matrymonialnego”. – To postanowienie nieoczekiwanie przyniosło mu ulgę. Perspektywa szukania żony nie wydawała mu się szczególnie pociągająca, ale i też się przed nią nie wzbraniał. Wizyta w Eldonstone zresztą również nie zapowiadała się przyjemnie i sielankowo.

– Tak czy inaczej trzeba będzie wynająć rzeczoznawcę, który wszystko to posortuje, oczyści, skataloguje i oceni – stwierdził po namyśle markiz.

Matka Ashe’a mruknięciem wyraziła poparcie dla tego pomysłu. Wyglądało na to, że nikt

się nie kwapił, by stawić czoło panującemu w wielkim starym domostwie chaosowi. Wystarczyła im ponura atmosfera miejskiej rezydencji.

– Tutaj udało mi się osiągnąć pewien postęp – powiedziała markiza. – Większość mebli i przedmiotów poleciłam usunąć z salonu, a z tego kremowego jedwabiu, który ze sobą przywieźliśmy, kazałam uszyć zasłony. Chodźcie, pokażę wam.

Ruszyli za nią do największego salonu, pełni podziwu dla transformacji, jakiej udało jej się dokonać w tak krótkim czasie.

– Wreszcie znalazło się stosowne miejsce dla prezentu dla ciebie, Mata.

Ashe przyniósł seledynowe wazy i poustawiał je nad kominkiem na półce z szarego marmuru. Kremowe zasłony nadawały wpadającemu do salonu światłu ładny, nieco zielonkawy po-blask.

– Są wspaniałe. Dziękuję ci, kochanie. Gdzie je znalazłeś?

– W jednym z magazynów w East Endzie – odparł Ashe. – Panna Hurst wspomniała o tym podczas obiadu dwa dni temu i postanowiłem wybrać się tam z nią i rozejrzeć.

– Panna Hurst? – zdziwiła się Sara. – Siostra lorda Fransham? A co ona miała do tego?

Starannie uknuty w głowie Ashe’a plan zaczynał nabierać realnych kształtów.

– Sztuka użytkowa to jej wielka pasja – wyjaśnił. – Uwielbia wyszukiwać rzadkie okazy i zaczęła się tym zajmować niemal zawodowo. Bądź jednak uprzejma zatrzymać tę informację dla siebie. Mają z bratem kłopoty finansowe, więc panna Hurst kupuje różne wartościowe drobiazgi i w dyskretny sposób je odprzedaje. Gdybyśmy jej zaproponowali honorarium...

Jak Ashe słusznie przewidział, nikt się nie oburzył na jego sugestię.

– To naprawdę sprytnie z jej strony – zauważyła z aprobatą Sara. – Nic dziwnego, że zawsze jest tak elegancko ubrana... Myślałam nawet o tej ekspedientce z Jermyn Street, gdzie kupiliśmy dla mnie wisiołek z kamienia księżycowego, ale panna Hurst wydaje się dużo odpowiedniejsza do tego zadania.

– Naturalnie – zgodził się z pokerową miną Ashe. – A poza tym nie wzięlibyśmy Francuzki.

Na czole matki pojawił się mars.

– Nie wyobrażam sobie, żeby panna Hurst mogła tam z tobą pojechać bez przyzwoitki.

– Przecież we wdowim domu mieszka ciotka Charlotte i panna Hurst mogłaby się u niej zatrzymać – zauważył Ashe. – Albo obie przeniosą się do rezydencji. Gdybym dla panny Hurst wynajął dwukólkę, toby z pewnością zabrała ze sobą pokojówkę. Ja w tym naprawdę nie widzę niczego problematycznego ani niestosownego.

– Wiem o ciotce jedynie to, że serdecznie nie znosiła mojego ojca – wtrącił markiz. – Ale mogę do niej napisać. Zobaczmy, czy będzie chciała pomóc, o ile naturalnie ta twoja panna Hurst przyjmie naszą propozycję.

„Moja panna Hurst”. Bardzo spodobało mu się to określenie, ale na wszelki wypadek zachował obojętną minę.

– Zorientuję się, czy panna Hurst będzie zainteresowana. Jeśli jednak ciotka Charlotte nie zgodzi się na gościa ani na to, żeby się przenieść do rezydencji, to wrócimy do tej rozmowy.

Niezależnie od zdania ciotki Ashe zamierzał zaproponować Phyllidzie tak wysokie honorarium, żeby nie musiała jeździć do East Endu przynajmniej przez kilka miesięcy, które, miał nadzieję, spędzi jako jego kochanka.

– Chcesz, żebym pojechała z tobą sama do twojej rodzinnej posiadłości? – Phyllida próbowała zapanować nad sprzecznymi emocjami, jakie wzbudziła w niej ta propozycja. Czowała zdumienie, podniecenie, oburzenie i wreszcie radość na myśl o tym, że tak łatwo zarobiłaby duże pieniądze.

– Tak. Wyświadczyłabyś mi wielką przysługę, godząc się na to, by mi towarzyszyć... – Spojrzał na nią wymownie i dodał: – Oczywiście razem z twoją pokojówką. Ciotka Charlotte zgodziła się łaskawie przenieść do rezydencji na czas twojej wizyty. Zapewne z ciekawości, nie mniej będzie najlepszą przyzwoitką na wypadek, gdyby ktoś dowiedział się o twojej obecności w Eldonstone.

– Ale...

– Proponuję godziwe wynagrodzenie, mimo że nie znamy zakresu pracy, jaka jest do wykonania; poza tym otrzymasz pierwszeństwo w zakupie tych rzeczy, które przeznaczymy na sprzedaż. – Ashe rozsiadł się wygodnie, skrzyżował długie nogi i czekał na odpowiedź. – Naturalnie nie rozgłosimy tego, że zatrudniliśmy rzeczoznawcę, a tym bardziej, kto nim jest – dodał.

– Od dawna planowałam kilkudniową wizytę na wsi u przyjaciółki, aby odpocząć od zgiełku Londynu – przyznała głośno Phyllida. Szczodre honorarium i czas spędzony sam na sam z Ashe'em to kusząca perspektywa. Ale czy może mu zaufać? Albo raczej: czy może zaufać sobie?

– Przez kilka miesięcy nie będziesz musiała odwiedzać rejonów Bucka – dorzucił od niechcienia Ashe i uśmiechnął się wymownie.

To wystarczyło, aby ją przekonać.

– Z przyjemnością podejmę się tego wyzwania – oznajmiła, zanim zdrowy rozsądek wypowiedziałby jej inną odpowiedź. – Gregory wybiera się do Almacka na to samo przyjęcie, co twoja rodzina, panna Millington również. Lady Arnold, która jest chrzestną matką Gregory'ego, uważa, że Harriet będzie dla niego jak najbardziej odpowiednia.

– Ty nie zostałeś zaproszona?

– Lepiej nie przypominać towarzystwu o luźnym stosunku naszych rodziców do instytucji małżeństwa – powiedziała lekkim tonem, o jaki ostatnio było jej coraz trudniej.

– Czy mogę zapytać, o co w tym wszystkim chodzi? Nie chcę być wścibski, więc jeśli wolisz o tym nie mówić, zrozumieć...

Z rogu pokoju, w którym siedziała Anna, trzymając na kolanach koszyk z bielizną do reperatury i jednocześnie odgrywając rolę przyzwoitki, doszło ich delikatne parsknięcie.

Phyllida wzruszyła ramionami.

– To nie jest żadna tajemnica. Zakochali się w sobie do nieprzytomności i uciekli, żeby potajemnie wziąć ślub. Ojciec jednak stracił chęć do małżeństwa i wszelkimi możliwymi sposobami unikał złożenia przysięgi... Mama, będąc przy nadziei, nie wydawała mu się już taka atrakcyjna i coraz rzadziej go widywała... W końcu jednak doszło do ceremonii, ale stało się to jeden dzień po moich narodzinach...

– To oburzające – stwierdził surowym tonem Ashe.

– Mama osądziła go jeszcze surowiej, ale kochała ojca tak bardzo, że urodził się jeszcze Gregory. Potem już prawie przestaliśmy go widywać. Pieniądze również... – urwała i zamyśliła się.

Wkrótce matka zachorowała i Phyllida, nie mając żadnego oparcia w rodzinie, wyruszyła do Londynu na poszukiwanie ojca. Kosztowało to jednak więcej, niż sobie założyła. Początkowo nie mogła go znaleźć, potem, coraz bardziej zdesperowana, stanęła wobec brutalnego wyboru: sprzedać to, co miała najcenniejszego albo głodować i zawieść matkę i brata.

– Panno Hurst?

Phyllida drgnęła, podniosła głowę i stwierdziła, że Ashe ją obserwuje. Lekka zmarszczka na jego czole pozostawała w sprzeczności ze swobodną pozą, jaką zachował.

– Przepraszam. Nawiedziły mnie wspomnienia tamtych ciężkich czasów. Ale to już przeszłość. Anno, wyjeżdżamy na wieś, przygotuj więc, proszę, moje najpotrzebniejsze rzeczy. Jak

długo może zająć wycena i katalogowanie wszystkich przedmiotów, lordzie Clere?

– Pięć dni? Dwa dni na podróż tam i z powrotem oraz trzy dni na miejscu. Założyłem, że wyjedziemy pojutrze o dziewiątej rano.

– Zgoda. Będę gotowa.

Phyllida dość bezmyślnie wpatrywała się w szerokie ramiona wychodzącego za Anną Ashe'a. Czyżby właśnie popełniła tragiczny błąd, zawierając jego dyskrecji? Konsekwencje mogły się okazać katastrofalne, niezależnie od jego ciotki towarzyszącej im w charakterze przyzwolonej. Ryzykowała, że wyjdzie na jaw jej działalność kupiecka, a to oznaczałoby problemy również dla Gregory'ego.

To jest głęboko niesprawiedliwe, pomyślała z westchnieniem. Jeśli Gregory ożeni się z dziedziczką wielkiej kupieckiej fortuny, to zbierze jedynie gratulacje, a jego żona zostanie przez wszystkich zaakceptowana.

– O czym tak rozmyślasz? – W drzwiach stał jej brat z uśmiechem rozbawienia na twarzy.

– Myślałam o tobie. Widziałeś się dzisiaj z Harriet?

– Dosłownie dziesięć minut temu. Zabrałem ją do Hyde Parku na spacer pod okiem jej mamy, przychylnym okiem, pozwolę sobie zauważyć. – Gregory usiadł na tym samym miejscu, na którym jeszcze przed chwilą siedział Ashe: następny długonogi atrakcyjny arystokrata w tym skromnym niewielkim pokoju.

Poczuła ukłucie sumienia.

– Harriet ci się podoba, prawda? Ale czy coś do niej czujesz? Mam dla tej dziewczyny wiele sympatii i byłoby mi bardzo przykro, gdyby wasz związek nie dał jej szczęścia, a tylko smutek i rozczarowanie.

Gregory uniósł brew.

– Pytasz mnie, czy będę jej wierny?

– Tak, właśnie o to pytam. A także o to, czy będziesz dla niej dobrym towarzyszem życia. Ona jest zbyt inteligentna i wrażliwa na to, żeby ją zaniebdywać i samemu hulać po mieście, wydając jej pieniądze.

– Auć. – Ku zdumieniu Phyllidy Gregory ani jej nie wyśmiał, ani się na nią nie zezłościł.

– Oczywiście, masz rację. Wyznam ci, że Harriet naprawdę mi się podoba i sądzę, że to małżeństwo może uszczęśliwić nas oboje. – Gregory skrzywił się. – Pod warunkiem że mnie zechce.

– Masz zamiar porozmawiać z jej ojcem?

– Zaprosili mnie na poniedziałek do swojej łoży w teatrze. Wtedy się przekonam, jaki stosunek ma do mnie Millington. Jeśli okaże się przyjazny, wybiorę się do nich we wtorek na rozmowę. Jeśli zaś chłodny i zdystansowany, to przywołam cały mój osobisty urok i ujawnię swoje liczne talenty...

– Zatem nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym na parę dni wyjechała z miasta?

– Oczywiście, że nie. A dokąd się wybierasz? Do Essex do Amandy?

Przedstawienie Gregory'emu swoich planów poszło jej trudniej, niż myślała. W końcu upomniała się, że chodzi jedynie o interesy, i zebrała na odwagę.

– Lord Clere zwrócił się do mnie w imieniu swojego ojca, żeby w ich wiejskiej rezydencji w Hertfordshire wycenić i skatalogować kilka przedmiotów. Wyjeżdżam pojutrze i nie będzie mnie najwyżej pięć dni.

– To dobrze – powiedział Gregory. – Mam nadzieję, że dobrze ci się ułoży z markizą i lady Sarą. Po gorączce miejskich rozrywek przyda wam się trochę odpoczynku.

– Niestety... – Zawiesiła głos. – One nie jadą. Markiz też nie. Lord Clere natomiast przyśle dwukólkę dla mnie i dla Anny.

Gregory zmarszczył brwi i usiadł prosto.

– Co? – spytał podniesionym głosem. – Chcesz mi powiedzieć, że wyjeżdżasz z tym rozpustnikiem sama?

– On nie jest rozpustnikiem! – zaprzeczyła, choć zaraz naszły ją wątpliwości. – A zresztą, skąd to wiesz?

– Cóż, ciągnie swój do swego... – przyznał ponuro Gregory.

– No wiesz! A gdzie jakieś dowody: uwiedzione dziewice, pijackie orgie, hazard... a zresztą... Jak możesz kłaść dobre imię przyzwoitego człowieka? Myślałam, że go polubiłeś... Poza tym on z nami nie jedzie dwukółką, a na miejscu jego ciotka ustąpi mi wdowi dom, tak że z całą pewnością będę miała dość przyzwoitek.

– Tak czy inaczej, uważam, że powinienem z nim o tym porozmawiać... – powiedział Gregory nieco łagodniejszym tonem, najwyraźniej udobruchany.

– Oczywiście – odparła Phyllida, mając nadzieję, że jej głos nie brzmi zbyt potulnie. – Naprawdę doceniam to, że dla mojego dobra chcesz się angażować w sprawę, która może skończyć się skandalem – dodała z siostrzaną przebiegłością.

Gregory przewrócił oczami.

– Cóż... Zgodzę się, że pytanie go w tej sytuacji o intencje byłoby trochę niezręczne. Wolałbym uniknąć nieporozumienia.

– Jak postanowisz, tak będzie najlepiej, Gregory – powiedziała Phyllida. – Boję się tylko, że ktoś odkryje moją nieobecność, więc jakby cię o mnie pytano, to mów, że wyjechałam odpocząć do przyjaciół na wieś. Zrobisz to dla mnie?

Gregory skinął głową i wstał.

– Muszę się przebrać. Widzimy się na obiedzie, Phyll.

Po wyjściu Gregory'ego Phyllida zaczęła się zastanawiać, czy to dobrze, że przekonała brata do sensowności tej eskapady, czy nie. Pięć dni z Ashe'em Herriardem. Czy to będzie niebo, czy może... piekło?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Witam, panno Hurst. – Lord Clere stał na górnym stopniu schodów, nieprzyzwoicie rzeński i nienagannie zadbany. Towarzyszył mu młody gniadosz, uwiązany wodzami do słupka i siedzący na łęku siodła Lucyfer.

Phyllida przeciwnie, zmęczona, blada i wyraźnie nie w humorze, była daleka od zachwy-
tów nad jakimiś wrednymi wronami. Ostatnie dwie noce spędziła, zamartwiając się tą sytuacją i jednocześnie bezsensownie fantazjując o Ashe’u Herriardzie.

– Jesteśmy gotowe, lordzie Clere, jak pan zapewne widzi. Chodź, Anno, nie każmy jego lordowskiej mości zbyt długo czekać. – Ulica na szczęście była pusta. Jednak dopiero w tej chwili przyszło Phyllidzie do głowy, że już samo towarzystwo mężczyzny, który nie był jej bratem, w zupełności by wystarczyło do tego, by wywołać skandal.

– Czy jest pani wygodnie, panno Hurst? – zapytał, kiedy Phyllida zajęła już miejsce w dwukółce, żałując, że nie ukryła twarzy za woalką.

– Owszem, dziękuję. Anno, zaciągnij po swojej stronie zasłonkę. Byłabym zobowiązana, milordzie, gdybyśmy mogli niezwłocznie wyruszyć. Nie chciałabym być widziana w takiej sytuacji.

– Naturalnie. – Ashe zamknął drzwi i pojazd ruszył z szarpnięciem.

Nie mam prawa oskarżać go o to, że dziś rano niemal pozwoliłam mu się uwieść, pomyślała Phyllida, wciskając się w kąt pojazdu z nadzieją, że nikt jej nie dostrzeże przez frontową szybę pomiędzy dwoma podskakującymi forysiami. Nie wiedziała jednak, jak się pozbyć tych natrętnych myśli o atrakcyjnym Ashe’u i uwodzeniu.

Po chwili minął ich na swym gniadym wałachu i Phyllida mimo woli się uśmiechnęła. Ostatecznie, cóż z tego, że sobie pofantazjuje? Tym bardziej że prezentował się tak wspaniale...

– Myślę, że to będzie miła odmiana – powiedziała do Anny. – Kawał czasu nie ruszałyśmy się z miasta. Ciekawe, jaka okaże się ta ciotka lorda.

– Pewnie to jakaś zgorzkniała, stara prechera – prychnęła. – A przynajmniej taką mam nadzieję. O ile w ogóle ona istnieje – dodała.

– Chcesz powiedzieć, że lord Clere ją sobie wymyślił i że tam na miejscu nie będzie żadnej przyzwoitki? – zapytała Phyllida.

– To całkiem możliwe. – Anna zacisnęła usta. – Albo to są pani pobożne życzenia, panno Phyllido. To o nim pani mówiła wtedy w parku, tak? Prawdziwie piękny mężczyzna, aż chciałoby się z nim zgrzeszyć...

– Nonsens. Oczywiście trzeba być ślepym, żeby nie przyznać, że lord Clere jest przystojny, ale on poszukuje odpowiedniej kandydatki na żonę, więc...

– Nie mówię o małżeństwie, panno Phyllido – weszła jej w słowo Anna – i pani bardzo dobrze o tym wie. Ciekawe, co powie pani brat, kiedy pani wróci do domu zrujnowana...?

Ja już zostałam zrujnowana, chciała odpowiedzieć, ale ugryzła się w język.

– Nie jestem naiwna, Anno. Jeżeli lord Clere ma wobec mnie inne plany niż tylko przyjaźń, którą deklaruje, to doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że są one niegodne... Zapewniam cię, że nie mam zamiaru narażać swojej reputacji.

– Rada tego słucham, panienko. – Ku uldze Phyllidy Anna rozsiała się wygodnie w swoim kącie pojazdu i wpatrzyła w krajobraz przesuwający się przed ich oczami za oknem.

Tymczasem Phyllida oddała się rozmyśleniom. Co zrobi, jeśli Ashe rzeczywiście będzie próbował ją uwieść? Czy starczy jej siły, żeby mu się oprzeć?

Był atrakcyjny i czuły, więc na pewno fizyczna bliskość między nimi okazałaby się czymś wspaniałym. Pozwalając sobie jednak na romans, Phyllida zaprzepściłaby wszystko, nad czym tak ciężko do tej pory pracowała. Zdrowy rozsądek ostrzegał ją przed uległością, ale słyszała też inny, zgoła odmienny wewnętrzny głos. Szeptał jej, że powinna zakosztować cielesnych rozkoszy, skoro nigdy nie wyjdzie za mąż. Kolejny raz tak sprzyjające okoliczności mogą się bowiem nie powtórzyć. W końcu jako kobieta niezależna ma prawo decydować o swoim życiu...

Lady Charlotte Herriard okazała się leciwą starą panną o orlim nosie, niespotykanej często pewnością siebie i odwagi do mówienia dokładnie tego, co myśli – na każdy temat bez wyjątku. Ashe i Phyllida zostali jej zaprezentowani w salonie, gdzie przebywała w towarzystwie pożądanym gromadki piesków, które kręciły się wokół jej nóg.

– Lord Clere i panna Hurst, *milady* – przedstawił ich kamerdyner. – Zaraz każę podać herbatę.

– I dużo ciasta, pamiętaj, Sparrow. – Hrabina odłożyła książkę, którą właśnie czytała, i wymierzyła w Ashe'a zakrzywiony wskazujący palec. – A więc ty jesteś synem Nicholasa i tej jego hinduskiej żony, tak? Masz w sobie coś z dziadka... Proszę tu do mnie podejść, panno Hurst, niech no się pani przyjrzę. Kim pani jest, he?

– Jestem siostrą lorda Fransham, *milady*.

– Ach! – Starsza pani uniosła lorgnon i studiowała Phyllidę z całą arogancją właściwą swojemu wiekowi i pozycji.

– Z tych Hurstów, jak mniemam. Twój ojciec był zawsze durniem, nawet jako dziecko. A ty, jeśli dobrze zrozumiałam, prowadzisz interesy, tak? Pachnie mi to skandalem, wiesz?

– Nie, proszę pani. Jestem bardzo dyskretna. – Phyllida starała się trzymać nerwy na wodzy, pamiętając o sowitym honorarium.

– I całe szczęście, bo nie wyobrażasz sobie chyba, że będę wlokła tam do domu moje stare kości po to tylko, żeby przez cały dzień być dla ciebie przyzwoitką. O, co to, to nie! Pokażę się tam dla świętego spokoju, ale ty musisz sama o siebie zadbać, moje dziecko. – Lady Charlotte uśmiechnęła się cierpko. – Tak jak ja. – Po czym zaprosiła Phyllidę, by usiadła.

– Clere, przynieś te małe stoliki do herbaty i usiądź tutaj tak, żebym mogła cię widzieć. – Ashe zastosował się do polecenia ciotki i usiadł naprzeciwko. – Masz się przyzwoicie zachowywać wobec tej młodej damy, bo każę pokojówce cały czas jej pilnować... Co ty na to?

– Zapewniam szanowną ciocię, że nie zrobię niczego, czego by sobie panna Hurst nie życzyła. – Phyllida na tyle dobrze zdążyła go już poznać, żeby wiedzieć, że starsza dama go rozbawiła. Mimowolnie doszukiwała się też w jego słowach dwuznaczności.

Lady Charlotte najwyraźniej podzielała jej wątpliwości i uniosła cienką siwą brew.

– O, tak, tak...! Rzeczywiście przypominasz mi mojego ojca.

– A nie jego syna, czyli mojego dziadka? – zapytał Ashe, najwyraźniej czując się swobodnie.

Tacę z herbatą wniesiono, zanim lady Charlotte zdążyła mu odpowiedzieć.

– Będzie pani taka miła, panno Hurst, i zechce nalać nam herbaty. Proszę się częstować ciastem, ja też wezmę kawałek i dotrzymam wam towarzystwa. Mój doktor, stary dureń, zabrania mi jedzenia ciasta. – Lady Charlotte znów skierowała wzrok na Ashe'a. – Nie, nie jesteś podobny do swojego dziadka, i tym lepiej dla ciebie. W każdej rodzinie może się trafić taki zły szeląg i on był właśnie jednym z nich. Idź, obejrzyj sobie galerię rodzinnych portretów, to się przekonasz.

Po kolejnej godzinie przesłuchania Ashe jako pierwszy opuścił wdowi dom; za nim ruszyły dwukółka Phyllidy i podróżny ekwipaż ciotki. Ashe przyjął, że lekkie uczucie mdłości, jakiego doznawał, było skutkiem egzaminu oraz nadmiernej ilości skądinąd wybornego ciasta cytrynowego, jakie pochłoniął.

Brał udział w bitwach w pałącym słońcu Indii, radził sobie z pałacowymi intrygami, udaremnił próbę zamachu na swojego ciotecznego dziadka, a także potrafił przechytrzyć francuskiego dyplomata. Nie rozumiał zatem, co wywołało w nim tak wielkie napięcie nerwowe.

Lucyfer zakrakał i sfrunął na jego ramię, jakby i on potrzebował wsparcia. Dosłownie w tym samym momencie jego oczom ukazała się rezydencja.

Było to imponujące domostwo z szarego kamienia i cegły, którego budowa została – jak to wynikało ze studiów przeprowadzonych przez Ashe’a na statku – rozpoczęta za panowania Karola II. Swoją charakter jednak zawdzięczała przebudowie, która miała miejsce za czasów Jerzego I. Przyzwyczajony do małych okienek, rzeźbionych krat i okiennic charakterystycznych dla skierowanych do wewnątrz pałaców, Ashe uznał, że duże szyby w niczym niezastąpionych oknach niemal nieprzyzwoicie obnażały dom, wystawiając go na widok publiczny. Ta myśl przypominała mu angielskie damy w ich bezwstydnym balowych strojach.

Kiedy się zbliżył, naraz otworzyły się drzwi frontowe i pojawiła się służba w liberiach, na czele z Perrottem, którego ruda czupryna przedstawiała znajomy widok.

– Witamy w Eldonstone, milordzie!

Do Ashe’a podbiegło dwóch stajennych, żeby odebrać od niego konia, a cała służba ustawiła się do prezentacji, której miał dokonać kamerdyner Stanbridge. Potem wszedł do środka. W holu obrócił się dokoła i na widok poplamionych dymem zasłon, braku jakichkolwiek ozdób, wepchniętych częściowo pod schody skrzyń i oznak ogólnego zaniedbania zaklął pod nosem po persku.

Stanbridge odchrząknął.

– Jego lordowska mość, świeć Panie nad jego duszą, twierdził, że stan rezydencji go nie interesuje, milordzie. Nie zamierzał, jak to ujmował, tracić pieniędzy na jej utrzymanie czy choćby solidne sprzątnięcie. Przykro mi bardzo, ale dosłownie szczątkowy zespół służby...

– Rozumiem. Ale czy mój dziad tutaj w ogóle mieszkał?

– Tak, milordzie. To tutaj przeważnie... ehm... przyjmował... – Twarz kamerdynera była tak nieprzenikniona, że równie dobrze mógł wykrzyknąć na głos swoje żale.

– Przyjmował? Tutaj? – Ashe otworzył drzwi do pomieszczenia, które kiedyś musiało być eleganckim salonem.

– Towarzystwo jego lordowskiej mości było zainteresowane głównie pić, polowaniem i damami o wątpliwej reputacji, a nie gospodarowaniem majątkiem i urzędowaniem domu.

– Rozumiem. No cóż, nie ma mowy, żeby moja matka i siostra mogły tutaj zamieszkać. – Wiszący nad kominkiem obraz sprawił, że nawet Ashe, nawykły do widoku erotycznych rzeźb, uniósł brwi.

– Nic dodać, nic ująć, milordzie – zgodził się Perrott. – Jakkolwiek nawet te budzące poważne wątpliwości przedmioty mogą przedstawiać wielką wartość artystyczną, ja nie podejmuję się na własną odpowiedzialność o tym decydować. Rozumiem, że przywiózł pan ze sobą eksperta, który to wszystko oceni?

– Tak, to panna Hurst, która nadjeżdża właśnie z wdowiego domu w towarzystwie lady Charlotte. Jutro rano rozpoczniemy pracę. Proszę przygotować sypialnie dla pań, Stanbridge.

– Oczywiście, milordzie. Jeden z lokajów zajmie się waszą wysokością w pawilonie ogrodowym, tradycyjnie przeznaczonym dla panicza. – Kamerdyner przymrużonymi oczami przyjrzał się Lucyferowi. – Każę przysłać dużą klatkę dla ptaków, milordzie. Za godzinę będzie obiad, o ile to waszej lordowskiej mości odpowiada?

Ashe wszedł na pierwsze piętro, zastanawiając się, czy nie najlepszym wyjściem z tej sytuacji byłoby jednak zrównanie wszystkiego z ziemią i postawienie budynku od nowa...

Zatrzymał się na podeście i spojrzął na schody oraz hol poniżej. Widok wydał mu się bar-

dzo ciekawy, a wewnątrz eleganckie, mimo że zostało wręcz karygodnie zaniedbane. Naraz poczuł zaskakującą i trudną do wytłumaczenia chęć, aby to smutne, opuszczone domiszcze uczynić ciepłym domem dla całej jego rodziny.

– Jestem rad, że to ja przyjechałem pierwszy, a nie mój ojciec – wyznał Ashe nazajutrz rano do stojącej obok niego w holu Phyllidy. – On z pewnością będzie miał pomysł na ten dom.

– Na początek trzeba zatrudnić armię sprzątaczek, zrobić generalne porządki i sprowadzić tu na stałe rodzinę. Wtedy ten dom odzyska dawny blask – powiedziała Phyllida, starając się nie poddawać zniechęceniu i ponuremu obrazowi zaniedbania. – Gdzie zaczynamy?

– Myślę, że tutaj. Potem przejdziemy do salonu. Kolejny będzie apartament panicza, a na koniec pokoje dla mojej siostry. Aha, muszę cię uprzedzić: niektóre z dzieł sztuki, z jakimi będziesz miała do czynienia, są nieprzyzwoite.

– Będę odwracała oczy – odparła Phyllida i Ashe uśmiechnął się po raz pierwszy tego ranka. – Zaufasz moim wyborom? – Trzy dni na wprowadzenie tu jako takiego ładu stanowiło naprawdę niemałe wyzwanie. – Czy mogę zlecać służbie, żeby zaczęła sprzątać i przestawiać meble?

– W tym względzie całkowicie zdaję się na ciebie – zapewnił ją Ashe. – Stanbridge, cała służba ma być do dyspozycji panny Hurst i zgodnie z jej poleceniami wynajmij dodatkową pomoc do sprzątania. Z całą pewnością będą też potrzebni lokaje do przestawiania mebli. Ja tymczasem pójdę zobaczyć, co się dzieje w stajniach.

Dopiero nazajutrz po śniadaniu Phyllida zauważyła w swojej pracy widoczne postępy. Postanowiła, że długa przestronna sala posłuży za miejsce do sortowania przedmiotów, kazała więc lokajom pownosić tam różne stoliki i zaczęła od rzeczy w holu i salonie. Sortowała je, dzieląc na kategorie. Szybko okazało się, że najliczniej reprezentowana jest grupa przedmiotów wartościowych, choć w wątpliwym guście lub nieprzyzwoitych.

Gobeliny z holu, pochodzenia flamandzkiego, zostały zdjęte ze ścian, zwinięte i przeznaczone do uprania; dziewczęta uwijały się, szorując marmurowe posadzki i zmywając ściany, które czekały na nowe obrazy.

Phyllida zakasała rękawy batystowej porannej sukni, buszując w jednej z dopiero co przyniesionych skrzyń. Co za szczęście, pomyślała, ścierając kurz, że nie przyjechała tutaj z intencją uwiedzenia Ashe'a. Od wczoraj prawie go nie widziała, i dobrze, bo musiała wyglądać, jak nie przymierzając, czupiradło.

Jeden z przedmiotów okazał się czarującą porcelanową figurką dziewczyny uchwyconej w pół tanecznego kroku, z uniesioną do góry ręką, jakby zamierzała ją podać partnerowi.

– A ty, młodzieńcze, gdzie się ukrywasz? – mruknęła pod nosem, ponownie sięgając do skrzyni. – O, jesteś! – Tryumfalnie odwinęła figurkę tancerza, przechyliła ją i odczytała na podstawie: – „Miśnia”. Coś pięknego.

Ostrożnie ustawiła figurki na stoliku z drobiazgami do zatrzymania, po czym jedną ręką uchwyciła rąbek spódnicy, a drugą, naśladując ruch porcelanowej dziewczyny, uniosła w górę.

– To prawda. – Naprzeciwko niej stał Ashe, wyciągając ku niej dłoń. – Zatańczymy?

Oczywiście Ashe się z nią droczył. A skoro tak, to dlaczego moje serce waliło jak oszalałe, policzki płonęły, a palce mimowolnie splatały się z jego palcami? – zastanowiła się w duchu.

– Menuet? Obawiam się, że to już zamierzchła przeszłość, milordzie.

– Pani zapomina, panno Hurst, że jestem tragicznie zapóźniony. To jest taniec w sam raz dla mnie. Spróbujemy? – Kiedy puściła jego rękę, poczuła, jak chwyta ją oburącz w tali i zbliża do siebie. – Są jeszcze inne tańce, których moglibyśmy spróbować razem – zasugerował Ashe niskim głosem.

Phyllida z trudem oddychała. Nie miała wątpliwości co do jego intencji. Ciekawe, czy

chodzi mu o to, żeby została jego kochanką na dłużej, czy tylko o kilkudniowy romans? Tak czy owak, powinna natychmiast stąd uciekać, a nie czekać, aż schyli swoją ciemną głowę i ustami poszuka jej ust. Tymczasem zamiast złości i lęku, czuła tylko pożądanie.

Ashe przyciągnął ją blisko, a ona zamknęła oczy, ale nie przez skromność. Rozkoszowała się bliskością jego prężnego ciała, ciepła i męskiego zapachu. Pierwszy pocałunek Ashe'a, wtedy na nabrzeżu, rozbudził w niej erotyczne fantazje, ale to była tylko gra, ot, zwykły figiel. Dopiero teraz zaznam prawdziwej pieśczoły, pomyślała, rozchylając wargi.

Czy Ashe oczekiwał od niej wzajemności? Nie miała pojęcia, jak odpowiedzieć, chociaż jej ręce instynktownie oplatały jego szyję. Phyllida mało nie zemdląła z wrażenia i niepokoju. Od razu wyczuł jej słabość. Przerwał pocałunek, a ona ocknęła się po chwili, w dalszym ciągu pozostając w jego ramionach.

– Myślałem, że nie jestem ci obojętny... – wyszeptał.

To przecież jest czyste szaleństwo, stwierdziła w duchu. Cudowne, podniecające, ale w najwyższym stopniu niewłaściwe. I do niczego nie prowadzi.

– Masz mnie za damę lekkich obyczajów? – zaatakowała go. Stała mocno, na pewnych nogach, tłumiąc w sobie chęć, by rzucić mu się w ramiona. Serce podpowiadało jej, że tylko Ashe może zatrzeć jej przykre wspomnienia i odegnać na zawsze nocne koszmary.

– Nie. Mam cię za namiętą kobietę, którą chcę całować, licząc na wzajemność. – Obserwował ją jak człowiek stojący oko w oko z nieprzewidywalnym niebezpieczeństwem, spokojny, ale gotów na to, by uniknąć zarówno policzka, jak i słownej chłosty.

– I co teraz? – zapytała.

– Moglibyśmy to powtórzyć... – powiedział tonem poważnym, ale w jego oczach igrało rozbawienie.

– Nie o to mi chodziło! Czy za każdym razem, kiedy zastaniesz mnie samą, mam się spodziewać pocałunków? Czy raczej wasza lordowska mość zechce mnie zaciągnąć do łóżka?

– Wasza lordowska mość... – powtórzył jak echo. – Czyżbym popadł w niełaszkę? A może jednak zgodzisz się pójść ze mną do łóżka, gdybym o to poprosił? Nie ukrywam, że takie są moje oczekiwania.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Phyllida wahała się o jedną zdradziecką sekundę za długo.

– Nie! Oczywiście, że nie pójdę z tobą do łóżka! – Uwolniła zaplątane w fartuch ręce i wygładziła pogniecioną tkaninę.

Ashe obrócił się, zwiększając tym samym dystans między nimi, żeby ją nieco uspokoić. Jak gdyby nigdy nic, zajął się oglądaniem figurek z miśnieńskiej porcelany.

– To szkoda, bo bardzo mi się podobasz.

Długimi palcami przesuwiał po porcelanowym ramieniu tancerki, a Phyllida zadrżała, jakby odczuwała tę pieszczotę na własnej skórze.

– Powiedziałeś, że mamy być jedynie przyjaciółmi – wyrzuciła z siebie oskarżycielskim tonem.

– Zawsze przyjaźniłem się z moimi kochankami – odrzekł Ashe.

– Co za wygoda! Bardzo ci na rękę to, że się tu pojawiłam, prawda? – A ja mam słabą wolę i nie potrafię ukryć tego, że śnię i marzę o dotyku twoich ust, sile twoich rąk, bliskości jędrnego ciała, dodała w myślach. – Zwłaszcza że nie masz tu żadnych innych rozrywek.

– Tu jest moc rozrywek, Phyllido, tyle że one nie są specjalnie atrakcyjne – odparł cierpko Ashe. – Czy chcesz powiedzieć, że naprawdę nic do mnie nie czujesz? Że tak bardzo myliłem się, odczytując twoje intencje?

Phyllida przeszła na drugą stronę skrzynki, którą właśnie rozpakowywała, rada z tego, że zwiększył się dystans między nimi. Następnie sięgnęła po kolejny zapakowany w papier przedmiot.

– Jestem przyzwoitą kobietą, milordzie. – Kłamczucha, usłyszała karcący głos sumienia.

– Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby ulegać uczuciom. – Papier ukazał ozdobną misę.

– A więc z tego wynika, że coś do mnie czujesz...? – kontynuował Ashe.

– Z tego wynika tylko tyle, że potrafisz bardzo dobrze całować. – Wytarła ręce w fartuch i znów sięgnęła do pudła. – Domyślam się, że masz w tych sprawach bardzo bogate doświadczenie. Czy może raczej ja mam na tyle niewielkie, że tylko mi się tak wydaje i w gruncie rzeczy jesteś mierny.

Ashe roześmiał się w głos.

– Nawet gdybym był zbyt pewny siebie i miał nadmierną wiarę w swoje umiejętności, wyleczyłabyś mnie z tego.

Phyllida zacisnęła usta, żeby powstrzymać mało eleganckie słowa. Po pewnym czasie, kiedy Ashe się nie odzywał i nie zrobił żadnego ruchu w jej kierunku, zapytała:

– Czy w swoich związkach widziałeś miejsce na uczucia? – Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. – Czarujesz swoje damy opowieściami o miłości?

Nastąpiła dłuższa cisza. Ashe patrzył na nią. Wzdrygnął się i naraz wydał się Phyllidzie bezbronny i zraniony. – Ashe? Co takiego powiedziałam? Nie chciałam cię zranić.

– Postanowiłem, że już nie powtórzę tego błędu – przyznał stłumionym głosem.

– Pokochałeś jedną ze swoich kochanek, tak? Co się z nią stało? – Domyśliła się, zanim odpowiedział. W zielonych oczach Ashe'a odmalowało się poczucie straty, smutek i chłód. – Nie żyje...

– Nie żyje – Ashe potwierdził i odwrócił się, udając, że ogląda porcelanę. – To są wyroby kontynentalne. Czy według ciebie przedstawiają jakąś wartość?

– Są wspaniałe. – Jeśli myślał, że w ten sposób odwróci jej uwagę, to się pomylił. – I cen-

ne. Ale to jest nieważne. Powiedz mi coś o niej. O kochance, którą darzyłeś uczuciem.

– To była jedyna kochanka, jaką miałem, tak myślę – przyznał, udając zainteresowanie figurką z miśnieńskiej porcelany. – Przed nią były tylko spotkania, po niej przelotne miłości. Re-shmi okazała się smutną lekcją życia.

– Była Hinduską? – Phyllida wyjęła figurkę z bezwolnych rąk Ashe’a. – Opowiedz mi.

– Jej imię znaczy „jedwabista”. Była kurtyzaną na dworze mojego ciotecznego dziadka. Piękna, słodka i łagodna dziewczyna. Wyjątkowa. – Z ukłuciem serca Phyllida zauważyła, że Ashe ma zamknięte oczy. – Zakochaliśmy się w sobie, na co nie powinniśmy sobie pozwolić. Opiekunka kobiecego *mahal* rozmawiała na ten temat z radzą, który mi powiedział, że robię jej krzywdę i że mam z nią zerwać znajomość.

– Ale dlaczego? Skoro się kochaliście...?

Ashe otworzył oczy i uśmiechnął się smutno.

– Dziadek zwrócił mi uwagę, że jestem dziedzicem tytułu hrabiowskiego i że niedługo będę musiał wyjechać do Anglii. Oświadczyłem, że połączyła nas miłość i że się z nią ożenię. Radza powiedział, żebym to dobrze przemyślał, bo byłby to głupi krok, którego żałowałbym przez całe życie... Ona także.

Phyllida patrzyła, jak Ashe podszedł do kominka i oparł się o niego, stanąwszy tyłem.

– No więc przemyślałem sprawę. Moja matka jest pół-Hinduską, wykształconą kobietą z książęcego rodu, wychowaną tak, by sobie poradziła z prowadzeniem dużego domu, pewną siebie i oswojoną z europejskim środowiskiem, a mimo to wiem, że wzdragała się przed przyjazdem tutaj, choć za wszelką cenę starała się to ukryć. Uznałem, że nie mogę zabrać jej do świata, którego nigdy nie zrozumie... Poza tym nie chciałem tym małżeństwem sprowadzać na rodziców odium skandalu.

– Jak ona to przyjęła? – zapytała Phyllida, bojąc się odpowiedzi.

– Zaczęła płakać... Błagała mnie, a kiedy okazałem się nieustępliwy, a nawet okrutny, bo przecież ja też cierpiałem, opanowała się, schyliła głowę i wyszeptała, że będzie tak, jak życzy sobie jej pan. Oddaliła się do ogrodu położonego u stóp murów, a ja pozwoliłem jej odejść... Sądziłem, że potrzebuje chwili samotności...

– Ashe, ale ona nie odebrała sobie życia, prawda?

– Nie. A przynajmniej to sobie wmawiam. Nadepnęła na *krait*, małego, ale bardzo jadowitego węża, i umarła w męczarniach.

Phyllida rozpaczliwie szukała właściwych słów, o ile w ogóle takie istniały.

Ashe odsunął się od kominka i podszedł do niej.

– Kiedy wreszcie przestałem się rozczulać nad sobą, zrozumiałem dwie rzeczy. Po pierwsze, że ożenię się, jak przystało przyszlęmu markizowi, a po drugie, że miłość to mrzonka, którą należy jak najszybciej porzucić.

– Ashe, miłość to nie jest mrzonka, to prawdziwe i potężne uczucie. Ono istnieje naprawdę. – Wzięła go za rękę, jakby w ten sposób chciała go zarazić swą wiarą. – Czyż twój rodzice się nie kochają?

– Namiętnie i bezwarunkowo. Taka miłość jest jak uderzenie pioruna i zdarza się bardzo rzadko. – Emocje i ból znikły z jego oczu. – Dość tego.

Nie będzie się już zwierzał, w każdym razie nie teraz. Pozwolił sobie na chwilę słabości i żałował, że się zdradził ze swoimi uczuciami.

– Gdybyś chciał mi pomóc, mógłbyś ze mną rozpakować te skrzynie – powiedziała szybko Phyllida, jakby bała się, że zacznie płakać nad nim i nad tamtą biedną dziewczyną. Oraz nad sobą. Okazało się bowiem, że nigdy nie będzie dla niego nikim więcej, niż tylko kochanką.

– Twój cięty i celny język jest dla mnie nieustającym źródłem radości – powiedział, czym

tak wystraszył Phyllidę, że mało nie upuściła akcesoriów kominkowych, które znalazła na dnie skrzynki.

– Pozwolę sobie zauważyć, że podobają ci się w kobietach bardzo dziwne rzeczy. – Wyglądało na to, że Ashe ocknął się już ze swojej smutnej zadumy, co Phyllidę z lekka zaniepokoiło. Stało się tak dlatego, że starał się ukryć swój ból za pozorami powalającego osobistego wdzięku.

– Ktokolwiek pakował te rzeczy, nie miał o nich zielonego pojęcia – dodała, wlokąc pustą skrzynkę do drzwi.

– Zostaw to, proszę. – Ashe podniósł skrzynkę, wyrzucił z pokoju i zabrał jej z ręki mebel, którym próbowała podważyć wieko następnej skrzynki.

– Dlaczego lokaje ci nie pomagają? – zapytał.

– Kazałam im usunąć meble z salonu.

– To siadaj tutaj – zarządził, stawiając krzesło po pustej stronie stołu, a następnie podwinął rękawy koszuli. – Teraz ja będę podawał ci kolejne skrzynki do przejrzenia.

– To wspaniale – zgodziła się potulnie Phyllida. Musiała przyznać, że jest już trochę zmęczona, ale obserwowanie Ashe’a przy pracy sprawiało jej wielką, choć może nie licującą z godnością damy przyjemność. Wyglądało na to, że w pracy fizycznej znajdował zapomnienie i odskocznię od swoich trosk. Podziwiała grę mięśni pleców, ramion i pośladków, kiedy się schylał.

Pragnienie, by zobaczyć jego nagie ciało, dotykać go, czuć pod palcami ich jędrność i siłę, klóciło się z chęcią wzięcia go w ramiona i pocieszenia. Na pierwsze zgodziłby się bez wahania, to drugie było niemożliwe.

– A wracając do twojej obserwacji sprzed chwili – podjął Ashe. Wziął do ręki figurkę z brązu, skrzywił się i bez wahania odłożył na stolik z rzeczami do odrzucenia. – Wiele czasu spędziłem w miejscu, w którym nie miałem okazji rozmawiać z paniami z towarzystwa, a potem jeszcze trzy miesiące na pokładzie statku, gdzie jedynym moim damskim towarzystwem były matka i siostra. To wielka przyjemność móc rozmawiać z kobietą inteligentną, która nie jest ani z rodziny, ani ze służby, ani...

– Ani z haremu? – mruknęła Phyllida i zaraz ugryzła się w język.

– Owszem. – Ashe wysypał resztę zawartości swojej skrzynki na stół i popchnął w jej stronę partię poważnie powyszczerbianych fajansów z Delft.

Phyllida odsunęła je z powrotem.

– Te rzeczy są w bardzo złym stanie.

– To już ostatnia skrzynka z holu. Byłoby dobrze, gdybyśmy poszli razem na jakieś pół godziny i zajrzeli w dalsze części domu.

Skoro Ashe zachowuje się, jakby nigdy nic, to i ona tego spróbuje. Ściągnęła z głowy nakrycie z ręcznika i próbowała rękami ułożyć sobie rozwichrzone loki. Następnie zdjęła fartuch i wyszła do holu.

– Dokąd idziemy?

– Może do Długiej Galerii, chciałbym obejrzeć moich przodków. – A raczej się z nimi skonfrontować. Byłoby to stosowniejsze określenie, sądząc z wyprostowanych ramion i zaciętych ust Ashe’a.

– Co o nich wiesz? – zapytała. Powinna się obawiać, idąc z nim sam na sam w głąb obcego domu zaraz po tym, jak wyznał, że chciałby, żeby została jego kochanką. Wyczuwała jednak, że Ashe nie użyłby wobec niej siły i może mu ufać.

Pchnął drzwi do Długiej Galerii. Jego ciało pulsowało niezaspokojoną żądzą. Chciał, żeby Phyllida została jego kochanką, i był pewien, że zdoła ją do tego przekonać. Rozmowa na temat Reshmi przywołała bolesne wspomnienia, ale jednocześnie przyniosła ukojenie. Przynajmniej

Phyllida będzie go teraz lepiej rozumiała.

Bardzo mu się podobała, nie tylko dlatego że była piękna. Cenił jej inteligencję i poczucie humoru. Ufał jej i cieszył się na wspólnie spędzony czas. Nie chciałby teraz tego wszystkiego zaprzepaścić.

A jednak miał nieodparte wrażenie, że Phyllida chętnie przyjąłaby go w roli kochanka. Na najmniejszy jego dotyk rumieniła się i ze śmiałością poszukiwała jego spojrzenia. Musiał postępować bardzo delikatnie.

Kiedy tylko ruszył wzdłuż galerii, dobry nastrój opuścił go, a w jego miejsce pojawiło się przygnębienie. Panowała tu niesamowita atmosfera. Gdyby wierzył w duchy, byłby przekonany, że tę salę nawiedza zimny smutek wszystkich jego przodków.

Zatrzymał się mniej więcej w połowie; westchnął, żeby odzyskać równowagę, i zaczął studiować naturalnej wielkości portret przedstawiający mężczyznę w bufiastych spodniach, kryzie i surducie ozdobionym drogimi kamieniami. W każdej postaci rozpoznawał te same oczy i ten sam nos, które codziennie oglądał w lustrze.

Markiz z czasów Jakuba II zdawał się zachęcać Ashe'a wzrokiem, by udał się na koniec galerii.

– Wszyscy są bardzo wyraźnymi blondynami – zauważyła Phyllida. – Twój portret będzie miłą odmianą. Czy myślisz, że jest tutaj i twój ojciec?

– Wątpię. – Nie wiedział, czy Phyllida zauważyła zmianę jego nastroju, czy wcale nie zwracała na niego uwagi. Posuwał się wolno, mijając mężczyzn i kobiety w bogatych strojach, o rozmarzonych spojrzeniach, aż dotarł do najnowszych czasów. Na niektórych obrazach jako tło pojawiała się rezydencja i park. Zwolnił, zbliżając się do jednego z ostatnich portretów. Phyllida przyglądała się połączanej ramie.

– Myślę, że to twój pradziad z twoim wujem, który zmarł, i z twoim dziadkiem. – Pokazała na chmurnego chłopca o surowej twarzy chowającego się za drzewem. Jego ojciec trzymał za uzdę pięknego gniadego konia, a starszy brat bawił się ze spanielem i z małym dzieckiem trzymającym piłkę. – Czy to może być lady Charlotte?

– Najprawdopodobniej. – Ashe próbował poczuć jakąś więź z tymi dwoma mężczyznami, z którymi był tak blisko spokrewniony, ale odczuwał tylko niechęć. Młodszy z nich wysłał swojego dorastającego syna tysiące mil od domu w podróż w nieznane, podczas której mało nie umarł, tylko dlatego, że drażniło go podobieństwo chłopca do jego zmarłej matki. Starszy mężczyzna z kolei nie zrobił nic, żeby powstrzymać marnotrawnego syna i zaopiekować się wnukiem.

Pomyślał, że ojciec czuje satysfakcję, rozbudowując galerię o swoją rodzinę. Nie tylko przeżył, ale powrócił i okazał się pod każdym względem lepszy od swoich przodków.

– Czujesz jakąś więź z tymi ludźmi? – zapytała Phyllida, wytrącając go z zadumy. Pograżony głęboko w swoich rozmyślaniach Ashe zupełnie zapomniał o jej obecności.

– Nie – odrzekł krótko. Spacer w galerii sprawił, że tym bardziej poczuł ciężar obowiązku wobec rodziny i rodu. I wcale mu się to nie podobało.

– A jak musi się czuć potomek rodziny królewskiej... – Phyllida odezwała się lekko, w niesamowity sposób odgadując jego myśli. – Odpowiadać nie tylko za nazwisko i wielki majątek, ale także dobro całego kraju, i to wszystko z urodzenia i za sprawą przypadkowego zrządzenia losu.

– A jak się czuje twój brat, który przecież też odziedziczył tytuł i majątek? A może jako jedyny syn bierze to za coś oczywistego?

Phyllida zmieniła się na twarzy i milczała, wyraźnie zastanawiała się nad odpowiedzią; po krótkiej chwili wzruszyła ramionami i odpowiedziała:

– Majątek był w tak złym stanie, że Gregory wcale się nim nie interesował. Był za młody na to, żeby wziąć na siebie odpowiedzialność... Uciekał od niej i wdawał się w różne afery. Początkowo miałam mu to za złe, dopóki nie zrozumiałam, dlaczego to robi.

– Ale ty nie boisz się odpowiedzialności?

Phyllida odwróciła się plecami do galerii przodków i wpatrzyła w okno.

– Jestem starsza od Gregory'ego, a poza tym myślę, że kobiety lepiej sobie radzą w sytuacjach beznadziejnych. Gregory z pewnością nie poddałby się na polu bitwy albo podczas jakiejś wyprawy. Trudności finansowe, gospodarowanie majątkiem i długi to nie są łatwe wyzwania dla temperamentnego młodego człowieka.

– Wygląda na to, że twój ojciec i mój dziadek mieli wiele wspólnego.

– Przypuszczam, że nawet się znali. – Phyllida wykrzywiła usta w pogardliwym grymasie.

– A więc to tobie przypadło znalezienie wyjścia z sytuacji. – Jej twarz wciąż nie wyrażała żadnych emocji. Choć zbladła, jej delikatne rysy zachowały swoje eleganckie piękno. Był pod wrażeniem jej charakteru i siły woli, która pozwoliła stawić czoło przeciwnościom losu.

– Zostałam do tego zmuszona. Teraz już wiesz, na kim ostrzyłam sobie język. Pomaga mi myśl, że Gregory w końcu dojrzeje i zrozumie.

– I zrozumiał?

– Myślę, że tak. A przynajmniej mam nadzieję! I podejrzewam, że jest w tym niemała zasługa Harriet. Mam wrażenie, że się w niej zakochał. – Spojrzała na Ashe'a. – Nie uśmiechaj się tak ironicznie, nie zgodzę się z tobą, że miłość zdarza się rzadko i jest mało prawdopodobna.

– A czy ja ironizuję? Ja po prostu uważam, że romantyczna miłość prawie zawsze prowadzi do rozczarowania, a co najmniej do utraty złudzeń. – Ashe wrócił na sam początek galerii, do czasów Tudorów.

– Twoi rodzice przeczą twojej teorii. Wystarczy na nich spojrzeć. – Phyllida ruszyła za nim, nie dając się odwieść od tematu, na co ewidentnie liczył.

– Ich historia jest jak z bajki: bohater ratuje księżniczkę z oblężonej twierdzy, uciekają przez wrogi kraj, walczą z bandami rabusiów, uciekają przed ścigającymi ich maharadzami. Jak mogli się w sobie nie zakochać? Cała historia musiała zostać wymyślona przez jakiegoś dzina. Mama zawsze żartuje, że jeśli kiedyś przyjdą na nas ciężkie czasy, to zostanie pisarką i odbuduje naszą fortunę, opowiadając o dramatycznych losach romantycznej miłości.

– A ty boisz się, że tobie nigdy nie przytrafi się nic tak wspaniałego jak im. – Ashe wzruszył ramionami. – I dlatego...ze strachu przed rozczarowaniem... nie zamierzasz tego szukać ani nawet tego pragnąć – dokończyła.

Ashe patrzył krytycznie na surowe twarze małżeńskiej pary, prawie niewidoczne spod grubej warstwy werniksu. Nie będzie się oszukiwał i nie pomyli pożądanego sympatii z miłością. Nie będzie lekkomyślnie ryzykował, że znowu kogoś zrani tak jak Reshmi.

– W swoich wyborach nie mogę kierować się sercem – powiedział. – Nie mogę czekać w nadziei, że w końcu znajdę kobietę, której wychowanie, usposobienie i koligacje okażą się właściwe.

– Czyli poszukujesz żony niczym jakiejs klaczy, tak? – warknęła Phyllida nagle zirytowana w sposób dla siebie niezrozumiały. – Nie zapominaj o zagłębieniu w zęby i właściwej szerokości bioder, aby mogła bez przeszkód wydać liczne potomstwo!

Ashe także się zdenerwował.

– Ty postępujesz bardzo podobnie! Sporządziłaś listę i akceptujesz tylko te kandydatki, które mają odpowiedni posąg i usposobienie, a ich rodzice nie dbają o majątek!

– To zupełnie co innego! Gregory będzie zrujnowany, jeśli się dobrze nie ożeni. Cały mój

dotychczasowy wysiłek pójdzie na marne! – Phyllida zrobiła się papierowo biała na twarzy i miała łzy w oczach.

– A moja rodzina zostawiła wszystko, co było im drogie i znane, żeby tu przyjechać i wziąć odpowiedzialność za rodzinną schedę. Mnie to wszystko guzik obchodzi. – Ashe zatoczył ręką łuk, wskazując na panteon przodków. – Ale znajdę kogoś, kto pomoże matce w jej obowiązkach związanych z debiutem Sary, a ojcu w nawiązaniu politycznych koneksji i stosunków z dworem królewskim. Nie mogę się tak po prostu objąć i żyć romantycznymi mrzonkami. – Przeszedł ręką włosy i westchnął ciężko. – Muszę iść. Zamierzam zwiedzić posiadłość – oznajmił. – Wezwij do pomocy jednego z lokajów i w żadnym razie nie dźwigaj sama ciężkich rzeczy.

Phyllida popatrzyła na jego wysoką sylwetkę, kiedy opuszczał Długą Galerię.

– Nie mam zamiaru płakać – powiedziała głośno, kiedy drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem. – Niepotrzebnie uciekasz.

Płakać tylko dlatego, że Ashe przywołał wspomnienie tego, przez co przeszła po tym, jak porzucił ich ojciec? Całą pracę, jaką musiała wykonać, gorzkie decyzje, jakie musiała podjąć, ofiary, jakie poniosła. On widział coś zgoła innego: wiecznie narzekającą starszą siostrę, która szuka bogatej żony dla brata, aby uratować jego majątek i uczynić zadość konwenansom.

Z kolanami podciągniętymi pod brodę usiadła na sofie w szerokim okiennym wykuszu. Pomyślała, że gdyby nie była silna, gdyby nie te wszystkie awantury, perswazje i intryzki, do jakich musiała się uciekać, Gregory najpewniej skończyłyby dokładnie tak jak ich ojciec.

Westchnęła ciężko i wyjrzała przez okno. Nagle z tych rozmyślań wyrwał ją widok jeźdźca, który przemknął galopem za niskim ogrodzeniem. Oczywiście był to Ashe, który pędził, jakby go wszyscy diabli gonili. W górze nad nim szybował Lucyfer jak opiekuńczy czarny duch.

Ten jego wybuch nie był wyrazem tylko irytacji, uznała, kiedy jeździec zniknął za kępą drzew. Dotknęła bolesnego tematu. Ashe nie wierzył, że jeszcze kiedykolwiek znajdzie miłość, a jego natura buntowała się przeciwko konwenansom wymuszającym na nim stosowne, ale wyzute z uczuć małżeństwo. Ciekawe, czy zdawał sobie sprawę, że w tym tkwi przyczyna jego frustracji? Wątpliwe. Z jej doświadczeń wynikało, że każdy mężczyzna prędzej ducha wyzionie, niż zniży się do analizy własnego stanu emocjonalnego. Nic dziwnego, że z taką bezpośredniością zaproponował jej, żeby została jego kochanką. Postanowił rozdzielić seks, miłość i małżeństwo tak, aby żadne emocje nie przeszkadzały mu w realizacji planów.

W ten sposób uniknie kłopotów wynikających z tego, że żona, którą obdarzy uczuciem, zrani go brakiem wzajemności. Tak samo byłby bezpieczny z kochanką, której będzie płacił za zaspokajanie potrzeb ciała, a nie ducha.

Phyllida żałowała, że zdenerwowała Ashe. Wiedziała jednak, że dużo ryzykuje, pozwalając, aby między nią a nim zrodziła się sympatia i zrozumienie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wszechobecna zieleń i spokój... Ashe zastanawiał się, czy to jest typowe dla Anglii. Ściągnął wodze i rozejrzał się dokoła, ogarniając wzrokiem park otaczający rezydencję. W czystym powietrzu jego złość wyparowała, pozostawiając jednak zawrót głowy jak po gorączce.

Zastanowił się nad tym nagłym wybuchem emocji, do jakiego doszło przed chwilą w Długiej Galerii. Wiedział, że zareagował zbyt ostro, ale nie miał pojęcia, dlaczego tak się stało – był pewny, że trzymał nerwy na wodzy. Nie rozumiał też, czym tak głęboko ją uraził.

Potrząsnął głową i przyjrzał się widokowi. Trawa w parku wybujała wysoko. W młodniakach walało się dużo suchych gałęzi, z murku poodpadały cegły. Kiedy Ashe podjechał do stawu, jego oczom ukazał się obraz zaniedbania: mulista, zarośnięta chwastem woda. Czyżby rzeczywiście jego dziadek tak bardzo nienawidził tego miejsca?

Ashe ruszył przed siebie, kierując się w stronę żywopłotu i bramy dzielącej park od gospodarstwa rolnego. Tu było lepiej. Niewiele wiedział o uprawie roli i zbiorach, ale widział, że ziemia jest zadbana i uprawiana z sercem.

– W czym mogę pomóc, *sir*? – Jakiś mężczyzna zatrzymał ciężkiego konia pociągowego.

Ashe spojrzał na krzepkiego, flegmatycznego mężczyznę w sztruksowych bryczesach i roboczych butach i uznał, że musi pochodzić ze wsi.

– Jestem Clere.

Mężczyzna uchylił kapelusza, ale poza tym w żaden inny sposób nie okazał szacunku.

– Witamy w Eldonstone, milordzie. Nazywam się William Garfield i tu gospodarzę. Nie możemy się doczekać, kiedy szanowni państwo wrócą do domu.

– Obawiam się, że zanim to nastąpi, trzeba tu będzie wykonać sporą pracę – mruknął pod nosem towarzyszący mu mężczyzna, który najwyraźniej zdawał sobie sprawę, jak wygląda dom.

– O rolnictwie mam słabe pojęcie albo nawet żadne, ale wygląda na to, że ziemia jest w porządku.

– Uprawiam ją od dwudziestu lat – odezwał się pierwszy mężczyzna – a przede mną dzierżawił ją od markiza mój ojciec. Ale inni drobni dzierżawcy są w znacznie gorszej sytuacji. Są całkowicie zdani na milorda, jeśli chodzi remonty i inwestycje.

Ashe docenił szczere spojrzenie mężczyzny i jego uczciwą krytykę.

– Czy miałbyś dziś chwilę, żeby mnie oprowadzić?

– Od tego jest zarządca majątku, pan Pomfret, milordzie... – zaczął Garfield.

– Który przymykał oczy na zaniedbania. Zanim się z nim spotkam, wolałbym sam się przekonać, co się tutaj dzieje.

Kiedy drugi mężczyzna energicznie skinął głową, Ashe cofnął się, żeby zrobić miejsce na otwarcie bramy.

– Zaczniemy więc od małych gospodarstw, milordzie. – Mężczyzna pocwałował przez park, a Ashe ruszył za nim. Nigdy nie interesował się uprawą roli, ale coś mu mówiło, że powinien się tą sprawą zająć.

– Co robiłeś przez cały dzień, Clere? – zapytała lady Charlotte. Phyllida, która nie mogła się doczekać, żeby zadać mu to samo pytanie, wpatrywała się w stojącą przed nią flaszczkę z przyprawami. – Muszę powiedzieć, że panna Hurst wykonała kawał wspaniałej roboty – dodała starsza pani. – Jestem przekonana, że przydałaby jej się pomoc, chyba że twój pomysł na dyskretne i przyzwoite zachowanie, to po prostu się ulotnił.

Phyllida powstrzymała zachnięcie. Lady Charlotte nie liczyła się z obecnością całej gro-

madki stojących pod ścianami lokajów, którzy z pewnością chłonęli każde jej słowo.

– Lord Clere był mi bardzo pomocny – wtrąciła pospiesznie – ale ja naprawdę sama radzę sobie doskonale. – Zaryzykowała spojrzenie w kierunku Ashe’a, nienagannie ubranego w strój wieczorowy, który jako jedyny zyskał aprobatę ciotki. W jego fularze tkwił wspaniały szmaragd.

Ashe uśmiechał się niespieszony.

– Objeżdżałem posiadłość w towarzystwie pana Garfielda, naszego dzierżawcy. To było, o dziwo, naprawdę bardzo interesujące.

– Myślałam, że pan niewiele wie na temat uprawy roli, milordzie – wtrąciła Phyllida.

– Dlatego to tak mnie zainteresowało, ale nawet ja mogłem zauważyć, że przez lata dochodziło tutaj do skandalicznych zaniedbań, zarówno jeśli chodzi o ziemię, jak i zabudowania – oznajmił Ashe, w którego tonie nie było zwykłej żartobliwej nuty. – Dzierżawcy żyją w okropnych warunkach, ziemia też jest zaniedbana, co oczywiście ma wpływ na plony, a tym samym i dochody z dzierżawy.

– Pomfret był człowiekiem twojego dziadka – zauważyła lady Charlotte. – To kawał lenia. Z pewnością nabijał sobie kabzę jego kosztem.

– Zamierzam go jutro wyrzucić – powiedział Ashe i rozejrzał się po twarzach lokajów. – Tak dalej być nie może, rozumiano? – Zignorował wymamrotane pod nosem „Tak jest, milordzie” i dodał: – Na jego miejsce zatrudniłem młodszego syna Garfielda.

– Tak od razu?! – wykrzyknęła lady Charlotte. – Nie pytając o zdanie Eldonstone’a?

– To nie może trwać ani chwili dłużej. A poza tym ojciec z pewnością przychylił się do mojej decyzji. – Spojrzał na Phyllidę i zauważył, że go uważnie obserwuje. – Chociaż ani trochę nie przejmuję się swoimi przodkami, to zależy mi na ziemi i na ludziach.

Lady Charlotte parsknęła.

– Zaczynam wątpić, czy aby na pewno jesteś Herriardem! Każdemu z członków rodu... mam na myśli ostatnie generacje... bardziej zależało na nazwisku i statusie społecznym niż na posiadłości... chyba że przynosiła zyski.

– Ziemia i ludzie, tylko to się liczy – powtórzył Ashe.

– Tak łatwo się zakochujesz? – zapytała Phyllida, ale zaraz ugryzła się w język. Nie powinna wobec Ashe’a żartować z miłości.

– Na to wygląda – powiedział wolno, a jego oczy spochmurniały, kiedy napotkał jej wzrok. – Owszem, ale tylko w idei. Dziś po południu, kiedy objeżdżałem nasze włości, czułem silniejszą więź z przeszłością, niż kiedy czytałem o moich przodkach czy oglądałem ich portrety w Długiej Galerii.

– Jeśli to znaczy, że zamierzasz wyciągnąć dobra rodzinne z bagna, w jakim się pograżały, to właściwie nie ma znaczenia, jak górnolotnych użyjesz słów – skwitowała cierpko lady Charlotte.

– Ojciec jest zdeterminowany, aby zrobić tutaj porządek, a ja zamierzam go w tym wspierać. Nie mam pojęcia, co będzie czuł, kiedy przyjedzie do Eldonstone. Jeśli mu się tutaj nie spodoba, to pewnie przekaże majątek mnie.

– Przede wszystkim powinieneś znaleźć sobie żonę, która by ci w tym pomogła, i to raczej prędzej niż później – zauważyła lady Charlotte. – A czy masz chociaż pojęcie, co należy do obowiązków pani domu w takim majątku?

– Nie, ale jestem przekonany, że szanowna ciocia mnie oświeci – rzekł z uśmiechem, który Phyllida uznała za ironiczny.

– Nie ma takiej potrzeby. Jeśli poślubisz właściwą dziewczynę, sama będzie wiedziała, czym się zająć. Wątpię jednak, czy którakolwiek z miejscowych panien sprostałaby temu zadaniu... – zastanawiała się głośno lady Charlotte.

– To oszczędziłoby panu koszmaru przyjęć u Almacka, milordzie – powiedziała słodko Phyllida i skutecznie ukryła zazdrość na myśl o stadku panien krążących wokół Ashe’a, z których każda mogłaby wnieść w wianie połacie sąsiadującej z jego majątkiem ziemi.

– Podejrzewam, że ojciec ustąpi mi pola i powierzy opiekę nad matką i siostrą w tym miejscu – dodał Ashe ponuro. – Od tego nie ucieknę. Pojutrze wracam do miasta.

Zaraz po herbacie panie udały się na spoczynek. Ashe zsunął buty i oparł nogi na sofie, słuchając cichnących w oddali narzekań lady Charlotte na kiepską jakość herbaty Bohea.

To jego nagłe poczucie więzi z tym miejscem w oczach Phyllidy granoczyło z cudem. Nagle znalazł tutaj swój dom, a on sam okazał się autentycznym Herriardem z Eldonstone, tak samo jak okazał się kiedyś jego synowie.

To wszystko prowadziło go jednak do nieuchronnego wniosku, że niezbędna mu jest żona. Nie wiedział jednak, jakie są obowiązki kobiety w tak wielkim majątku? Tak czy inaczej, wkrótce jego matka nieuchronnie się o tym przekona, a synowa byłaby nieocenioną pomocą.

Nikogo takiego nie umiał sobie jednak wyobrazić. Zamknął oczy i westchnął ciężko. Wiedział, jakie powinna mieć wychowanie i zalety, ale nie zastanawiał się jeszcze nad jej wyglądem. Oczyma wyobraźni zobaczył kobietę średniego wzrostu o dużych piwnych oczach, z dołeczkami w brodzie, skorą do tego, żeby się z niego śmiać, sprzeczać z nim i go... całować.

Do diabła, potrzebna mi jest kochanka, stwierdził i znowu pomyślał o Phyllidzie. Wtedy będzie dopiero mógł się skoncentrować na szukaniu żony. Wstał, odnalazł porzucone buty i ruszył do biblioteki w poszukiwaniu czegoś nudnego, co pomoże mu szybko zasnąć.

Trzeciego wieczoru w Eldonstone Phyllida poczuła miłe zmęczenie i satysfakcję, która wynikała z dobrze wykonanej pracy. Lady Charlotte obeszała z uznaniem urządzone pokoje: hol, salon, komnatę lady Sary i apartament panicza.

Ashe natomiast gdzieś przepadł – pewnie oglądał przeciekające dachy i pola, które wymagały melioracji – stwierdziły zgodnie Charlotte i Phyllida.

– Wreszcie mój bratanek, jego żona i córka będą mogli spać spokojnie, bez ryzyka koszmarów sennych – oświadczyła z humorem starsza pani podczas obiadu. – Im szybciej dotkniesz swoją czarodziejską różdżką pozostałych sypialni, tym lepiej. Muszę wyznać, że od kiedy śpię tutaj, nie przespałam dobrze żadnej nocy.

Ashe pojawił się tuż przed obiadem, miał rozwiane włosy i promieniował energią.

Przez cały posiłek zebrani opowiadali sobie różne koszmarnie historie na temat poszczególnych pomieszczeń, ale wszyscy byli zgodni co do tego, że Phyllida musi tu jeszcze przyjechać i zająć się pozostałymi pomieszczeniami, jakby to była rzecz postanowiona. Ona sama jednak miała co do tego poważne wątpliwości.

Koniec końców, obiecała pomóc im pozbyć się rzeczy, które chcieliby sprzedać, ale nie wyobrażała sobie dłuższego pobytu w Eldonstone, zwłaszcza gdy Ashe zajmie się poszukiwaniem żony.

Ashe nie powiedział już ani słowa więcej na temat ich ewentualnego romansu i nie dotknął nawet jej ręki. Wyglądało na to, że mogła nareszcie poczuć się bezpiecznie, choć czuła do niego coraz więcej sympatii. Wiedziała, że znalazła się o krok od zakochania się w Ashe’u Herriardzie.

– Panno Hurst? – głos zniecierpliwionej lady Charlotte przebił się do świadomości Phyllidy. – Pani buja w obłokach! O czym pani myśli?

Zerwała się z krzesła i prawie upuściła łyżkę.

– O mi... – Urwała i zaczerwieniła się lekko. – Bardzo przepraszam, ale zastanawiałam się nad wystrojem wewnątrz i kolejnością koniecznych do wykonania prac.

Ashe, który właśnie rozmawiał z lokajem na temat wina deserowego, nie zauważył jej za-

kłopotania. Lady Charlotte natomiast obdarzyła ją przeciągłym, wymownym spojrzeniem, ale powstrzymała się od jakichkolwiek komentarzy.

– Jeśli pani jest gotowa, panno Hurst – powiedziała tylko – to proponuję zostawić Clere’a w jego apartamencie.

Phyllida wyszła za starszą damą z pokoju, przygotowana na reprimendę za to, że pozwala sobie śnić na jawie przy stole albo, co gorsza, że zadurzyła się w dziedzicu tych dóbr, nie mając mu ze swej strony nic do zaoferowania.

Nic takiego jednak się nie wydarzyło. Lady Charlotte podzieliła się z nią lokalnymi ploteczkami, a po kilku chwilach zadzwoniła po swoją pokojówkę.

– Pójdę się położyć – oznajmiła. – Ten chłopiec wyrósł na przyzwoitszego, niż można się było spodziewać.

– Pani ma na myśli lorda Clere? – zapytała Phyllida. – Doprawdy trudno nazwać go chłopcem.

– Naturalnie, że nie jest chłopcem. – Słowa te orzechowe oczy badały twarz Phyllidy przez niepokojąco długą chwilę, po czym lady Charlotte odwróciła się i podeszła do drzwi. – Mam nadzieję, że wie, co robi, to wszystko. Dobranoc, panno Hurst.

– Dobranoc pani – odpowiedziała, mając nadzieję, że starsza dama nie zorientowała się co do jej uczuć.

W głowie Phyllidy panował jednak zbyt wielki zamęt, żeby się mogła nad tym zastanawiać. Postanowiła czym prędzej udać się do pokoju i dobrze wypaść przed jutrzejszą podróżą do Londynu.

Ashe ostrożnie szedł po schodach na górę. Nie chciał o tej porze nikogo obudzić. Jednakże jak na złość stojący w holu stary zegar szafkowy wybił drugą. Wciąż był jakiś dziwnie rozkojarzony. Zdawał sobie sprawę z tego, że nie ma ochoty opuszczać Eldonstone, zwłaszcza że czeka go nieszczęsne polowanie na żonę. To jednak nie wyjaśniało jego podłego nastroju. Postanowił, że wróci tu najprędzej, jak tylko się da, i od jutro zacznie traktować poszukiwania stosownej kandydatki na żonę jako sprawę absolutnie priorytetową. Nie było przecież w tym wszystkim nic nowego. Tak jak zresztą w permanentnej frustracji, która od dawna mu towarzyszyła.

Idąc na palcach, minął drzwi pierwszej sypialni. Apartament panicza, jak go uparcie nazywał Stanbridge, duży i ponury, znajdował się na tyłach domu.

– Niech sobie idzie!

Stanął jak wryty. Cienie, rzucane przez płomień jego świeczki, wykonały na ścianach szalony taniec. Cisza, jaka nastąpiła po tym żądaniu, była chyba jeszcze bardziej niepokojąca. Zorientował się, że jest na wysokości sypialni Phyllidy. Czy to jakiś nocny koszmar, czy może coś się stało? – zastanowił się.

Obrócił w dłoni gałkę drzwi i otworzył je bezgłośnie. Migotliwy płomyk świeczki oświetlił łóżko, na którym siedziała Phyllida z szeroko otwartymi oczami, zwrócona twarzą ku niemu.

– Phyllido...

Nie odpowiedziała, więc Ashe wszedł do pokoju. Drzwi zamknęły się za nim z cichym kliknięciem. Dla jego przewrażliwionych uszu ten dźwięk był jak wystrzał. Wstrzymał oddech i wyteżył słuch. Byli sami – słyszał jej oddech, czuł bicie własnego serca. Poza tym otaczała ich absolutna cisza.

Kiedy doszedł do łóżka, Phyllida nie poruszyła się, a jej wzrok wydał mu się nieprzytomny. Najwyraźniej śniła koszmar. Zastanawiał się, czy zostawić ją w spokoju, kiedy Phyllida poruszyła się i złapała za brzeg kołdry, jakby ją zamierzała odrzucić. Nie, postanowił w duchu, będzie musiał ją obudzić, nie może pozwolić na to, żeby lunatykowała.

Postawił głośno lichtarz na nocnym stoliku, ale wciąż śniła niespokojnie.

– Phyllido! Obudź się.

Wydała z siebie coś w rodzaju westchnienia i cofnęła się w głąb łóżka, w dalszym ciągu błądząc wzrokiem po pokoju.

– Nie... – wyszeptała i uniosła ręce, jakby się broniła.

Ashe usiadł na krawędzi łóżka i ujął ją mocno za ramiona.

– Obudź się, Phyllido. Jesteś bezpieczna.

Mimo że widział, jak z łatwością dźwigała bardzo ciężkie rzeczy, jej ramiona wydały mu się drobne i kruche. Jakby te nocne lęki wyssały z niej całą siłę. Zamrugła i Ashe zauważył, że odzyskuje świadomość.

– Ashe?

– Miałaś koszmar, więc pomyślałem, że cię obudzę. – Mówił ściszym głosem. – Czy jesteś lunaticzką?

– Od lat mi się to nie zdarzyło. – W ciepłym blasku płomienia świecy wydała się papierowo blada.

– Musiało ci się przyśnić coś złego, bo usłyszałem, jak krzyczysz. Co to było? – spytał.

– Ty... – wyszeptała.

– Ja śniłem ci się w jakiś przykry sposób? – Zszokowany, odsunął się odruchowo, ale nie wypuścił z rąk jej ramion. Po chwili przyciągnął ją do siebie.

– Śniło mi się, że portrety twoich przodków pospadały ze ścian i cię przygniotły. Jakby oni wszyscy się na ciebie rzucili... I cały czas coś mówili, bełkotali... – Phyllida wzdrygnęła się, a Ashe ją przytulił. – Widziałam twoją lewą rękę, miałaś na palcu sygnet swojego ojca. A potem zrzuciłeś ich wszystkich z siebie i wstałeś, ale oni nadal sięgali po ciebie ze swoich ram upiornie białymi rękami, na których widać było takie same sygnety...

Ashe wziął ją w ramiona, a ona wtuliła twarz w jego pierś i objęła go rękami. Gdy tylko uspokoi Phyllidę, pójdzie do galerii i stawi czoło duchom przeszłości, pomyślał i cieszył się jej bliskością. W tym momencie liczyło się tylko to, że trzyma w ramionach ciepłą, delikatną kobietę.

– Dziękuję ci, że wzięłaś na siebie moje koszmary – szepnął jej do ucha. Aż dziwne, że była taka wrażliwa, że tak potrafiła go zrozumieć.

Phyllida roześmiała się. – Nie sądzę, żeby to tak działało, ale w każdym razie dziękuję ci, że mnie obudziłeś.

– Akurat tędy przechodziłem... – Niby odruchowo zaczął przesuwając ręką wzdłuż jej pleców, pod tą pieśczętą zaczęła prężyć się jak kotka.

– Ashe. – Poruszyła się w jego ramionach, odchyliła lekko głowę i spojrzała w jego oczy.

Nie planował tego. Po prostu instynktownie pochylił głowę, ustami znalazł jej usta i bez reszty zatracił się w pocałunku.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zamknięta w jego objęciach Phyllida stała się uosobieniem kobiecego ciepła, a wszelkie jej opory rozplynęły się wśród ciemności nocy. Ashe wyczuł w dłoni pod batysem koszuli krągłość jej piersi.

Nie mogąc doczekać się jej dotyku na nagiej skórze, zrzucił żakiet i fular, a następnie, nie przerywając pieszczoty, jedną ręką ściągnął przez głowę koszulę. Kiedy nachylił się i delikatnie uszczypnął wargami jej ramię, usłyszał cichy, świadczący o podnieceniu jęk.

– Ashe... – wyszeptała.

Uniósł głowę i z jej chmurnych oczu wyczytał zachętę do pocałunków. Wiedział, że jest bliski uwolnienia jej od lęków i skrupułów.

Do diabła! – zaklął w duchu i pomyślał, że nie może tego zrobić. Z wysiłkiem graniczącym z fizycznym bólem odsunął się od Phyllidy.

Wszystkie jego dotychczasowe kochanki były Hinduskami, a teraz zachwycał go kontrast między jego bladoczystą skórą a jej – perłowobiałą. Długie palce Phyllidy na jego ciemnych ramionach wyglądały jak śmietanka na miodzie.

Delikatnie przejechał czubkiem języka po jednym z nich.

– Nie, Ashe. Nie mogę. Nie mogę zostać twoją kochanką. – Cofnęła ręce.

– Dlaczego nie? – zapytał, starając się uspokoić oddech. – Kiedy się całujemy...

– Pragnę cię, Ashe. Nie jestem hipokrytką, żeby udawać, że jest inaczej. Mówiliśmy o tym, a ja nie zmieniałam zdania... Myślałam, że to zrozumiałeś.

– Zrozumiałem, ale... – Był zdecydowany zmienić jej postanowienie. – Kiedy wchodziłem do tego pokoju, nie miałem na myśli niczego poza twoim bezpieczeństwem. Biorąc cię w ramiona, chciałem cię tylko uspokoić... Ale wtedy... – Spojrzał jej prosto w oczy. – Moje intencje zmieniły się. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

Powinna zezłościć się na niego, obudzić w nim poczucie winy i wstydu, tak żeby już nigdy więcej nie próbował jej kusić.

– Cóż... Masz wiele na swoje usprawiedliwienie – usłyszała swój głos Phyllida. – Twoje awanse były mi miłe. Zachęcałam cię... – Zmusiła się do uczciwości. – Ale chciałam tylko czuć twój dotyk i smak twoich ust. Większość mężczyzn by na tym nie poprzestała. Namawialiby mnie, twierdząc, że to ja ich sprowokowałam.

Walczyła ze sobą, wciąż czując bliskość jego nagiej piersi, i mimowolnie zastanawiała się, jak by to było kochać się z Ashe'em. Czy jego pocałunki zatarłyby przykre wspomnienia i wzbudziłyby falę namiętności? A może sparaliżowałby ją lęk?

Zamknęła oczy, wyobrażając sobie, jak krzyczy i wbija paznokcie w jego policzek. Zaraz potem zawstydzila się na myśl, że Ashe poznałby jej najgłębszą tajemnicę: że oddała siebie i swoją niewinność innemu mężczyźnie, i to nie z miłości, ale dla pieniędzy. Jak ladacznica.

– Ale ty mnie nie prowokowałaś – powiedział, uwalniając ręce i wstając. – Biorę odpowiedzialność za to, co robię. Pragnę cię bardziej, niżbym się tego spodziewał, ale to nie znaczy, że kierują mną jedynie instynkty... Czy teraz już lepiej się czujesz? Zadzwoń po pokojówkę, żeby przyniosła ci trochę ciepłego mleka albo czekolady. To cię uspokoi.

– Po takim pocałunku nie wystarczy cząstka czekolady, żeby mnie uspokoić – odparła cierpko. – A poza tym dlaczego miałabym obudzić tę biedaczkę? – Patrzyła, jak Ashe wciąga koszulę, a następnie chowa ją w spodniach. Pomyślała, że wspomnienie tej chwili bliskości będzie prześladowało ją w snach.

– Dobranoc, Phyllido. – Ashe sięgnął po wiszący na krześle fular i zawiązał go sobie na szyi. – Śnij o cudach z bezcennej porcelany i drogich kamieni. Do jutra.

Phyllida nie pamiętała o czym śniła, ale poczuła żal, słysząc szmer rozsuwanych zasłon, który powrócił ją do rzeczywistości.

– Dzień dobry, panno Phyllido. – Anna była wesoła i świeża jak szczypiorek na wiosnę. – Wstajemy! Już dawno jesteśmy po śniadaniu, które jego lordowska mość zamówił na ósmą. – Anna podeszła do łóżka i jej uśmiech zgasł. – Jest pani biała jak papier. Nie wygląda pani za dobrze.

– I tak się właśnie czuję. – Phyllida wsparła się na poduszkach, próbując ocenić swoją kondycję. – Niestety, męczą mnie mdłości.

– Podejrzewam, że to wczorajsza ryba. Część trafiła na dół, do kuchni, i William też poczuł się źle. Pójdę powiedzieć jego lordowskiej mości, że pani nie może dzisiaj wracać.

– Broń Boże! – Musi znaleźć się jak najdalej od Ashe’a. – Na lorda Clere czeka rodzina, a i lady Charlotte chciałyby wrócić do siebie. Zaraz poczuję się całkiem dobrze. Przynies mi może tylko śniadanie do pokoju.

Z trudem przełknęła kawałek sucharka, który popiła cienką herbatką, umyła się i ubrała, chociaż żołądek cały czas nie dawał jej o sobie zapomnieć. Lady Charlotte, przeciwnie, była w świetnej formie. Nadstawiła nawet policzek do pocałowania, po czym zajęła miejsce w powozie, którym miała wyruszyć w niedaleką podróż do domu.

– Wsiadamy – popędzała Annę Phyllida. Nie chciała stać w słońcu, żeby Ashe nie zauważył jej zielonkawej cery. Prawdopodobnie złożyłby to na karb zarwanej nocy, a ona tego by nie chciała.

Kiedy Ashe zęgnął ciotkę, zdążyła się usadowić w ciemnym kącie powozu.

– Jesteś bardzo szybka – skomplementował ją Ashe. – Wygląda na to, że dzień będzie piękny.

– To cudownie! – Jej wesoły ton musiał go przekonać, że wszystko jest w porządku, bo zatrzasnął drzwi pojazdu, dosiadł konia i ruszyli.

Phyllida zawzięcie żuła liście mięty, ale przez kołysanie powozu i nierówności powróciły zawroty głowy i nudności.

Tymczasem zajechali do King’s Langley, gdzie miała nastąpić zmiana koni. Na podejździe gospody Phyllida wysiadła, przytrzymując się wysokiego koła pojazdu.

– Co się stało? – Nagle u jej boku pojawił się Ashe i podał jej ramię.

– Nieświeża ryba – wyjaśniła Anna.

Ashe wziął Phyllidę na ręce i wnosząc ją do gospody, rzucił krótko:

– Pokój dla pani, z ciepłą wodą i miską.

– Nie potrzeba... dam sobie radę... – Rozejrzała się dokoła. Była to duża, przyzwoita gospoda.

– Proszę tutaj, *sir*. O, biedactwo – usłyszała jakiś obcy kobiecy głos. Posadzono ją na krześle i poczuła podtrzymujące ją silne męskie ramię pachnące drzewem sandałowym. – Odrobina likieru miętowego z pewnością nie zaszkodzi, *milady*.

Phyllida zrozumiała, że Ashe posłużył się swoim tytułem, a kobieta wzięła ją za jego żonę, i to ciężarną.

Napiła się likieru i świat wraz z nią zakołysał się. Czyżby miała zemdleć? To niemożliwe...

– Ona za chwilę zemdleje – głos Ashe’a dochodził jak gdyby z oddali. – Zaniosę ją do łóżka.

Jeśli rzeczywiście straciła przytomność, to tylko na chwilę. Ocknęła się, leżąc na narzu-

cie, podparta poduszkami.

– Przepraszam – wyszeptala.

– Proszę się niczym nie przejmować, *milady* – usłyszała pocieszający kobiecy głos – zaraz przyniosę gorącą cegłę.

– Gdzie jest Anna? – zapytała Phyllida, bezskutecznie próbując pozbyć się gorsetu. Czula się w nim jak w imadle, nie mogła oddychać.

– Poszła po aptekarza, żeby kupić niezawodną, jak twierdzi, miksturę na nudności. Czy przeszkadza ci gorset? – zapytał Ashe. – Nie twierdzą, że mam w tych sprawach doświadczenie, indyjskie kobiety są na tyle rozsądne, że takich rzeczy nie noszą, ale zobaczę, co da się zrobić.

Phyllida ani się spostrzegła, kiedy nachylona do przodu i oparta o ramię Ashe'a poczuła, jak jego zręczne palce najpierw rozpinają guziki jej sukni, a następnie rozsznurowują gorset.

– Och, Ashe, to nie przystoi... Nie możesz!

– Ależ mogę – odparł. – Myślałem, że będę musiał poprzecinać te sznurowadła, ale obyło się bez tego. I co teraz? – Zsunął jej sukienkę, w dalszym ciągu podtrzymując ją w pozycji siedzącej, i wyciągnął gorset. Phyllida głęboko zaczerpnęła tchu. – No jak, lepiej?

– Lord Clere i jego żona, mówi pani? I biedaczka ma mdłości? Zobaczę, może będę mogła jej pomóc. To tu, gdzie te otwarte drzwi? – Phyllida usłyszała donośny kobiecy głos, szum spódnic i w drzwiach ukazała się lady Castlebridge, osoba o najdłuższym języku w całym świecie londyńskiej socjety, która dosłownie pożerała ich wzrokiem. – Panna Hurst!

Phyllida z cichym jękiem oparła czoło na ramieniu Ashe'a w płonnej nadziei, że w ten sposób zdoła choćby częściowo ukryć obnażone ciało. Kompletna katastrofa, sytuacja nie do uratowania – pomyślała – chyba że rozstąpiłaby się ziemia i ją pochłonęła.

– Pani? – Ashe położył Phyllidę na poduszkach i nakrył ją narzutą. – Nie przypominam sobie, by mnie pani przedstawiano. Gdyby było inaczej, z pewnością by pani wiedziała, że nie jestem żonaty.

– Ależ każdy wie, kim pan jest, lordzie Clere! – Rozkosz wywołana odkryciem skandalu odmalowała się na twarzy hrabiny w sposób aż nazbyt oczywisty. – A skoro nie słyszeliśmy o pańskim ślubie, obecność panny Hurst wraz z panem, i to w takiej sytuacji, wydaje się czymś zaskakującym. Ale proszę się nie obawiać, jestem lady Castlebridge i mogę państwo polegać na mojej całkowitej dyskrekcji.

– Panna Hurst cierpi na zatrucie pokarmowe, które dało o sobie znać podczas podróży. Zemdląca u moich stóp i uznałem, że nie mogę jej zostawić bez pomocy... – Słowa Ashe'a, nacechowane niemiłym zdziwieniem, zostały wypowiedziane dość wyniosłym tonem, jakby nie mógł uwierzyć we wtargnięcie hrabiny.

– Zapewne jest pan bliskim przyjacielem rodziny, skoro służy pan pomocą w sytuacji tak intymnej. Pójdę zobaczyć, co się stało z pokojówką panny Hurst.

Mimo niezręcznej sytuacji Phyllidę rozbawiła pospieszna rejterada hrabiny.

– Proszę wybaczyć, *madame* – szczęśliwie doszedł ich głos Anny. – Dziękuję, milordzie, teraz już poradzę sobie sama. – Kiedy drzwi się zamknęły, Anna dodała: – Oboje już poszli, panno Phyllido. Myślałam, że hrabia udusi to stare wścibskie pudło... Jak się pani czuje?

– Okropnie. – Phyllida usiadła i otworzyła oczy. Jej gorset wisiał u wezglowia łóżka tak, jak go zostawił Ashe, sukienka opadła jej do talii i tylko koszulka stwarzała pozory przyzwoitości.

– Kto pani zdjął gorset?

– Jego lordowska mość.

– A niech mnie!

– No właśnie.

– A ta stara wiedźma to widziała? O, proszę to wypić, panno Phyllido. Specjalnie po to pobiegłam do aptekarza.

– Ona nie tylko widziała mnie na łóżku w objęciach lorda Clere w samej halce, ale także usłyszała od właścicielki, że cierpię na poranne mdłości. – Phyllida od razu poczuła dobroczynne działanie naparu na chory żołądek. – Jestem zrujnowana, Anno.

– Ależ skąd! – zaprotestowała pokojówka. – Już jutro pokaże się pani w mieście w doskonałej formie i rozwieje podejrzenia o ciąży – pocieszyła ją służąca.

– Nie o to chodzi. Wszystkim mówiłam, że jadę do przyjaciół do Essex. Jak się wytłumaczę z tego, że widziano mnie w łóżku w gospodzie w Hertfordshire z lordem Clere, który zdejmuje mi bieliznę? Stawiam pięćdziesiąt gwinei, że ta stara wiedźma odkryła, że przyjechaliśmy razem, nawet jeśli nie towarzyszył mi w powozie. – Phyllida odrzuciła przykrycie i wstała z łóżka.

To jest całkowita katastrofa, dodała w myślach, podczas gdy Anna doprowadzała do porządku jej garderobę. I wtedy poraziła ją jeszcze jedna myśl: zaręczyny Gregory’ego.

– O mój Boże! A co powie pan Millington, kiedy się dowie? Po czymś takim nie pozwoli Harriet wyjść za mojego brata. Wracamy do Londynu najszybciej, jak to tylko możliwe. Muszę porozmawiać z Gregorym i przekonać pana Millingtona, że ta sytuacja w najmniejszym nawet stopniu nie odbije się na reputacji jego córki.

– Panno Phyllido!- Anna ruszyła za swoją panią po schodach. – Musi pani odpocząć!

– Odpocznę w drodze. – Phyllida zebrała wszystkie siły i modląc się, żeby jej drżące nogi nie odmówiły posłuszeństwa, wpłynęła do holu.

– Dzień dobry, lordzie Clere. – Zatrzymała się i złożyła przed Ashe’em ukłon. – Chciałam panu bardzo podziękować za pomoc, ale jak pan widzi, jestem w dostatecznie dobrej formie, żeby kontynuować podróż. Lady Castlebridge, zapewniam panią, że wszystko jest w porządku. Nie cierpię na żadną zaraźliwą chorobę, to była tylko chwilowa niedyspozycja. Jestem przekonana, że się wkrótce zobaczymy na wieczorze muzycznym.

Po czym, zanim ktokolwiek zdążył powiedzieć choćby jedno słowo, schroniła się w powozie. Anna dała forysiom sygnał i pojazd z turkotem kół ruszył w kierunku Londynu i – niesławy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Ashe zastał ojca wraz z jego sekretarzem Edwardsem w gabinecie. Siedzieli pochyleni nad stosem korespondencji.

– Mam nadzieję, że dobrze spędziłeś czas. – Uśmiech markiza zgasł na widok wyrazu twarzy syna.

– Przepraszam, że przeszkadzam, *sir*, ale potrzebuję rady pana Edwardsa. Chodzi mi o przepisy dotyczące zawierania małżeństw w Anglii.

Ojciec Ashe'a zastygł w bezruchu, a następnie odłożył pióro, które trzymał w ręce. Sekretarz poprawił okulary i odchrząknął. Miał kamienną twarz.

– Ewentualne przeszkody w zawarciu małżeństwa muszą być ogłaszane w parafiach obojga narzeczonych przez okres trzech tygodni. Można tego uniknąć dzięki pozwoleniu od biskupa i często wyższe sfery korzystają z tego rozwiązania. Dla małżeństw, dla których termin zawarcia ślubu jest bardzo krótki, wymaga się specjalnej dyspensy od arcybiskupa, co dla mieszkańców Londynu oznacza konieczność osobistego stawienia się w Izbie Prawniczej i wniesienia niemałej opłaty. – Sekretarz spojrział na zegar. – Jeśli takie pozwolenie jest panu potrzebne, milordzie, obawiam się, że trzeba z tym poczekać do jutra.

– Bardzo panu dziękuję. Nie brałem pod uwagę krótszego terminu niż tydzień. – Ashe podszedł do pustego kominka i oparł nogę o osłonę paleniska. – Czy moglibyśmy pana przeprosić na chwilę?

Kiedy Ashe został z ojcem sam na sam, bez wstępów przeszedł do rzeczy.

– Skompromitowałem pannę Hurst i niestety muszę się z nią ożenić.

– Niestety? – Ojciec uniósł brwi.

– Nie spełnia naszych warunków jako kandydatka na żonę. Jest nieślubnym dzieckiem, nie ma wstępu na dwór królewski ani do Almacka, a tym samym nie będzie mogła asystować matce i Sarze. – Ashe beznamiętnym tonem wymieniał kolejne ograniczenia. Nie zamierzał ukrywać rozmiarów katastrofy. – Jej brat nie ma żadnych politycznych wpływów, jego dobra ziemskie są położone w znacznej odległości od naszych i nie przyniosą nam żadnych korzyści. Panna Hurst nie ma też posagu. Co więcej, prowadzi sklep, do którego sama kupuje towary i potem sama je sprzedaje... Innymi słowy, jest handlarką i jeśli ten fakt wyjdzie na jaw, liczba miejsc, w których nie będzie przyjmowana, z pewnością wzrośnie.

– Twoja matka także jest nieślubnym dzieckiem, a jej ojciec parał się handlem – markiz przypomniał synowi spokojnym tonem, który jednak skrywał powściągane emocje.

– Tak – zgodził się z ojcem Ashe – ale ona jest córką księżniczki i nababa, a ty jesteś markizem. W oczach socjety to czyni wielką różnicę.

– W jaki sposób panna Hurst została skompromitowana? Czy jest w ciąży?

– Nie! – Ashe starał się zapanować nad nerwami. – Ależ nie, to wszystko było w gruncie rzeczy bardzo niewinne, tyle że niefortunne. W drodze powrotnej poczuła się źle i zemdlała w gospodzie. Jej pokojówka udała się do aptekarza, a ja w alkowie próbowałem poluzować jej gorset... Wtedy zaskoczyła nas swoją wizytą lady Castlebridge, znana jako żarłoczna łowczyni skandali.

Markiz mimowolnie parsknął śmiechem.

– Nie ma w tym nic śmiesznego – zwrócił mu uwagę Ashe.

– Wszystko to razem zakrawa na farsę – powiedział markiz. – Ale tak, synu, z tym się nie da zrobić. Masz rację, musisz się z nią ożenić, trzeba tylko zręcznie to rozegrać. – Ojciec

spojrzał synowi głęboko w oczy. – A czy ona ci się przynajmniej podoba?

– Owszem. – Ashe wzruszył ramionami. – Jeśli mam być szczerzy, to nie będzie wielkie poświęcenie. – A kochanie się z Phyllidą to będzie czysta przyjemność, dodał w duchu.

– W tej sytuacji najkorzystniejsza będzie specjalna dyspensa.

– Nie. Wszystko już przemyślałem. Sądzę, że skandal będzie najmniejszy, jeśli rozpocznę oficjalnie ubiegać się o jej rękę, a ślub z panną Hurst odbędzie się za jakieś dwa miesiące. W ten sposób utniemy plotki o ciąży, a ona odzyska dobre imię.

– A czy ciąża w ogóle wchodzi w rachubę?

– Miała torsje po zjedzeniu nieświeżej ryby, a żona właściciela gospody uznała na tej podstawie, że panna Hurst jest w ciąży... Powiedziała to tak głośno, że wszyscy słyszeli i...

Markiz oparł się wygodnie w fotelu i przeczesał palcami włosy.

– Mój Boże! A ja myślałem, że po przyjeździe do Anglii spokojnie wtopimy się w londyńską socjetę, nie wywołując w tutejszym świątku żadnych zawirowań. – Po tych słowach westchnął ciężko i niespodziewanie wybuchł gromkim śmiechem. – Może chodźmy do mamy i powiedzmy jej, że wkrótce będzie miała synową.

Ojciec zniósł to dobrze. Ashe podejrzewał, że matka, osoba dość ekscentryczna, również mu przebaczy, a Sara, romantyczna podfruwajka, pomyśli, że się zakochał, i po prostu zignoruje ewentualne afronty.

Ja tymczasem otrzymam nagrodę w postaci małżeństwa z kobietą, którą polubiłem i której pragnę. Wystarczyła chwila nieuwagi i otwarte drzwi do alkowy, pomyślał z goryczą i poszedł szukać matki. Zachowa się wobec Phyllidy po rycersku, ale musi też spełnić obowiązek wobec rodziny.

Panna Hurst będzie z pewnością zachwycona perspektywą małżeństwa z wicehrabią i spadkobiercą tytułu markiza. Będzie trzeba tylko jak najszybciej zamknąć ten przeklęty sklep, od którego wszystko się zaczęło.

– Gregory! Ach, na szczęście jesteś w domu!

Gregory ukazał się w drzwiach salonu w koszuli z podwiniętymi rękawami i z piórem w ręku.

– Witaj, Phyll. Mam dla ciebie dobrą wiadomość. – Phyllida weszła w krąg światła padającego przez otwarte drzwi salonu i Gregory zobaczył jej twarz. – Jesteś chora! Anno, co się stało?

– Poproś, żeby przyniesiono herbatę – zwróciła się do pokojówki Phyllida. – Nic wielkiego, Gregory, to tylko nieświeża ryba. Chorowałam na żołądek, to wszystko. Chodźmy do salonu. Musimy porozmawiać.

– Zdejmij kapelusz i pelisę. Powinnaś od razu położyć się do łóżka!

– Dziękuję ci, Gregory. Co to za dobre wiadomości?

– Harriet przyjęła moje oświadczenia. – Widząc na twarzy brata wyraz prawdziwego szczęścia, Phyllida poczuła radość. A jednak zależało mu na Harriet...

– Dzięki Bogu! To cudowna wiadomość, Gregory!

– Do tego Millington okazał się bardzo życzliwy i bezpośredni w ustalaniu warunków małżeństwa. Szczęśliwie jego oczekiwania okazały się bardzo sensowne. Właśnie przeglądałem papiery. Zależy mu na gwarancjach zabezpieczenia majątkowego Harriet i dzieci.

– Bo zna twoją słabość do hazardu, Gregory – zauważyła ciepłym tonem Phyllida i zaraz poczuła wyrzuty sumienia. – Muszę coś ci jednak wyznać: zrobiłam coś bardzo nierozsądnego i nie wiem, czy pan Millington nie wycofa zgody na małżeństwo.

– Co takiego? – Gregory wpatrywał się w twarz siostry. – Co takiego, na miłość boską, mogłaś zrobić? Chodzi o Clere'a? Nigdy w życiu nie powinienem był ci pozwolić na ten wyjazd!

– Usiądź, Gregory, bardzo cię proszę. To był fatalny zbieg okoliczności i lord Clere nie miał z tym absolutnie nic wspólnego. – Phyllida wyjaśniła bratu, co się stało w gospodzie, a on słuchał, przechadzając się nerwowo tam i z powrotem, co chwila przeklinając pod nosem. – Muszę porozmawiać z Millingtonami, zanim dowiedzą się o tym z jakichś innych źródeł.

– Boże...! Masz rację. – Gregory padł na krzesło, ukrywając twarz w dłoniach. – Oczywiście pójdę z tobą, muszą wiedzieć, że masz moje całkowite wsparcie. Ale gdzie jest Clere? Powinien już tutaj być ze specjalnym pozwoleniem w ręku i propozycją uratowania twojego dobrego imienia!

– Nie mam pojęcia, gdzie może być teraz lord Clere. – Phyllida z wyrazem udręki na twarzy zamknęła oczy. – Uciekłam z tej gospody, zanim zdążyliśmy zamienić na ten temat choćby dwa słowa. W każdym razie nie mam zamiaru wychodzić za niego za mąż...

Ale przecież potrzebowała jego pomocy w zatuszowaniu skandalu i zabezpieczeniu narzeczeństwa Gregory'ego. Oczekiwała, że ich dogoni, zatrzyma powóz i zażąda rozmowy. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że Ashe po prostu zamierzał całą tę sprawę przemilczeć.

– Do stu piorunów! – wybuchnął Gregory. – Musisz wyjść za niego za mąż. Zaraz się tam wybiorę i jeżeli stwierdzą, że nie zamierza się zachować jak człowiek honoru, zażądaj satysfakcji.

– Gregory... – Pukanie do drzwi przerwało Phyllidzie w pół słowa.

– List do pani, panno Phyllido. – List był na droгим papierze, opatrzony ciężką czerwoną pieczęcią.

Phyllida od razu ją rozpoznała. Złamała pieczęć trzęsącymi się dłońmi, rozprostowała pojedynczy arkusz papieru i zaczęła głośno czytać.

Szanowna Panno Hurst!

Mam nadzieję, że Pani samopoczucie po przebytej niedyspozycji jest już na tyle dobre, że zaszczyci pani dziś wieczorem swoją obecnością przyjęcie u pani Lawrence. Z wiarygodnych źródeł wiem, że będzie obecna rodzina państwa Millingtonów, a także lady Castlebridge. Zamierzam uciszyć tę damę i uspokoić przyszyłych teściów Pani brata w sposób, który, mam nadzieję, zyska Pani aprobatę.

Pani sługa unizony,

Clere.

– Ma zamiar się oświadczyć i wszem wobec to ogłosić – powiedział Gregory, wycierając chusteczką pot z czoła. – Dzięki Bogu.

– Nie planuję wyjść za niego za mąż i nie widzę żadnego powodu, dla którego miałabym to zrobić – oznajmiła Phyllida. – Wystarczy, że wyjaśnię wszystko Millingtonom i będę się zachowywała jakby nigdy nic. Chyba uwierzą w prawdziwą przyczynę mojej niedyspozycji.

– Przecież nie możesz odrzucić oświadczyń dziedzica hrabiowskiego tytułu – zaprotestował Gregory. – A poza tym i tak zostałam skompromitowana i nic już tego nie zmieni.

– Jak to nie mogę odrzucić jego oświadczyń? Oczywiście, że mogę. Inaczej pomyślą, że zastawiłam na niego sidła. Dla mnie najważniejsze jest twoje małżeństwo z Harriet, więc jeśli zdołam przekonać Millingtonów, nie zgodzę się na ślub.

Gregory pokręcił z dezaprobatą głową, ale nie odezwał się.

– Idę się położyć; będę odpoczywała do wieczora – oznajmiła zmęczonym głosem Phyllida. – Na razie nie jestem w stanie dłużej o tym rozmawiać.

– Panno Hurst, jest mi bardzo miło znów panią widzieć. – Pani Millington uściśnęła dłoń Phyllidy z promiennym uśmiechem. – A zatem plotka jeszcze do niej nie dotarła. – Nie wątpię, że lord Fransham podzielił się z panią tą radosną nowiną – dodała ściszym głosem, kiedy Phyllida dołączyła do niej i jej męża w zacisznym kącie salonu.

– Owszem. Jestem bardzo szczęśliwa i czekam z niecierpliwością na dwudzieste urodziny panny Harriet i ogłoszenie zaręczyn. Nie wątpię, że państwa córka będzie wspaniałą żoną dla Gregory’ego, a on okaże się dbającym mężem. – Zza zasłony wachlarza Phyllida szukała wzrokiem lady Castlebridge i Ashe’a.

– Czy dobrze się pani czuje, panno Hurst?

Phyllida uchwyciła się tej okazji.

– Szczerze mówiąc, nie najlepiej. Zatrulałam się wczoraj i jeszcze nie doszłam do siebie – dodała szeptem. – Pozwoli pani, że usiadziemy?

– Naturalnie. A pan Millington z pewnością znajdzie lokaja z kieliszkiem wina...

Phyllida zaczęła, aż pan Millington wróci. Wtedy położyła dłoń na jego ramieniu, dając znać, że chce porozmawiać. Kiedy usiadł obok niej, zaczerpnęła tchu i zaczęła:

– Muszę się do czegoś przyznać, *sir*: miałam rano niemiłe spotkanie, po którym do tej pory nie mogę się uspokoić. Jechałam powozem, a kiedy zatrzymaliśmy się, żeby zmienić konie, zrobiło mi się słabo w tamtejszej gospodzie i zemdlałam. Wspierał mnie w tej trudnej chwili lord Clere, który przypadkiem też tam był, ale całą scenę zauważyła lady Castlebridge. – Głos Phyllidy zadrżał lekko. – Obawiam się, że mogła wysnuć niewłaściwe wnioski, a bardzo bym nie chciała, żeby jakiś skandal położył się cieniem na planach mojego brata.

– Ta kobieta – pani Millington nie ukrywała niechęci – żyje plotką, a jej wścibstwo jest odrażające. Nie wierzę w ani jedno jej słowo, droga panno Hurst, nawet gdyby przysięgała, że niebo jest błękitne.

Phyllida zauważyła, że pan Millington nie miał już tej pewności.

– Musimy zatem wyjaśnić tę sprawę – oznajmił.

Pani Millington zmarszczyła czoło, jakby dopiero teraz zrozumiała ewentualne konsekwencje skandalu.

– To prawda. Mam nadzieję, że nie stało się nic, co mogłoby jeszcze pogorszyć sytuację...?

Phyllida czuła, jak krew napływa jej do twarzy.

– Lord Clere pomagał mi poluzować garderobę, a gospodyni uznała, że muszę być przy nadziei...

– Co takiego? O mój Boże, toż to skandal! I co w tej sytuacji ma zamiar zrobić Clere?

– Nie mam pojęcia – odparła Phyllida. – Jest znajomym Gregory’ego, ale...

– Ach! Oto i on we własnej osobie – oznajmiła pani Millington wyraźnie podenerwowana. – Jest również lady Castlebridge.

Jak przystało na damę, Phyllida w najmniejszym nawet stopniu nie zdradziła się z tym, że widzi nadchodzącego wicehrabiego, i kontynuowała wymianę nic nieznaczących uprzejmości z Millingtonami.

– Panno Hurst. – Czy kiedykolwiek jego głos był taki głęboki i donośny? Wszystkie głosy odwróciły się w jej stronę; na twarzach gości malowało się pełne podniecenia wyczekiwanie. – Co za ulga widzieć panią tutaj. Jak zdrowie?

– Dziękuję, dobrze. – Co on najlepszego wyprawia? Dlaczego przemawia takim donośnym tonem? Przecież wszyscy go słyszą, dziwiła się Phyllida.

– Mam nadzieję, że słabość, z którą się pani zmagala dziś rano w gospodzie, przeszła bez śladu? – Phyllida wiedziała, że wyraz niepokoju na jego twarzy jest z pewnością udawany. – Pani, proszę wybaczyć... Wiem, że żadna dama nie życzyłaby sobie, żeby plotkowano o jej słabościach. – Głos Ashe’a był nie mniej donośny niż poprzednio. – Wygląda jednak na to, że miała pani rację i że przykre skutki spożycia nieświeżej ryby szczęśliwie ustąpiły.

– Lord Clere.

Phyllida pospiesznie weszła mu w słowo i zaczęła dokonywać prezentacji. Ashe odwrócił się do pani Millington i skłonił głowę.

– Szanowna pani...

– To pan był uprzejmy przyjść pannie Hurst dziś rano z pomocą?

– Jakżeż nieudolnie – odparł ze śmiechem Ashe. Phyllida zorientowała się, że wszystkie oczy są zwrócone na nich i że zmarszczka na czole lady Castlebridge świadczy o jej niewątpliwej konfuzji. – Należało położyć pannę Hurst na kanapce i czekać na powrót jej pokojówki od aptekarza, zamiast brać ją na ręce. Cóż to musiała być za gratka dla lady Castlebridge!

A więc tak to zamierzał rozegrać! Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko przyłączyć się do niego.

– Nie wyobraża sobie pani – Phyllida przytomnie zwróciła się do pani Millington – jakie to wszystko było zawstydzające: właścicielka gospody, która głośno wyrażała swoją opinię co do przyczyn mojej niedyspozycji, szarmancki lord Clere trzymający w ramionach omdlałą damę w dezabilu, no i nieoceniona lady Castlebridge, która tak bardzo chciała pomóc...

Phyllida z uśmiechem zwróciła się do hrabiny, która z trudem trzymała język za zębami.

– Proszę przyznać, szanowna pani, czy nie była to czysta farsa? Gdyby nie to, że stałam się jej mimowolną bohaterką i tak bardzo źle się czułam, dosłownie skręcałabym się ze śmiechu.

– Cała ta sytuacja wyglądała co najmniej dziwnie – ucięła krótko hrabina. Wszyscy dokoła zaczęli się śmiać i w ten sposób wymarzony skandal lady Castlebridge spalił na panewce.

– No właśnie. – Phyllida skwitowała to wymuszonym chichotem. – Wiem, że nie powinienam się śmiać choćby ze względu na biednego lorda Clere, który ledwie przyjechał do Londynu, a już zrobiono z niego uwodziciela.

– Myślę, że każdy dżentelmen, który ma choć trochę oleju w głowie – powiedział ciepło Ashe – zachowałby się na moim miejscu tak samo.

Phyllida nagle znalazła się w samym środku zainteresowania wszystkich gości. Panie ze współczuciem pytały ją o zdrowie, miotając pod adresem lady Castlebridge niechętnie spojrzenia. Mężczyźni natomiast poklepywali Ashe'a po plecach.

– Ależ lord Clere to mistrzowsko rozegrał – szepnęła pani Millington w pobliżu ucha Phyllidy. – Mam tylko nadzieję, że to wystarczy.

– No właśnie... – mruknął jej mąż. – Jeżeli sprawa nie ucichnie, będę musiał od nowa pomyśleć o zaręczynach Harriet.

– To oczywiście – odparła szeptem zdenerwowana Phyllida. – Doskonale to rozumiem, niemniej jestem przekonana... Jeśli państwo wybaczą – dodała już głośniejszym głosem – to ja... to ja usiądę. Mimo wszystko przeceniłam swoje siły, przychodząc tu dzisiaj.

– Zapraszam panią jutro na przejażdżkę po Hyde Parku – oznajmił Ashe. Kilka młodych dam spuściło nosy na kwintę. – Czy pasuje pani jedenasta?

– Dziękuję bardzo. Świeże powietrze dobrze mi robi. – Ashe skłonił głowę i oddalił się. Oczywiście nie może poślubić lorda Clere, a nawet więcej: ona go nie chce poślubić. A skoro tak, to dlaczego czuje się rozczarowana?

Spojrzała na kamienne oblicze pana Millingtona, próbując przekonać samą siebie, że wszystko będzie dobrze.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

– Powinienem poczekać i zamienić z lordem Clere kilka słów.

Phyllida poprawiała przed lustrem kapelusik i zastanawiała się, czy przypadkiem proces reformowania jej brata nie zaszedł zbyt daleko.

– Absolutnie nie ma takiej potrzeby. Przedyskutowaliśmy sprawę wczoraj wieczorem... Zresztą sam słyszałeś, w jak zręczny sposób Clere obrócił sytuację przeciwko lady Castlebridge.

– Gregory nie wydawał się przekonany. – Zaprosz Harriet na spacer, tak jak obiecałeś. Jest piękna pogoda.

– Clere powinien się z tobą ożenić – upierał się Gregory. – Dla twojego dobra i...

– Ale dlaczego? Przecież Millingtonowie okazali się wyrozumiali, chyba się co do tego nie myślę, prawda?

Gregory niespokojnie przestąpił z nogi na nogę i rozłożył list, który trzymał w ręce.

– To od Harriet. Píše, że przy śniadaniu odbyła trudną rozmowę z ojcem. Wygląda na to, że wspomniał o skandalu wokół naszych rodziców, a potem o rodzinie Clere'a. Mówił, że jego matka jest nieślubnym dzieckiem i do tego pół-Hinduską. Uważa, że Clere nie traktuje dość poważnie sprawy majątku.

– I pan Millington cofa swoją zgodę?

– Do tego nie doszło. Myślę, że jeśli zostaniecie w Londynie i uciszycie plotki na temat ciąży, a Clere w przyzwoity sposób będzie starał się o twoją rękę, to może uda się go uspokoić. – Zwykle wesółą twarz Gregory'ego przybrała wyraz niespotykanej u niego determinacji. – Zresztą nawet jeśli nie wyraziłby zgody na ślub, ja i Harriet uciekniemy do Gretna Green.

– Co takiego?! W żadnym razie! Pan Millington wydziedziczy Harriet i zostaniecie bez grosza.

– Jakoś sobie poradzimy. Harriet jest zdecydowana, potwierdza to w liście. My się kochamy, Phyll.

– Gregory, proszę cię, nie działaj pochopnie. Jakoś wyciszę ten skandal, przysięgam. Obiecuj mi, że nie zrobisz nic lekkomyślnego.

Wzruszył ramionami.

– Dobrze. Chyba że zostanę do tego zmuszony.

Szczęśliwie Ashe okazał się punktualny, chociaż Phyllida była zbyt podniecona, żeby podziwiać elegancką dwukółkę, którą podjechał.

– Musimy porozmawiać – oznajmił, pokonując wzniesienie St. James's Street i kierując się w stronę Piccadilly.

– Przecież rozmawiamy – odparła, a jej żołądek ścisnął niepokój.

– Nie mam na myśli towarzyskiej pogawędki. Gdzie możemy uniknąć tłumów?

– Jeśli przetniesz Serpentine, wskażę ci mniej uczęszczaną trasę, gdzie jednak cały czas będziemy na widoku. Ale zgadzam się z tobą, owszem, musimy porozmawiać. I to pilnie.

Ashe nie odpowiedział, a Phyllida odwróciła się tak, żeby widzieć jego profil, świadoma obecności siedzącego za nimi forysia.

– Harris, wysiądziesz tu i zaczekasz na nas. – Ashe zatrzymał się zaraz za bramą, poczekał, aż mężczyzna wykona polecenie, a potem ponaglił konie do kłusa. – Jak się czujesz?

– Szeszona – ucięła krótko Phyllida. – I zdenerwowana.

– Miałem na myśli skutki zatrucia rybą.

– Wszystko w porządku, dziękuję. No i już się prawie uspokoiłam po tym koszmarnym

przedstawieniu u pani Lawrence. Wyperswadowałam mojemu bratu wyzwanie cię na pojedynek, ale się martwię, bo jego przyszli teściowie traktują sprawę bardzo poważnie. Pan Millington przypomniał skandal związany z naszymi rodzicami i niestety również mówił o niekonwencjonalnej przeszłości twojej rodziny.

– Do diabła! – zaklął pod nosem, ale zaraz uśmiechnął się do niej ciepło. – Miło mi, że lord Fransham jest gotów nie wyzywać mnie na pojedynek. Zresztą, po co miałby spotykać się z przyszłym szwagrem na udeptanej ziemi?

– Co takiego? – Phyllida mało nie upuściła parasolki. – Musimy się zachowywać jak dwoje znajomych, dopóki nie stanie się jasne dla towarzystwa, że nic nas nie łączy. Ponadto, będę jak najczęściej widywana, aby rozwiać wątpliwości co do ciąży... ale naprawdę nie ma powodu, żebyś musiał się ze mną żenić.

– Uśmiechnij się – poprosił ją Ashe i zwolnił do stępa. – Idzie ktoś, kogo chyba znasz.

– Lady Hoskins... – Phyllida przybrała miły wyraz twarzy i wytrzymała wzrok damy, jej syna i córki. – Piękny mamy dzisiaj dzień, nieprawdaż? – A kiedy ta trójka znalazła się poza zasięgiem słuchu, dodała: – Jakież to żenujące.

– Wszyscy szybko przyzwyczajają się do tego, że staram się o twoją rękę – powiedział spokojnie Ashe, skracając na most.

– Milordzie... Proszę z tym skończyć. – Ashe uniósł brew. – Mam na myśli tę maskaradę z małżeństwem. Doskonale zdajesz sobie sprawę z tego, że absolutnie nie nadaję się na twoją żonę.

– Skompromitowałam cię. I nie tylko my o tym wiemy. Wie to również twój brat i lady Castlebridge.

– A czy fakt, że nie chcemy tego małżeństwa w nie mniejszym stopniu niż twój ojciec, nie ma żadnego znaczenia?

– To sprawa honoru i dobrego imienia, co moja rodzina doskonale rozumie. Poza tym nic skuteczniej nie odegna niepokoju Millingtonów, jak to, że ich córka wyjdzie za syna markiza – Ashe spokojnie argumentował.

– Dyskusja z tobą jest jak próba przekonania kota – powiedziała z rozdrażnieniem Phyllida. – Siedzisz sobie spokojnie, mruyczysz swoje, oblizując się i nie zwracając najmniejszej uwagi na to, co mówię.

– Oblizując się? – Raz wreszcie Ashe wydawał się zbity z tropu.

– Wiesz doskonale, co mam na myśli. A skoro jesteś tak zdecydowany, żeby się ze mną ożenić, to dlaczego nie zjawiliś się u mojego brata ze stosownym dokumentem w rękę?

– Żeby potwierdzić słowa lady Castlebridge i wzbudzić plotki? Obserwowaliby ciebie uważnie w oczekiwaniu na siedmiomiesięczne niemowlę... Tymczasem właściwie, zgodne z obyczajem zaloty nie dość, że pozostawią twoją reputację bez skazy, to jeszcze niektórzy uznają, że incydent w gospodzie nas po prostu do siebie zbliżył.

– Twój honor może zostanie uratowany, Ashe'u Herriard, ale co z moim? Na pewno pojawią się złośliwe komentarze, że usidliłam doskonałą partię...

– To nonsens. Przecież odrzuciłaś propozycję, by zostać moją kochanką.

– Naprawdę? – Może zniewaga uświadomi mu wreszcie, jak szalony jest to pomysł, skoro nie mogła mu wyznać, dlaczego nigdy nie będzie mogła poślubić żadnego mężczyzny. – Może nie starałaś się dostatecznie? Niczego mi nie zaoferowałaś... Nawet się nie zająknałaś o drogiej biżuterii, wspaniałych strojach czy luksusowym apartamencie... A może miałaś nadzieję, że będziemy się potajemnie spotykali w pokoju nad sklepem, co?

– Gdybym cię uznał za kobietę przekupną, z pewnością użyłbym takich argumentów.

– I stwierdziłaś, że pocałunki w zupełności wystarczą, tak?

– Miałem nadzieję, że nie wydałem ci się odrażający – przyznał Ashe. – Chociaż, szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, na jakiej podstawie – dodał ponuro.

– I słuszną miałeś nadzieję. Wiesz o tym doskonale, więc przestań udawać! – zrugła go Phyllida, uśmiechając się mimo woli. – Naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego cię lubię: dyrygujesz mną, próbujesz organizować mi życie, uwodzić mnie...

– Nie! – przerwał jej Ashe. – Nic podobnego. Chciałem cię przekonać... owszem, ale nie uwieść.

– Zupełnie nie rozumiem tego rozróżnienia.

Ashe obrócił się do Phyllidy, wpatrując się w nią mrocznym wzrokiem.

– Co zatem mogłoby cię przekonać? Chyba tylko groźba zerwania zaręczyn przez Millingtona i skandal!

– Czy zapomniałeś już, jakiej żony szukałeś? Kogo widziałeś u boku twojej matki i siostry podczas jej debiutu? Czy nie liczą się już koneksje, nieskazitelne pochodzenie i posag idealnej kandydatki? – Phyllida prowokowała go, oczekując mocnego zaprzeczenia. Oczywiście by mu nie uwierzyła, ale to by w pewnym stopniu zaspokoilo jej urażoną dumę.

– Wobec honoru to wszystko nie ma znaczenia! Moje dobre imię może uratować tylko małżeństwo – odparł Ashe otwarcie.

Ona jednak nie mogła być z nim równie szczerą. Nie pozostawało jej nic innego, jak uciec się do kłamstwa. Znowu. Tylko w ten sposób uratuje zaręczyny Gregory'ego, a jednocześnie swoje dobre imię.

Przyjmie oświadczyzny Ashe'a, a po ślubie brata je odwoła. Towarzystwo z pewnością uzna, że rodzina Herriardów miała dużo szczęścia, i wszystko wróci do normy.

– Rozumiem – powiedziała wolno, wciąż rozważając swój plan. – Jak sobie wyobrażasz zatem zaloty?

– Będą publiczne, to znaczy, że musimy być jak najczęściej widywani przez towarzystwo.

– Wobec tego sugerowałabym, żebyś skierował się już ku bardziej uczęszczanym częściom parku. A kiedy planujesz poddać się namiętnemu acz nierozsądnemu pragnieniu poślubienia mnie?

– Za cztery tygodnie?

– Niech będzie. – Wiedziała, że Millingtonowie chcą widzieć swoją córkę na ślubnym kobiercu wkrótce po ogłoszeniu zaręczyn. Miała więc przed sobą cztery tygodnie udawania rodzącego się uczucia. Potem Gregory weźmie ślub z Harriet, a ona dozna załamania nerwowego albo wymyśli jakiś inny pretekst, by się z tego wywikłać.

Zawrócił dwukółkę, przejechał przez mostek i skierował ją ku bardziej uczęszczanej części parku, czyli Rotten Row.

Phyllida nie była z nim szczerą. Nie wyglądała na szczęśliwą i Ashe nie wierzył w jej zgodę. Przyjęła jego oświadczyzny, ale niewątpliwie coś knuła. Prawdopodobnie zamierzała go porzucić, kiedy tylko uzna to za możliwe. Choć zdrowy rozsądek podpowiadał, że to dobre rozwiązanie, serce kazało mu się sprzeciwić.

Spojrzał na Phyllidę, która uśmiechała się z lekka, od czasu do czasu pozdrawiając znajomych subtelnym gestem.

– Na co tak patrzysz? – zapytała, kiedy zauważyła, że się jej przygląda w zagadkowym zamyśleniu. Czy mam brudną twarz, a może powinnam poprawić włosy?

– Podziwiałem twoje rzęsy. – Odwróciła się do niego i roześmiała mile zaskoczona komplementem. – Są bardzo długie.

– Twoje też. Ale są ciemniejsze od moich. A to jest bardzo niesprawiedliwe. Przyznaj się: wtedy w portowym magazynie pomalowałaś je...

– Użyłem węgla. Nie sędzę jednak, żeby w tym kraju był mi jeszcze kiedykolwiek potrzebny. Na dworze mojego ciotecznego dziada musiałem często uchodzić za Hindusa.

– Czy misje dyplomatyczne były niebezpieczne?

– Czasami. – Na dowód tego Ashe miał cienką bliznę po nożu na żebrach i ubytek kości obojczyka.

– Czy wybierasz się w najbliższym czasie do Eldonstone Hall? – zapytała Phyllida po chwili.

– Owszem, na dwa, może trzy dni. Ale przede wszystkim muszę być tutaj, aby kontynuować moje zaloty, nie zapominaj.

– A co z rzeczami, których nie skończyliśmy segregować? Ja raczej nie powinnam tam jeździć, dopóki nasze zaręczyny nie zostaną oficjalnie ogłoszone... – Urwała, by dodać po chwili: – Każ Perrottowi spakować i odesłać do Londynu wszystko to, co odrzuciliśmy, a także wszelkie inne nieprzyzwoite obrazy i przedmioty. Podzielę je między właściwych marszandów i domy aukcyjne, występując w twoim imieniu jako *madame* Deaucourt. To przynajmniej oszczędzi twojej matce i siostrze najgorszego, kiedy tam pojedą.

Ashe ucieszył się, że znowu myśli o pracy. Oznaczało to bowiem, że Phyllida ponownie poczuła się w jego towarzystwie swobodnie.

– Dziękuję, dopilnuję tego.

Kiedy znowu kogoś pozdrowiła, pomyślał, że jak na osobę o tak niepewnej pozycji towarzyskiej zna dosłownie każdego, kto był w sferach wyższych kimś, i potrafi się w tym świecie poruszać.

Naraz pomyślał o mniej przyjemnych obowiązkach towarzyskich.

– Wziąłem lekcje tańca – oznajmił. – To gorsze niż lekcje perskiego, ale z walcem radzę już sobie całkiem nieźle, zatańczysz ze mną?

– O, to bardzo szybko! – wykrzyknęła. – A czy w Indiach tańczyłeś? Musiałeś tańczyć! Angielskie towarzystwo w Kalkucie z pewnością się bawi.

– Na ogół unikałem tańców, ale oczywiście kiedy musiałem, to jakoś radziłem sobie z kotyliem i tańcami ludowymi – przyznał Ashe. – Uczyłem się jednak tańczyć na dworze w Kala-twah.

– Pokażesz mi? – Oczy Phyllidy zabłyśły.

– W Indiach mężczyźni tańczą z mężczyznami, i to nie przed damską widownią.

– Więc nie zademonstrujesz mi swoich umiejętności, bo byłoby to źle widziane, tak?

– Bardzo źle. W każdym razie przed ślubem. – Phyllida zignorowała te słowa, więc zapytała: – Zatańczysz ze mną walca?

– Nie zostałam zaakceptowana przez szacowne matrony – odpowiedziała i uśmiech znikł z jej twarzy.

– Bez żadnego powodu – odparował Ashe. – Ale dlaczego miałabyś się przejmować tym, że nie chcą cię dopuścić do swojego wąskiego klubu?

– To prawda. – Usta Phyllidy ułożyły się w wymuszony uśmiech. – I tak każdy wie, że nie tańczę.

– Zatańcz ze mną... – nalegał. – Niech każdy zobaczy, że zmieniłaś zdanie. Przecież masz na to ochotę, lubisz tańczyć, prawda?

– Skąd wiesz? Owszem, bardzo lubię, ale matki ostrzegają swoich synów na wypadek, gdyby zapomnieli, w jakiej jestem sytuacji. Dlatego przestałam tańczyć.

Ashe wyobraził sobie stopniowo docierającą do niej świadomość własnej pozycji. Od tej chwili ktokolwiek spróbuje w jego obecności zranić Phyllidę, odpowie za to.

Naraz poczuł wyrzuty sumienia. Był jedyną osobą, która mogła ją teraz skrzywdzić.

– Idzie lady Castlebridge – powiedziała nagle Phyllida, chwytając go za rękę.
– To wspaniale. – Ashe ściągnął lejce, ignorując jej dłoń.
– Ale ja nie chcę z nią rozmawiać – syknęła.
– Ale ja chcę. – Dwukółka zatrzymała się obok otwartego powozu, w którym siedziała dama w towarzystwie trzech matron w podobnym wieku. – Witam, lady Castlebridge, dzień dobry szanownym paniom. – Kobiety z lekka poruszyły wachlarzami i odpowiedziały mu uśmiechem.

– Panna Hurst w towarzystwie jego lordowskiej mości... Kto by się spodziewał? Czy już się lepiej czuje? – zapytała lady Castlebridge, wpatrując się w Phyllidę przymrużonymi oczami.

– Myślę, że świeże powietrze dobrze robi pannie Hurst – wyznał Ashe, zanim Phyllida zdążyła otworzyć usta. – Mogę sobie tylko pogratulować, że się spotkaliśmy – dodał. – Może to nieładnie z mojej strony cieszyć się z niedyspozycji damy, ale obawiam się, że gdyby nie tamto przypadkowe spotkanie w gospodzie, panna Hurst nigdy by nie przystała na to, by wraz ze mną wypróbować moją nową dwukółkę.

Wszystkie panie uniosły brwi, a Phyllida wbiła paznokcie w rękę Ashe'a, który z trudem powstrzymywał śmiech. Czas było odjechać.

– Żegnam panie, życzę miłej przejażdżki – powiedział i ruszył, ledwie usłyszawszy pozdrowienie. – Na miłość boską, Phyllido, ledwie się powstrzymałem od śmiechu. Myślę, że jak najprędzej musimy zacząć się pokazywać w towarzystwie mojej matki jako przyzwoitki.

– Hm.

W tej jednej sylabie usłyszał całe bogactwo znaczeń.

– Nie chcesz się z nią spotkać? Musisz, i to bez zbędnej zwłoki.

– Oczywiście, jak sobie życzysz. Z pewnością jest wspaniała, ale nie sądzę, żeby była zachwycona mną w roli swojej przyszłej synowej.

– Jeśli jej się spodobaś, zaakceptuje cię bez względu na twoje pochodzenie – rzekł Ashe z pełnym przekonaniem. I natychmiast dostrzegł zagrożenie. Gdyby bowiem Anusha Herriard uznała, że Phyllida nie nadaje się na żonę dla jej syna, poruszyłaby niebo i ziemię, żeby nie dopuścić do tego małżeństwa. – I nie ma sensu, żebyś odgrywała komedię, próbując jej obrzydzić siebie. Ona cię już widziała i słyszała o tobie dostatecznie dużo, żeby przejrzeć te gierki.

– Już powiedziałam, milordzie, że poddałam się swemu losowi – powtórzyła Phyllida tonem tak słodkim i pokornym, jakim zwracała się do pełnego matron powozu.

A ja ci ufam nie bardziej niż Lucyferowi, pomyślał Ashe i postanowił zająć jej myśli czymś jeszcze poza kombinowaniem, jak tu się go pozbyć.

Przez całą drogę powrotną do forysia i dalej na Great Ryder Street, prowadzili rozmowę na różne błahe tematy z morderczą wprost uprzejmością.

Kiedy znaleźli się na miejscu, Ashe wysiadł, żeby podać rękę Phyllidzie. Widział, że jest zrelaksowana i rada, że wróciła bezpiecznie do domu. Odprowadził ją do schodów i ucałował jej dłoń, co było wówczas zachowaniem bardzo niekonwencjonalnym.

Ashe zsunął z jej nadgarstka rękawiczkę i złożył na dłoni pachnącej jaśminem długi, namiętny pocałunek.

– Ashe...! – Phyllida zamarła.

– Teraz już jesteś moja – powiedział, uwalniając jej rękę. – Zapamiętaj to sobie.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Phyllida stała, trzymając na piersi prawą dłoń i wpatrując się w Ashe'a. Zaszumiało jej w głowie i nie wiedziała zupełnie, co odpowiedzieć. Zabrakło jej słów.

Wielkim wysiłkiem woli sięgnęła do kołatki, w dalszym ciągu złączona z nim spojrzeniem. Czekala z niecierpliwością, aż drzwi się otworzą.

– Clere! – Gregory stanął w progu. – Zapraszamy – powiedział chłodnym tonem.

– Dziękuję – Ashe odsunął się, szarmancko przepuszczając Phyllidę, która na miękkich nogach przekroczyła próg i udała się prosto do salonu. Na pierwszą z brzegu sofę rzuciła rękawiczki, kapelusik i parasol, po czym osunęła się na nią sama, kryjąc twarz w dłoniach.

Za sobą słyszała zamykające się drzwi i głos Ashe'a, przyjazny i spokojny, jakby zaledwie przed chwilą nie brał udziału w nabrzmiałej emocjami scenie.

– Mam nadzieję, że będzie pan pierwszą osobą, która mi pogratuluje, Fransham.

– Pogra... Pan się żeni z Phyllidą? – spytał zdezorientowany Gregory.

– Czy powinienem najpierw pana poprosić o zgodę? Panna Hurst jest osobą pełnoletnią i bardzo niezależną, pomyślałem więc... – Ashe zaczął wyjaśniać bez skruchy w głosie.

– Oczywiście – wszedł mu w słowo Fransham i zaraz dodał z wyraźną ulgą w głosie. – Jestem zachwycony. Wczoraj wieczorem jednak...

– Jeśli nasze zaręczyny zostałyby ogłoszone wczoraj wieczorem, zaczęto by podejrzewać, że moje spotkanie z panną Phyllidą nie było takie niewinne.

– Ale było. – Znów w głosie Gregory'ego pojawiła się nuta podejrzliwości.

– Oczywiście, że tak, ale pańska siostra wykonywała w Eldonstone pracę, co do której wolałaby zachować dyskrecję. Ponadto Phyllidę widziano w moich ramionach i jej garderoba była w nieładzie. Utniemy plotki, kiedy zobaczą, jak oficjalnie, bez pośpiechu i zgodnie z przyjętym obyczajem ubiegam się o jej rękę...

– Macie więc moje błogosławieństwo. – Gregory serdecznie uścisnął dłoń Ashe'a i uśmiechnął się zadowolony. Nic dziwnego. Za chwilę pojawi się u Millingtonów z dobrą nowiną: Harriet zostanie szwagierką wicehrabiego, przyszłego markiza.

Phyllida siedziała z zamkniętymi oczami, próbując zapanować nad swoimi emocjami.

Jak Ashe mógł być tak obłudny i mówić, że się nie spieszy. W ich relacjach było dokładnie odwrotnie.

– Niestety muszę już iść. Jeśli pan pozwoli, wpadnę jutro, aby dokonać wstępnych ustaleń.

– Naturalnie, bardzo proszę. Około trzeciej, jeśli to panu odpowiada. – Mężczyźni oddalili się w stronę drzwi frontowych i ich głosy przycichły.

Phyllida opadła na poduszki sofy, usiłując wzbudzić w sobie gniew. Przecież to nie Gregory zarządzał jej pieniędzmi, tylko ona sama. Jeśli Ashe chciał zawrzeć wstępną umowę małżeńską, to powinien rozmawiać z nią i jej pełnomocnikiem.

W tej chwili jednak nie byłaby do tego zdolna.

– Jak się czujesz, Phyll? – Gregory wpadł do salonu pełen entuzjazmu.

– Jestem zmęczona, to wszystko. Ostatnie dni były dla mnie bardzo trudne.

Spojrzała w wesołą twarz brata. Zastanowiła się, czy powinna powiedzieć Gregory'emu o swoim zamiśle, ale od razu uznała, że to byłoby zbyt ryzykowne.

– Phyll? Może idź do siebie i się połóż... Nie wyglądasz za dobrze.

– Najpierw zjem lunch – odrzekła zdecydowanym tonem. – A potem zajmę się rachunka-

mi. – Debety i kolumny cyfr nie miały w sobie nic erotycznego, a takie właśnie myśli nawiedzały ją od wspólnej przejażdżki z Ashe'em. – A jutro, bardzo cię proszę, abyś nie prowadził żadnych rozmów na temat mojego małżeństwa. Najpierw sama chcę te sprawy omówić z prawnikiem. – W ten sposób również zyska trochę czasu. Stary pan Dodgson bowiem bez żadnych sugestii z jej strony i tak będzie przewlekał sprawę tygodniami.

– Tak, oczywiście – Gregory skwapliwie wyraził zgodę. – Mam dosyć spraw na głowie w związku z własnym ślubem. Myślę, że kiedy Millingtonowie dowiedzą się, że wychodzisz za Clere'a, nie będzie żadnej zwłoki. Chcą, żeby ślub odbył się w St. George's, a ja nie mam nic przeciwko temu.

– Czyli w najbliższych kilku tygodniach? Do czasu tej afery pani Millington wydawała się pogodzona ze ślubem w tak krótkim terminie, chociaż z tym się wiąże ogrom pracy organizacyjnej.

Gregory się skrzywił.

– Wygląda na to, że Millington nie żałuje na ten cel pieniędzy. Jak się zorientowałem, jego sekretarz zatrudnił do pomocy pani Millington dwie asystentki, które zajmują się tylko kompozycjami kwiatowymi i sporządzaniem wszelkiego rodzaju list. Nie mogę zamienić spokojnie paru słów z Harriet, bo ciągle musi coś przymierzać.

– A gdzie będziecie mieszkali? – Phyllida usiadła ponownie, zapominając o lunchu i rachunkach.

– Masz na myśli: po odbyciu obowiązkowych wizyt? Wygląda na to, że nie będzie nas przez jakieś trzy tygodnie i w tym czasie zostanie przeprojektowany wystrój naszego miejskiego domu.

– Naszego miejskiego domu? Przecież wynajęliśmy go na trzy lata Nathanielowi Finchowi.

– Pan Millington przedstawił mi korzystniejszą alternatywę na dłuższy okres. On dla Harriet zrobi wszystko. Jednocześnie nie mam wątpliwości, że jeśli nie spełnię oczekiwań jako mąż, moje poćwiartowane ciało wyląduje w Tamizie... – Gregory nagle poczerwieniał i zaczął się przyglądać swoim butom. – Nie, żebym coś zrobił... to znaczy... ja ją kocham, Phyll.

– To wspaniale. – Phyllida zerwała się z krzesła i pocałowała brata. – Zobacz, wszystkie nasze kłopoty są już przeszłością! – Przynajmniej dopóki Ashe Herriard się nie zorientuje, że nie zamierzam wyjść za niego za mąż.

Nazajutrz przyszedł list od lady Eldonstone. Wyrażała w nim wdzięczność dla panny Hurst, że zgodziła się pomóc uporządkować dom. Dała też odczuć, że miała nadzieję, że Phyllida zechce ponownie ich odwiedzić, by lepiej poznać rodzinę.

Był to uroczy liścik, przyjazny i swobodny, a zarazem stanowiący jednoznaczne polecenie. Phyllida odpisała, że jest gotowa przyjechać nazajutrz, zgodnie z życzeniem lady Eldonstone.

Myślała, że swoim opanowaniem sprosta najbardziej wymagającym sytuacjom towarzyskim, ale kiedy stanęła przed okazałą rezydencją w eleganckiej dzielnicy Mayfair, zdrząły jej ręce.

Herriardowie przyjęli ją w przestronnej sali recepcyjnej, gdzie pierwszą rzeczą, jaka rzucała jej się w oczy, były ustawione nad kominkiem seledynowe wazy, zakupione przez Ashe'a w portowej hurtowni, oraz portret rodziny, który przedstawiał obraz harmonii i wzajemnej miłości. Był to widok tak uroczy, że Phyllidzie napłynęły łzy do oczu.

Dorastanie w takiej rodzinie, pośród miłości i przywiązania, byłoby czymś wspaniałym. Brak pieniędzy i poczucia bezpieczeństwa z pewnością wydawałby się niczym, gdyby byli razem.

– Witamy, panno Hurst! – Lady Eldonstone ujęła ją za rękę w chwili, gdy Phyllida zamierzała złożyć przed nią ukłon. – Nie trzeba, broń Boże! To jest tylko rodzinne spotkanie. – Nie zwalniając uścisku, dama zajrzała jej głęboko w oczy. – Czy wszystko w porządku?

– To nic, tylko paproszek wpadł mi na ulicy do oka – wyjaśniła Phyllida, mrugając i z trudem hamując łzy wzruszenia.

– Zapraszam, proszę usiąść z nami, zaraz zadzwonię po herbatę. O, jesteś, Herring. Weź od panny Hurst kapelusz, pelisę, rękawiczki i parasol. – Pani oczywiście zna mojego syna?

– Lord Clere. – Ashe skłonił się, podczas gdy jego matka dokonywała dalszej prezentacji: – A to moja córka i mój mąż. Lady Sara i lord Eldonstone. – Kolejny raz Phyllida zamierzała złożyć ukłon, ale tym razem to markiz ujął ją za rękę i poprowadził do krzesła.

Siostra Ashe’a usiadła obok niej na podnóżku, piękna jak bursztyń – z włosami blond, złocistą cerą i suknią w kolorze kremowym.

– Jestem Sara. Skoro mamy zostać szwa... przyjaciółkami, nieprawdaż?

– Mam nadzieję. Jestem Phyllida.

– Ashe nam o tobie opowiadał. – Sara zdawała się nie zauważać rumieńca Phyllidy. – Mówił, że włożyłaś wiele pracy w przygotowanie pokoju dla mnie w Eldonstone. Niestety jest bardzo oszczędny w słowach, jeśli chodzi o zawartość skrzynek, które zostały tu odesłane. Czy są tam bardzo nieprzyzwoite rzeczy? – zapytała, zniżając głos, gdy tymczasem podawano herbatę. – Ashe powinien to wszystko puścić z dymem.

– Niektóre z nich przedstawiają całkiem dużą wartość. Jakie piękne zasłony!

– Przyjechały z nami z Indii... Powoli ten dom nabiera charakteru. Aha, Nicholasie, przypomniało mi się, że pojutrze jesteśmy zaproszeni na bal kostiumowy. Wszyscy musimy wystąpić w hinduskim przebraniu. Jestem pewna, że znajdziemy coś stosownego i dla panny Hurst.

– Ale ja nie dostałam zaproszenia. Chodzi zapewne o bal maskaradowy u lady Auderley?

– Nie została pani zaproszona? Zawiadomię lady Auderley, że przyjdziemy razem.

– Ale ona... to znaczy lady Auderley jest jedną z tych pań domu, które mnie nigdy nie zapraszają... – Phyllida zaczerwieniła się i spuściła wzrok. Miała ochotę zapaść się pod ziemię.

– Zapewne z powodu pani urodzenia – wypaliła wprost lady Eldonstone. – A skoro tak, to te same zastrzeżenia musi mieć i do mnie. Czysta hipokryzja! Nic poza tym – Oczy lady Eldonstone ciskały błyskawice.

– Nie chciałabym państwu sprawiać kłopotu...

– Nie pozwolę na to, żeby ktokolwiek z rodziny czy naszych gości – poprawił się markiz – był w ten sposób traktowany.

– Przewyższasz ją pozycją, Mata – powiedziała Sara z chichotem. – A poza tym ona się kocha w papie, ty mogłabyś tam nawet wjechać na słońcu, nie mówiąc już o zabraniu ze sobą tak czarującego gościa jak Phyllida. – Następnie Sara zwróciła się do Phyllidy, najwyraźniej oczarowanej markizą. – Wszystkie panie kochają się w papie – wyjaśniła.

– Nie w lordzie Clere? – zapytała zdziwiona panna Hurst.

– Papa jest szczęśliwie żonaty, więc mogą sobie do woli trzepotać rzesami, a co do Ashe’a, to ich mężowie z pewnością planują już z zazdrości pozamykać je na klucz.

– Widzę, że nie bardzo się orientujesz, jak się sprawy mają w angielskich małżeństwach – mruknął pod nosem Ashe. – Żony robią, co chcą, a mężowie się potem pojedynkują. Chyba się nie myślę, prawda, panno Hurst?

– Jako kobieta niezamężna nie mam prawa zabierać w tej sprawie głosu – odparła skromnie Phyllida.

– Oczywiście, zwłaszcza jako osoba o nieposzlakowanej opinii, praktycznie nierozstająca się z przyzwoitką – mruknął pod nosem Ashe, podając jej talerz ciasteczek.

– Naturalnie, lordzie Clere.

– Zobaczymy, co da się w tej sytuacji zrobić – odparł Ashe. – Rozumiem, że jesteśmy zdecydowani – zwrócił się z kolei do rodziny. – Panna Hurst dołączy do nas na balu przebierańców i w ten sposób będziemy mieli trzy hinduskie piękności.

– Możemy teraz poszukać czegoś odpowiedniego dla Phyllidy, Mata? – zapytała Sara. – Myślę, że byłoby jej bardzo do twarzy w nefrytowej zieleni.

– Powinna od razu zająć się rzeczami, które mają zostać sprzedane na aukcji... – wtrąciła Phyllida. – Jeśli będziemy dłużej zwlekali, zostaniemy pominięci w katalogu.

– To prawda. Jeśli skończyła pani herbatę, panno Hurst, możemy od razu zająć się pracą.

Phyllida nie mogła zaprotestować. Jak bowiem miałaby powiedzieć w obecności jego matki i siostry, że nie wyobraża sobie z Ashe'em Herriardem ani chwili sam na sam w pomieszczeniu pełnym sztuki erotycznej?

– Dziękuję – odrzekła grzecznie, chociaż miała ochotę zetrzeć z jego twarzy ten bezczelny uśmiešek.

Ashe zaprowadził ją do pustego pomieszczenia na tyłach domu, gdzie ustawiono wszystkie skrzynki przywiezione z Eldonstone.

– Te, które zawierają przedmioty, nazwijmy je osobliwymi, zostały oznaczone literą X. Perrott napisał w liście, że nie wie, ile ci płacimy, ale że jest to z pewnością za mało.

– Kiedy się żyje z tego rodzaju usług, nie można być zbyt... wrażliwym – oświadczyła całkiem prozaicznie Phyllida. – Muszę opisać każdą sztukę samodzielnie, jako że licytator zna charakter pisma *madame* Deaucourt.

– W takim razie ja będę rozpakowywał skrzynki i odczytywał ich zawartość, a ty sporządzaj listę. – Ashe podał jej papier, pióro i atrament. – Mała grupa satyrów z brązu sygnowana nazwą „Hilaire”.

Rozpoczęli systematyczną pracę.

– Sześć naturalistycznych fallusów z kości słoniowej, być może Francja. – Ashe przyjrzał się jednemu z nich. – Dla mnie jest w nim tyle erotyzmu, co w misce gotowanej kapusty – podsumował.

– Skoro tak uważasz... – Phyllida poprowadziła cienką linię, oddzielając miejsce na kolejne przedmioty.

Ashe wreszcie zabił gwoździami ostatnią skrzynkę.

– Zrobiliśmy kawał dobrej roboty – podsumował.

– Oceniam to na jakiś tysiąc – powiedziała Phyllida, podsumowując listę.

– Szylingów?

– Gwinei. Dżentelmeni płacą wysokie sumy za erotyki.

– Lepiej by zrobili, wydając te pieniądze na prawdziwe kobiety.

– A ty nie lubisz patrzeć na takie rzeczy? – zapytała śmiało, mając na myśli hinduskie teksty miłosne.

– Nie ma nic tak podniecającego jak bliskość uroczej damy i jej dotyk. – Ashe przesunął palcami po dłoni Phyllidy i spojrział jej głęboko w oczy. Drugą rękę uniósł do jej policzka. – Zawartość tych skrzynek jest dla mężczyzn, którzy nie mają kobiety albo nie potrafią się z nią kochać, jeśli ją nawet mają.

– Myślałam, że Indie słyną ze swoich erotycznych tekstów.

– To są teksty, które mają służyć parom. Na Dalekim Wschodzie nazywają je książkami do poduszki. Zobaczysz, spodobać ci się.

Phyllida zadrżała.

– Kiedy już będziemy po ślubie.

– Dlaczego mielibyśmy czekać tak długo? – Wsunął palce w jej włosy, gotując się do pocałunku.

– Nie tutaj – wyszeptała wprost w jego usta. – Nie możemy...

– Nie... – zgodził się z nią Ashe. – Nie tutaj...

– Wcale nie możemy, to chciałam powiedzieć. Na pewno nie przed ślubem.

Popełniła jednak błąd, otwierając usta. Słowa bowiem przepadły w pocałunku i Phyllida zatraciła się w nim całkowicie.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

– Boisz się zająć w ciążę? – zapytał Ashe z bezpośredniością, do której zaczęła się powoli przyzwyczajać. – Przecież do ślubu zostało nam już tak niewiele czasu, że nie ma powodu do obaw.

Nie jestem dziewicą i nie mogę... nie umiem teraz zdobyć się na szczerość. Jak by zareagował, gdyby sam się o tym przekonał? Poczuliby odrazę? A może uznał ją za rozpustną? Nie spodziewała się po nim hipokryzji, niemniej mężczyźni często stosowali podwójne standardy.

Phyllida oparła czoło na jego piersi, próbując się jakoś uspokoić.

– Nie boję się... i doskonale wiesz, że chcę tego równie bardzo, co ty – odparła po chwili. – Ale nie mogę.

– Dobrze więc, będę czekał z godną pochwałą cierpliwością. Ale gdybyś zmieniła zdanie... Jest wiele sposobów na sprawianie przyjemności, które nie zagroziłyby twemu dziewictwu.

– Dość tego! – Odepchnęła się od jego piersi i w jednej chwili znalazła się w drugim końcu pokoju.

– Nie chciałem cię zdenerwować. Próbuję tylko przekonać cię do zalet małżeństwa – powiedział łagodnie Ashe.

– Małżeństwo! Nie ma ono nic wspólnego z moimi pragnieniami i uczuciami. Ty także nie chcesz się ze mną żenić. A skoro nie spełniam twoich oczekiwań jako idealna narzeczona, myślisz tylko o zaspokojeniu. Ani na moment nie uwierzyłam, że zakochałeś się we mnie!

– Zakochałem się? Dlaczego do wszystkiego musisz mieszać miłość? Kobietom wydaje się, że każda relacja musi być oparta na miłości.

– Ja do niczego nie mieszałam miłości – odparła Phyllida i zrobiło jej się przykro. – To jest jeden z nieodłącznych elementów związku, to wszystko. Uczucia też są ważne. A mężczyźni są tak mało na nie wrażliwi jak analfabeci na literaturę.

Phyllida wyszła z ostentacyjnie uniesioną głową, ale nie wiedziała, dokąd pójść.

– Zgubiłaś się, moje dziecko?

Drgnęła, słysząc charakterystyczny akcent.

– Właśnie skończyłam i zastanawiałam się, gdzie powinnam się udać.

– Zaprowadzę panią do jej pokoju. Z pewnością będzie pani chciała się odświeżyć. A potem pójdziemy do Sary zobaczyć, co udało jej się znaleźć na ten bal.

– Dziękuję. Będzie mi bardzo miło.

– A przy okazji odpoczniesz od towarzystwa mojego syna, zanim dojdiesz do wniosku, że się nie nadaje na męża, i odwołasz zaręczyny – powiedziała spokojnym głosem markiza.

– Ashe jest... to znaczy lord Clere... mieliśmy małe nieporozumienie, ale to chyba normalne.

– No cóż, u mężczyzn często uczucia nie nadążają za rozumem i... nazwijmy to... potrzebami, które jako pierwsze dochodzą do głosu. Ashe robi to, co według niego stanowi jego powinność. Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi, dziecko, za złe, jeśli powiem, że musi minąć trochę czasu, nim zaczniecie się rozumieć.

– Z całą pewnością nie wezmę pani tego za złe, lady Eldonstone, ja po prostu nie mogę tego zaakceptować – wyznała Phyllida, kiedy znalazły się pod drzwiami jej pokoju.

– Zobaczmy. Ja musiałam uciec od ojca Ashe'a, żeby zrozumiał, że mnie naprawdę kocha. To wyglądało bardzo dramatycznie.

– Myślę, że to poruszyłoby Londyn – powiedziała Phyllida, nalewając sobie wodę do mi-

ski. Była jednak zdecydowana odejść. Nie wierzyła, że jest do niej przywiązany. Jako nieodrodny syn swojego ojca, źle zniesie odrzucenie, ale z powodu urażonej dumy, a nie złamanego serca.

– Uwierz mi, że to wywołało poruszenie również nad brzegami Gangesu – odparła lady Eldonstone z uśmiechem wywołanym wspomnieniami. – Może pójdziemy teraz do Sary. Otrzymałam od lady Auderley bardzo grzeczny liścik, w którym zapewnia, że będzie zachwycona, jeśli pani zgodzi się towarzyszyć nam na jej balu.

Im częściej będzie zapraszana na najważniejsze bale sezonu, tym lepiej dla Gregory’ego i dla jego dobra nie zamierza unosić się dumą.

Tymczasem lady Eldonstone otworzyła drzwi do pokoju córki i stanęła w progu jak wryta.

– O mój Boże, jak pięknie wyglądasz!

Sara obracała się przed lustrem. Jej spódniczki z ozdobionego ciężkim haftem złocistego jedwabiu mieniły się, wirując i ukazując nogi niemal do kolan ukryte w obcisłych ciemnobrązowych jedwabnych spodniach. Między stanikiem a talią widoczny był szeroki na dłoń pas gołego ciała współgrający odcieniem ze spódniczką i włosami, nakrytymi teraz przezroczystym szalem, również w ciemnobrązowym kolorze. Splecione w warkocz włosy opadały na plecy.

– Ładnie wyglądam? – spytała Sara, stanąwszy w miejscu. Złote bransoletki z brzękiem opadły aż do nadgarstków, w kostkach ucichły nanizane na taśmie dzwoneczki, a w uszach błyskały złotem kolczyki.

– Strój jest olśniewający, ale ten kawałek gołego ciała w talii wydaje mi się bardzo śmiały.

– Zastanawiam się nad tym – powiedziała lady Eldonstone – i sądzę, Saro, że nie obędzie się bez zakieciku. Nie chcemy, aby lady Auderley zemdlą.

– Ja bym się raczej obawiała reakcji panów – dorzuciła Phyllida, a Sara posłusznie włożyła zakiet, zapinany od biustu w dół i rozszerzający się na biodrach.

– Mata wystąpi w błękitach, a tobie chyba najlepiej będzie w tym. – Sara wskazała leżącą na łóżku stertę, mieniących się złotym haftem jedwabi w odcieniach zieleni. – W blasku świec te kolory będą wyglądały wspaniale. Wydaje mi się, że mamy mniej więcej te same rozmiary. – Podniosła do góry stanik tak, żeby Phyllida mogła go zobaczyć.

– Najlepiej przymierzyć. – Lady Eldonstone zrzuciła pantofle i przyjęła swoją ulubioną pozycję, siadając po turecku na sofie.

– Pomogę ci się rozebrać. – Sara popchnęła Phyllidę za parawan i zaczęła rozpinać jej z tyłu sukienkę. Phyllida poczuła się lekko skrępowana, zwłaszcza kiedy usłyszała, że musi zdjąć absolutnie wszystko, łącznie z pończochami i halką.

– A gorset?

– Oczywiście. Stanik jest na tyle obcisły, że wszystko będzie na swoim miejscu – powiedziała Sara bez ogródek.

– Jakoś dziwnie się czuję w spodniach.

– Bez spodni jest jeszcze dziwniej, uwierz mi, drogie dziecko – wtrąciła się lady Eldonstone. – Kiedy zaczynałam się ubierać po europejsku, wszystko wydawało mi się wręcz nieprzyzwyczajone. Wtedy spódnice były całkiem szerokie i ciągle drżałam, że wiatr mi je poderwie do góry.

Sara wreszcie skończyła.

– Nie, nie wychodź zza parawanu. Zobaczysz się dopiero w dniu balu. – Chodź, spójrz, Mata. Czy Phyllida nie wygląda uroczo?

– Cudownie! – markiza krzyknęła w zachwycie. – Ashe będzie oczarowany. Zaraz znajdę dla ciebie stosowną biżuterię. Saro, pomóż Phyllidzie się przebrać. Pojutrze po południu zamienimy moją sypialnię w damską garderobę. Przygotowania zajmą nam wiele godzin: kąpiele, fryzu-

ry, henna na dłonie i stopy oraz dobór biżuterii. Obiad też tutaj zjemy, a panowie będą czekali w napięciu, żeby nas zobaczyć.

A my ich, dodała w myślach Phyllida.

Następny dzień był poświęcony pracy. Phyllida w przebraniu odwiedziła dom aukcyjny, a Ashe z ojcem spędzili czas zamknięci w gabinecie, ślęcząc nad dokumentami dotyczącymi majątku. Phyllida darzyła Herriardów coraz większą sympatią. Byli niekonwencjonalni i serdeczni dla siebie nawzajem, a ich spojrzenie na świat okazało się bardzo interesujące. Sara i jej matka traktowały ją, jakby już należała do rodziny. Ich wsparcie po latach samotnego borykania się z problemami było czymś wspaniałym.

Rankiem w dniu balu lady Eldonstone ogłosiła, że po lunchu mężczyźni nie mają wstępu do jej pokojów.

Phyllida nie bardzo wiedziała, czego się spodziewać, ale szybko zrozumiała, że znalazła się w świecie bajek z tysiąca i jednej nocy. W obłokach pachnącej pary panie kąpały się, myły włosy i stosowały hennę na dłonie i stopy, malując na nich egzotyczne wzory.

– A czy to się zmyje? – zapytała przestraszona Phyllida, wyciągając rękę.

– W końcu tak. Po prostu wypłowieje. Ta henna nie jest zbyt mocna.

Potem rozpoczął się długotrwały proces wybierania trzech kompletów stosownej biżuterii, czemu towarzyszyły nieustające zachwyty Phyllidy.

– Nie uważacie, że te są bardzo piękne? – zapytała lady Eldonstone, przydzielając Sarze żółte diamenty. – A dla Phyllidy oczywiście najlepsze będą szmaragdy.

– Ale... ale one są zbyt cenne, żebym je mogła pożyczyć... – zaprotestowała Phyllida.

– Jesteś członkiem rodziny i masz pełne prawo nosić klejnoty Herriardów. – Lady Eldonstone uciszyła jej protesty podniesioną ręką. – Może to jeszcze nie zostało ogłoszone, ale przecież wyjdiesz za Ashe'a. Byłoby to w najwyższym stopniu niestosowne, gdybyś nie poszła na bal odpowiednio ubrana. Ustąp mi w tej sprawie, bardzo cię proszę.

Phyllidzie nie pozostawało nic innego, jak tylko się poddać. Po lekkim obiedzie panie się ubrały. Phyllida dostała sandały, na jej uszach zawisły ciężkie kolczyki ze szmaragdowymi łezkami, na rękach i w kostkach pobrzękiwały bransolety, a na szyi pojawił się złoty łańcuch ze szmaragdem, który od czasu do czasu chował się w rowku między piersiami. Na koniec na włosach upięto jej welonik.

– No, teraz możesz się obejrzeć – powiedziała Sara, obracając ją tak, żeby zobaczyła w lustrze wszystkie trzy panie.

– To nie jestem ja... – oznajmiła Phyllida, patrząc na egzotyczną, obwieszoną biżuterią i ubraną w jedwabie kobietę.

– Owszem, ty – zapewniła ją Sara.

– Każdy rozpozna mnie i Sarę, ale ty, Phyllido, wywołasz sensację. Ashe będzie zazdrosny z powodu zainteresowania, jakie wzbudzisz! – orzekła lady Eldonstone.

Phyllida nie wątpiła, że Ashe okaże się zaborczy, ale nie sądziła, by był na tyle zaangażowany, by okazać zazdrość.

Ruszyły schodami w dół i po chwili znalazły się na podeście. Phyllida odczuwała pewną niedogodność noszenia szerokich spódnic i obcisłych spodni, ale nie przyznała się.

W dole przechadzali się wolno po marmurowej posadzce dwaj Herriardowie. Ashe miał luźno puszczone włosy, sięgające kołnierza złocistobłękitnego surduta, spod którego wystawały obcisłe spodnie koloru dzikiej pomarańczy, przepasane taką samą szarfą. Kiedy się ruszał, guziki surduta połyskiwały złociście. Towarzyszący mu ojciec miał na sobie ciemnozielony surdut, czarne spodnie i taką samą szarfę, a błyszczące zielenią guziki surduta musiały być szmaragdowe.

Markiza oberwała jeden ze stojących w wazonie kwiatów i rzuciła na dół. Wylądował

między ojcem i synem. Spojrzeli w górę i uśmiechnęli się, po czym jednocześnie złożyli ręce jak do modlitwy i zgięli się w głębokim ukłonie.

– Nie mamy zwyczaju dygać ani podawać rąk. Głębokość ukłonu wyraża szacunek i jest zależna od pozycji lub wieku osoby, którą witamy.

Droga do holu wydała się Phyllidzie bardzo długa. Markiz wyszedł im naprzeciw z wyciągniętymi rękami.

– Jak ty to robisz, że z każdym dniem wyglądasz piękniej – zwrócił się do żony i pochylił, by ją pocałować. To jest na pewno małżeństwo z miłości, pomyślała Phyllida. – Nic dziwnego, że nasza córka jest taka urocza! – Markiz uśmiechnął się do Sary, a zaraz potem zwrócił spojrzenie ku Phyllidzie. – A pani, panno Hurst, wygląda wprost...

– Czarująco – dokończył za niego Ashe. – Powiedziałbym: magicznie. – Phyllida w odpowiedzi złożyła ręce i skłoniła głowę. Ashe odwzajemnił ukłon, czemu towarzyszył błysk diamentu w jego uchu. Wyglądał zachwycająco.

– Czy ktoś pomyślał o jakiejś uzbrojonej ochronie? – zapytała, żeby rozładować panujące między nimi napięcie. – Mamy na sobie najpiękniejsze klejnoty i biżuterię. Wymarzony łup dla rozbójników.

– Wszyscy jesteśmy uzbrojeni – wyznał Ashe.

– Wszyscy?

– Naturalnie. Sara i ja mamy to. – Lady Eldonstone jednym ruchem przerzuciła na drugie ramię ciężki warkocz i wyciągnęła z niego ozdobną szpilę, która okazała się długim i najprawdopodobniej śmiertelnie ostrym szpikulcem. – Chciałabyś mieć coś takiego? Jest podobna szpilka w niewielkim rozmiarze, którą mogłabyś ukryć we włosach.

– O nie! – Ashe zaprotestował. – Obie byłyście ćwiczone w posługiwaniu się tą bronią, a Phyllida nigdy nawet nie widziała jej na oczy. – Ashe włożył maskę, co sprawiło, że wyglądał jeszcze bardziej egzotycznie. – Obiecuję, że w razie gdybyś została zaatakowana przez jakichś opryszków, stanę w twojej obronie.

Tymczasem pod drzwiami zajechał powóz i markiz zaprosił żonę i córkę do środka.

– W pięcioro byłoby nam ciasno i obawiałem się, że jedwabne stroje pań mogłyby się pognieść, dlatego zamówiłem dla nas dwojga dwukółkę. Pojedziemy za wami – wyjaśnił Ashe.

– Sami? Bez przyzwoitki? – zdziwił się markiz, ale markiza nie robiła z tego problemu.

Wtedy zajechała zapowiedziana dwukółka.

– Czy mnie jest w ogóle potrzebna przyzwoitka? – zapytał Ashe.

– Tobie może nie, ale co powiedzą ludzie, widząc, jak przyjeżdżamy we dwoje – sarknęła Phyllida.

– Nie przejmuj się, dotrzemy prawie równocześnie z innymi. – Ashe ułożył jej welonik na ramionach. – Niepotrzebnie się denerwujesz, wyglądasz porywająco. Nikt cię nie rozpozna, uspokój się i baw się dobrze.

– Mam się uspokoić? Jadąc powozem sama, wieczorową porą, z mężczyzną, który usiłuje mnie uwieść?! O nie, przepraszam, ale to niemożliwe. Jakby tego było mało, jestem obwieszona cudzymi klejnotami i złotem oraz ubrana w fantastyczny strój, który z jakichś względów wydaje mi się nieprzyzwoity...! Więc nie waż się mówić do mnie protekcyjnym tonem!

– Kiedy wreszcie zaczniemy się kochać, obiecuję ci, że żadne z nas długo się nie wyśpi – zapewnił ją Ashe. – A ten strój wydaje ci się nieprzyzwoity, ponieważ jesteś w nim bardziej świadoma swojego ciała i jego potrzeb. Co zaś do kosztowności, to w razie czego obronię i kosztowności, i ciebie.

– A kto mnie obroni przed tobą? – zapytała, starając się opanować drżenie głosu.

– Nikt – odparł Ashe, sadzając ją sobie na kolanach. – Chcę poczuć na sobie twoje ramio-

na – wyszeptał, obejmując ją w pól. – Mam ochotę zedrzyć z ciebie te jedwabie i nakryć cię swoim ciałem... – Poczula jego usta w delikatnym zagłębieniu pod uchem. – Chcę się z tobą kochać tak, żebyś mnie błagała o litość...!

Znajdowali się w powozie mknącym przez ulice Mayfair, a od tłocznej sali balowej dzieliło ich zaledwie kilka minut. Ashe nie mógł zrobić nic, żeby wprowadzić w czyn swoje groźby, czego Phyllida wbrew sobie pożałowała. Z jękiem zagłębiła palce w gąszczu jego włosów i przytrzymała mu głowę, jakby chciała uniknąć tej rozkosznej męki.

Powiedział coś w niezrozumiałym dla niej języku, a potem pocałował ją. Westchnęła i mimowolnie przyłgnęła do niego całym ciałem.

– Ashe...! Och, Ashe, tak...

Nie była pewna ani na co się zgadza, ani o co prosi. Jeśli tak wyglądało szaleństwo, to tej nocy oboje stracili rozum i oszaleli.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Pojazd zatrzymał się gwałtownie, przywracając Phyllidę do rzeczywistości. Wyszwoabiła się z objęć szaleństwa.

– ...nie! – podkreśliła z mocą, schodząc z kolan Ashe'a, w czym było więcej pośpiechu niż godności.

– Z pewnością nie jest po temu ani czas, ani miejsce – zgodził się z nią gładko Ashe, podając jej rękę.

– To by... – zaczęła, ale na widok reszty towarzystwa czekającego na nich przy schodach zamilkła, udając, że poprawia sobie maskę, po czym z uśmiechem wysiadła z dwukółki.

Już wówczas zaczęli wzbudzać zainteresowanie. Wszędzie słyszała szepty „Eldonstone'owie” i widziała zaintrygowane i pełne aprobaty spojrzenia gości tłoczących się wraz z nimi do wejścia. Uspokoiła się więc na tyle, na ile było to możliwe u osoby, której serce waliło jak młotem, a kolana ciągle jeszcze odmawiały posłuszeństwa.

Gdyby podróż powozem trwała dłużej, z pewnością poddałaby się naleganiom Ashe'a. Powoli zauroczenie wygrywało walkę z lękami i wątpliwościami.

Kiedy gromadka Herriardów weszła do wielkiej sali balowej, było już tłoczno; panujący tu gwar, mieszanina zapachów i kolorów uderzyła Phyllidę, wywołując lekki zawrót głowy. Nigdy nie brała udziału w balu kostiumowym na taką skalę.

– Czuję się prawie tak, jakbym była z powrotem w Indiach – powiedziała ze śmiechem lady Eldonstone, kiedy podszedł do niej krzyżowiec w kolczudze i poprosił ją o taniec.

– Tak, *sir*, ten taniec mam wolny. – Nie oglądając się za siebie, markiza zeszła na parkiet.

– Te maski zapewniają naszym paniom wielką swobodę – zauważył markiz. – Żadnego przedstawiania się, żadnych nazwisk. Jak więc mam pilnować naszych młodych dam?

– Myślę, papo, że wystarczy nam zdrowy rozsądek – uspokoiła ojca Sara.

Po chwili pojawił się przed nią wysoki pierrot w obcisłym kostiumie.

– O pani, czy zechcesz mi łaskawie ofiarować ten taniec?

Kiedy para oddaliła się na parkiet, markiz wyciągnął rękę do Phyllidy.

– Pozwoli pani?

– Bardzo proszę.

– Zostaję sam, opuszczony i porzucony – poskarżył się Ashe, wzdychając ciężko.

– Z pewnością szybko się pocieszysz – powiedziała słodkim głosem Phyllida. W ostatnim spojrzeniu, jakie jej posłał, nie było jednak nic wesołego, choć jego usta drgnęły w nieznacznym uśmiechu.

Lord Eldonstone okazał się wspaniałym partnerem i pozwoliła porwać się tańcowi. Z gracją przechodziła z rąk do rąk, rada ze swojego przebrania. Trudno bowiem było stracić z oczu Herriardów, którzy wśród całego blichtru odznaczyli się egzotyczną oryginalnością. Tak samo jak ja, doszła do wniosku, kiedy kolejny tancerz wyciągnął do niej rękę, a dokoła siebie usłyszała szepty zazdrosnych kobiet.

Cóż to była za radość móc tańczyć po tylu latach odmawiania sobie tej przyjemności. Zaczynały boleć ją nogi, ale Phyllida o to nie dbała. Orkiestra zaczęła grać walca, czyli jedyny taniec, którego jeszcze nigdy nie zatańczyła publicznie. Tym razem skłonił się przed nią dworzannin, potężnie zbudowany mężczyzna w kasztanowatej peruce.

– Pani, mam honor...

– Ha, dogoniłem cię wreszcie. – Jak spod ziemi wyrósł przy niej Ashe i czarująco się

uśmiechnął. Dworzanin zeszywniał. – Dziękuję uprzejmie, że pan zechciał dotrzymać towarzystwa mojej partnerce, pora jednak, żebym sam się nią zajął.

– Ale... – zaczął mężczyzna, jednak po chwili dyplomatycznie postanowił się wycofać. – Pani, *sir*, cała przyjemność była po mojej stronie.

– Zachowałeś się wyjątkowo niegrzecznie – skarciła Ashe'a Phyllida, kiedy brał ją w ramiona.

– Nie mogłem zostawić cię bez pomocy. Widziałaś rozmiar jego stóp?

– A ty masz mniejsze? Poza tym sądziłam, że nie umiesz tańczyć walca? Kiedy ostatnio rozmawialiśmy na ten temat, dopiero brałaś lekcje.

– Okazał się łatwy do nauki. – Phyllida spojrzała na niego i stwierdziła, że jednak nie jest bezpieczna. Oczy Ashe'a migotały zza maski i uśmiechał się do niej zmysłowo. – Trzymam cię w ramionach i poruszamy się razem, w jednym rytmie.

Ashe jednak nie miał na myśli tańca. Phyllida uśmiechnęła się niewinnie, udając, że go nie rozumiała.

– Doskonale... Orkiestra jest wspaniała, nie uważasz?

Ashe porwał ją do tańca.

– Słyszę, widzę i czuję w tej sali tylko ciebie. Czy w dalszym ciągu uważasz, że nie mam ochoty się z tobą ożenić?

– Ashe. – Nie wierzyła mu, nie mogła, ale miodowa barwa jego głosu, ciepło bijące od niego i siła obejmujących ją ramion uwodziły ją.

Tańczyli, jakby byli sami. W ciszy i harmonii. Phyllida miała zamknięte oczy, chciała zatrzymać tę chwilę na czas, kiedy się rozstaną, a fikcja, że są parą, prysnie jak bańka mydlana.

– Phyllido...

Otworzyła oczy. Muzyka ucichła, a pary dalej stały na parkiecie, rozmawiając w oczekiwaniu na następny utwór. Ona też powinna coś mówić, prowadzić lekką rozmowę, a może nawet trochę flirtować. Ale nie mogła. Uświadomiła sobie, że go kocha, i do jej oczu napłynęły łzy.

– Co się stało? – zapytał Ashe. – Czyżbym był aż tak złym tancerzem?

– Nie – odpowiedziała, otrząsnąwszy się z ponurych myśli, i uśmiechnęła się.

– Tak długo marzyłam o walcu... Jesteś wspaniały i to naprawdę była magiczna chwila. Piękna melodia, nie uważasz?

– Owszem – zgodził się z nią Ashe, ale jego oczy zdradzały, że wcale nie myślał o muzyce.

Nagle zawstydzona Phyllida zamrugła i rozejrzała się dokoła.

– Co za ścisk! – W drugim końcu sali błysnęło złoto i bursztyn. Sara opuszczała salę. Ale przecież gotownia dla pań była z drugiej strony. – Ashe, Sara właśnie wyszła z sali balowej.

Ashe odwrócił się, ale złocisty błysk zdążył już zniknąć. Od razu ruszył w kierunku, w którym patrzyła, a Phyllida za nim.

– Nie spiesz się, żeby nie zwracać na siebie uwagi. – Dotarli do zamkniętych drzwi. – Stań twarzą do sali; pójdę pierwsza, a ty za minutę rusz za mną. Nie powinniśmy zwracać na siebie uwagi.

Phyllida otworzyła drzwi za osłoną szerokich pleców Ashe'a, po czym wymknęła się i znalazła w wąskim korytarzu. Pobiegła w stronę światła i głosów, gdzie korytarz łączył się z pomieszczeniem dla służby. Przystanęła przed wejściem. Głosy bez wątplenia należały do Sary i dworzanina w kasztanowatej peruce.

– Proszę uprzejmie odprowadzić mnie z powrotem na salę balową, *sir*. Nie tutaj należy szukać napojów i pan doskonale o tym wie.

– Proszę nie udawać, że potraktowała to pani poważnie. Taka mała kokietka jak pani nie

paraduje obwieszona sztuczną biżuterią i z tak obnażonym dekoltem, nie zdając sobie sprawy, że budzi zainteresowanie mężczyzn.

– To są najprawdziwsze żółte diamenty, prostaku. A co do mojego kostiumu, to powinienś wiedzieć, że jest to dworski strój Kalatwah! – W głosie Sary zabrzmiała wściekłość, ale nie strach.

– To niech dotknę... Uch!

Phyllida wyrzała ze swojego ukrycia. Zgięty w pól dworzanin trzymał się za krocze, a nad nim stała Sara ze sztyletem w dłoni. Zdarła mężczyźnie z głowy wymyślną perukę i ściągnęła maskę. – Schowaj szpilę, Saro – ostrzegła dziewczynę. – Wiem, kim on jest. To lord Prewitt, nędzna kreatura, ale nie wolno go zabić...

– Czyżby?! – Ashe, odrzuciwszy maskę, ominął Phyllidę i złapał ciężko dyszącego Prewitta za fular. – Wyznacz swoich sekundantów, Prewitt.

– Ashe... – Phyllida pociągnęła go za rękę. – Jeśli go wyzwiesz na pojedynek, to wybuchnie skandal o przykrych dla Sary skutkach.

– Uważasz więc, że powinienem go zabić tu i teraz? – spytał, puściwszy hrabiego, który legł ciężko u jego stóp.

– Uważam, że powinienś sprawić, by bardzo pożałował tego, co zrobił. A może jeszcze zechce przeprosić za to, co się wydarzyło, i obiecać, że nie puści pary z ust?

– Przepraszam, pomyliłem się – wyjęczał Prewitt. – Nie pisnę słowem o tym, co się stało. Bardzo mi przykro.

– Będzie ci jeszcze bardziej przykro. – Ashe poderwał go na nogi, poczekał, aż złapie równowagę, i z całej siły wymierzył mu policzek. Potem zwrócił się do Sary: – Wystarczy?

– Wystarczy – odparła, po czym całą trójką odmaszerowali na salę balową.

W pełnym świetle Phyllida zobaczyła, jak Sara walczy ze łzami i zagryza dolną wargę, by powstrzymać jej drżenie.

– Ashe, poszukaj waszej matki i poproś ją, żeby przyszła do gotowalni dla pań. Myślę, że lady Sara powinna wrócić do domu.

– Oczywiście.

Herriard zniknął w tłumie, a Phyllida wzięła delikatnie Sarę pod rękę i zagadnęła do niej przyjaźnie.

– Może usiądziemy na chwilę.

– Ja nie przypuszczałam... – wyszeptła Sara. – Ja naprawdę uwierzyłam, że on mnie prowadzi do pomieszczenia z napojami.

– Doskonale sobie z nim poradziłaś – pocieszała ją Phyllida. – O, jest twoja mama.

– Nic złego się nie stało, poza tym, że Sara się zdenerwowała – Phyllida wyjaśniła lady Eldonstone.

– Ashe – zwrócił się do syna lord Eldonstone – zabieram do domu twoją matkę i siostrę. Mam nadzieję, że zajmiesz się panną Hurst.

Ashe patrzył, jak wychodzą, po czym wziął Phyllidę pod ramię i zaprowadził do wypożyczalnej wneki.

– Byłaś wspaniała... Ale jak się czujesz?

– Nie doznałam szoku. Nie martw się. Czuję się bardzo dobrze, martwię się tylko, jak ten incydent wpłynie na Sarę.

– Taniec bez masek! – ktoś krzyknął w tłumie i orkiestra zaczęła grać walca.

– Czy zatańczymy teraz, traktując to jako kolejny krok ku moim oświadczeniom?

A więc jeszcze jeden cudowny walc w jego ramionach...

– Dlaczego nie? – powiedziała lekko, chociaż wcale lekkości nie czuła. – Doskonale

cię w tej sztuce uznałam za swój obowiązek.

Tymczasem minęli grupę zamaskowanych matron, które, sądząc po szybkich porozumiewawczych spojrzeniach, musiały ją rozpoznać. Wieść o tym, że Ashe stara się o jej rękę, wkrótce rozniesie się szeroko po kręgach londyńskiej socjety. Phyllida rozpoznawała to po tym, jak byli obserwowani.

– Widzę, że mają nas na oku – zauważył Ashe.

– I nic dziwnego. Wyglądasz wspaniale w swoim przebraniu.

Orkiestra zaczęła grać i Ashe zaprosił Phyllidę do tańca.

Tym razem nie dała się porwać nastrojowi. Czują na sobie spojrzenia największych plotkarek w towarzystwie.

– Jestem bardziej narażona na ostrzał. Ty jako urodziwy, zamożny mężczyzna z tytułem możesz być spokojny.

– Proszę mnie nie prowokować, panno Hurst.

– Ja? Prowokować? – Phyllida szeroko otworzyła oczy, a on przyciągnął ją do siebie o wiele za blisko, tak że pierściami od czasu do czasu muskała jego pierś. Poza tym tańczyli godnie, z zachowaniem wszelkich zasad, a Ashe zabawiał ją obojętną towarzyską rozmową.

Muzyka ucichła i wszystkie pary stanęły blisko siebie, czekając na wybicie północy. Z pierwszym uderzeniem zegara Ashe uniósł rękę do jej maski, a ona do jego. Nachylił się nad nią, a ona się nie cofnęła. Poczula ciepło jego oddechu na swoich ustach, wpatrzona w jego oczy, zielone i tajemnicze, ciągle jeszcze ocienione czarnym aksamitem.

Z ostatnim uderzeniem zegara Ashe przyciągnął ją do siebie i jednocześnie zdjęli sobie nawzajem maski. Teraz zamierzał ją pocałować i na oczach wszystkich przyznać się do swoich zamiarów.

Phyllida nie mogła oddychać.

– Odetchnij swobodnie – szepnął Ashe, cofnął się i uniósłszy jej dłoń, ucałował czubki palców. – Dzisiaj nie zamierzam wywoływać zbyt wielkiej sensacji.

Bal najwyraźniej się rozkręcał, ale Ashe poprowadził Phyllidę do gospodyni, by jej podziękować.

– Co za wspaniały bal, lady Auderley. Przykro mi, że rodzice nie mieli okazji się z panią pożegnać, ale moja siostra dostała ciężkiej migreny i musieli ją odwieźć do domu.

Gospodyni była miła, wyraziła współczucie dla Sary i obdarzyła Phyllidę uśmiechem tylko nieznacznie okraszonym złośliwością.

– Wygląda pani uroczo, moja droga. Wiele osób podziwiał, jak piękną tworzą państwo z lordem Clere parę.

– Bardzo dziękuję za komplement. – Phyllida uśmiechnęła się skromnie. – To zasługa lady Eldonstone, która pożyczyła mi ten piękny kostium i biżuterię – odpowiedziała, chcąc uświadomić jej, że znalazła się pod opieką markizy Eldonstone.

– Jakżeż miło z jej strony – odparła lady Auderley. – Mam nadzieję, że jeszcze będę miała okazję gościć państwa u siebie.

Z podjęciem ostatecznej decyzji Phyllida zwlekała do chwili, aż znaleźli się znów w powozie.

– Ashe, muszę z tobą porozmawiać, i to jeszcze dzisiaj. Udamy się do mieszkania nad sklepem – oświadczyła i nakryła ramiona ciepłą aksamitną narzutką. – To nam zapewni całkowitą prywatność.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Nareszcie, pomyślał Ashe i wychylił się przez okno powozu.

– Zatrzymaj się na początku Haymarket – zwrócił się do stangreta – dalej pójdziemy piechotą. Powiedz ludziom, żeby zamknęli dom; drzwi frontowe też mają być zamknięte, ale niezaryglowane. Niech wszyscy idą spać.

Ashe zasunął okno i przyspieszyli. Phyllida wydawała się blada; nie wiedział, czy to padające na jej twarz cienie, czy zdenerwowanie. A więc postanowiła się już dalej nie opierać i pogodziła się z ich ślubem. Nie mógł się wprost doczekać na to, co nastąpi. Nie tylko dlatego, że pragnął Phyllidy jak żadnej innej kobiety wcześniej. Ta intrygująca, niezwykła istota obudziła w nim prawdziwie głębokie uczucie.

– Podjęłaś już decyzję? – zapytał, zdziwiony własnym zdenerwowaniem.

Podniosła głowę znad złożonych na kolanach dłoni.

– Tak – odpowiedziała, zaskakująco słabym głosem.

Powinien ją zabrać do domu, ale instynkt podpowiadał mu, żeby zostać. Jeśli mu się odda, będzie skazana na to małżeństwo.

Tymczasem powóz zatrzymał się i Ashe pomógł Phyllidzie wysiąść, osłaniając ją przed przewalającym się po ulicy tłumem, który tworzyły postacie różnego autoramentu. Kilka kobiet próbowało zwrócić jego uwagę, wysyłając mu mało subtelne sygnały. Nie bez powodu nazywano je towarem Haymarket, a to było właśnie główne miejsce ich łowów.

– Powinniśmy skręcić w Jermyn Street – zauważył i zaraz dodał: – Zupełnie zapomniałem o tych tłumach prostytutek, które się tu kręcą o tej porze. – Poczuł, jak Phyllida wzdrygnęła się przed jego opiekuńczym ramieniem.

– To nie ma znaczenia – powiedziała – a poza tym już jesteśmy prawie na miejscu. – Myślałam, żeby urządzić te pokoje znajdujące się nad moim sklepem i je wynająć, ale są mi bardzo przydatne.

Z trudem przełknął cisnącą mu się na usta uwagę, że jak już zostaną małżeństwem, to może je spokojnie wynająć razem ze sklepem. Podejrzewał, że rozstanie się z tą aktywnością nie byłoby dla Phyllidy łatwe.

– W ubiegłym roku przeszliśmy z Gregorym trudne chwile. Często się kłóciliśmy, bowiem niemal co noc grał w karty i wracał pijany... Wtedy tutaj znajdowałam cichą przystań – przyznała.

– Szczęśliwie już się uspokoił.

– Tak. Ledwie w to mogę uwierzyć. Powiedział, że jest coraz starszy i że czas najwyższy się usatkwować. Spotkał Harriet w doskonałym momencie i wszystko wskazuje na to, że są w sobie zakochani.

– Nie spodziewałaś się tego, kiedy szukałaś dla niego bogatej żony, prawda? Dlaczego teraz tak cię to cieszy? – Nagle wyłoniła się z mroku grupka podpitych mężczyzn, machając w ich stronę i Ashe delikatnie popchnął Phyllidę do zacienionej wnęki drzwi, zasłaniając ją swoim ciałem. Jeden z wesołków zatrzymał się przed nimi.

– O, patrzcie, Clere! Chodź z nami, szukamy miłego towarzystwa, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. – Ryknął śmiechem, po czym zauważył ukrytą we wnęcie drzwi Phyllidę. – O, wiedz, że masz już towarzystwo. Zuch z ciebie!

– Może innym razem, Grover – odparł Ashe z wymuszoną swobodą.

Gromadka mężczyzn oddaliła się, machając i wykrzykując coś do nich.

– Bardzo cię przepraszam – powiedział Ashe, podając Phyllidzie ramię.
– Myślę, że każda dama powinna przynajmniej raz znaleźć się nocą na Haymarket, żeby się przekonać, co naprawdę są warci dżentelmeni. – W jej głosie rozebrzmiała nuta uszczypliwości.

– Ja się nie włóczę pijany po mieście, szukając pań lekkiego prowadzenia, jeśli to miałaś na myśli.

– Nie wątpię, że masz znacznie subtelniejszy i kosztowniejszy gust – odrzekła ironicznie.

– Nie to miałem na myśli. Nie starałbym się o rękę damy, której nie byłbym wierny, i nie żeniłbym się, mając jednocześnie kochankę.

– Och... – westchnęła Phyllida i po chwili powtórzyła już ciszej: – Och.

Ashe energicznie odwrócił się do niej, ale jej ukryta w mroku twarz pozostawała nieprzenikniona. Z pewnością ten wykrzyknik nie był wyrazem niepokoju. Chyba żadna kobieta by nie chciała, żeby jej mąż miał kochankę?

– Tędy – powiedziała, skręcając w zaułek, zanim Ashe zdążył ubrać swoją myśl w słowa. Zaprowadziła go na podwórko pod drzwi, które musiały być tylnym wejściem do sklepu. – Poczekaaj, muszę wziąć klucz. – Schyliła się, usłyszał ciche szuranie i po chwili wyprostowała się, trzymając klucz w ręce. – Uff! – Ukrywam zapasowy klucz za luźną cegłą, do której broni dostępu błotna kałuża.

Wpuściła Ashe'a do środka i skręciła przed drzwiami wewnętrznymi, a następnie poprowadziła go wąskimi schodami do pokoju.

– Tu na tym stole jest krzesiwo. Czy mógłbyś? – poprosiła, a sama poszła zasunąć zasłony.

Boże, jaka ona jest zdenerwowana, pomyślał Ashe, zapalając świecę. Tym razem musi być wobec niej bardzo delikatny i wyrozumiały.

Płomień rozświetlił wnętrze, po czym Ashe pozapalał od niego pozostałe świece ustawione dokoła pokoju. Nie był to jednak surowy magazyn, czego się obawiał, ale przytulny damski pokój. Na ścianach wisiały kilimy, trochę zniszczone, ale noszące ślady oryginalnych barw. Zasłony w oknie były z bordowego pluszu i najwyraźniej stanowiły część łoża z baldachimem w jakimś apartamencie. Zniszczoną nierówną podłogę pokrywał puszysty dywan.

Na umeblowanie składało się biurko i krzesło, głęboki fotel, szeszlona i regał z książkami.

– Co za piękny pokój... – powiedział Ashe. – Przypomina mi komnaty w pałacu mojego ciotecznego dziadka: przytulny i luksusowy.

– Cóż... Wszystko jest jednak dość sfatygowane. – W głosie Phyllidy znów pojawiła się nuta goryczy, jakby kpiła sama z siebie.

– Powiedz mi, Phyllido, o co ci chodzi. Przecież wiesz, że nigdy bym cię do niczego nie zmuszał. Oczywiście z największą radością bym się tutaj z tobą kochał, ale uszanuję każdą twoją decyzję. – Wysunął krzesło spod biurka i usiadł. Nie było to może zbyt eleganckie, skoro ona wciąż stała, ale nie chciał nad nią górować.

– Muszę ci coś wyznać. – Usiadła ciężko na brzegu szeszlona, jakby nogi odmawiały jej posłuszeństwa. – Kiedy to usłyszysz, z pewnością nie zechcesz mnie poślubić.

– Bardzo wątpię – odparł Ashe ochoczo, chociaż poczuł nieprzyjemny dreszcz na samą myśl o tym, co to mogło być. Sądził, że chodzi o długi.

Phyllida wstała i tym razem Ashe wstał również. Było w jej twarzy coś, co go zaniepokoiło.

– Nie jestem dziewicą – powiedziała, jakby stała przed sądem w charakterze oskarżonej.

Ashe zamrugał zdziwiony.

– Tak się składa, że ja też nie – odparł.

– Wiem, że mężczyźni przywiązują do dziewictwa wielką wagę.
– Czy w dalszym ciągu jesteś z tym człowiekiem związana? Czy mógłbym się z nim spotkać?

Energicznie potrząsnęła głową.

– Jeżeli zatem powstrzymasz się przed porównaniami, które mogłyby urazić moją dumę, to nie widzę w tym żadnego problemu. – Kiedy tylko to powiedział, okazało się, że na pół humorystyczna odpowiedź była błędem.

– To wykluczone! Nie rozumiesz mnie.

– Czy chodzi o dziecko? – Ashe z całych sił usiłował właściwie odczytać jej słowa. Spróbował ująć jej dłonie, ale się odsunęła.

– Dzięki Bogu nie.

I wtedy do niego dotarło.

– Phyllido, czy zostałam zniewolona? – *Mere jaan*. Najmilsza. – Wziął ją w ramiona, nie bacząc na jej próby wyswobodzenia się. Od razu położyła mu głowę na piersi. – *Sahji, jaani* – wyszeptał czule, głaszcząc ją po włosach. – Powiedz mi, kto to jest, a przyniosę ci na tacy jego serce i jego męskość.

– To było bardzo dawno temu. Miałam wtedy siedemnaście lat... – wyznała cicho i poruszyła się w jego ramionach. – Puść mnie, proszę cię. Ja... – Otworzył ramiona, a Phyllida usiadła wyprostowana. – Ashe. Mówię ci o tym, bo masz prawo wiedzieć, a także dlatego, że nie sądzę, bym mogła... kiedykolwiek uwolnić się od tych wspomnień.

Ashe szukał właściwych słów.

– Kiedy cię całuję, odpowiadasz na mój pocałunek. Kiedy w powozie pieściłem twoje piersi, obudziłem w tobie najprawdziwszy żar pożądania. Uwierz mi, że ze mną będzie inaczej... Jesteś bezpieczna i możesz mi ufać...

– Ja... ja nie mogę za ciebie wyjść, nie wiedząc, czy to wszystko wytrzymam. Powinnam była powiedzieć ci to od razu, kiedy tylko zaproponowałeś mi małżeństwo, ale nie umiałam się na to zdobyć.

– Nie znaleźmy się tak dobrze, jak teraz. Zaufałaś mi. – Phyllida skinęła głową. – Wiesz dobrze, że przy mnie nie musisz się niczego obawiać. Nie zniewoliłbym cię. Nigdy.

– Oczywiście, że wiem. – Wydawała się zaskoczona, że ją w ogóle o to pyta. Spojrzała na niego wzrokiem przepelnionym żalem i uśmiechnęła się tak czule, że serce Ashe'a zabiło mocniej. – Ale ja... nie jestem pewna, czy będę mogła mieć dzieci...

Ashe wstał i podszedł do okna. Potrzebował czasu, żeby to wszystko poukładać sobie w głowie.

– Wobec tego rezygnuję z perswazji na rzecz uwodzenia – oznajmił. – Przeżyłaś ogromną traumę, ale jej skutki nie okazały się fatalne. Przejdziemy przez to razem i pokonamy twoje lęki. Poczekamy tyle czasu, ile będziesz potrzebowała. – Ashe nie zamierzał jej opuszczać i z satysfakcją dostrzegł na twarzy Phyllidy zawahanie. Ujął jej dłonie i zapytał: – Zastanowisz się nad tym?

– Nie wyjdę za ciebie za mąż, chyba że... – Zaczerpnęła tchu i spojrzała mu w oczy. – Nigdy później nie byłam z żadnym mężczyzną, więc naprawdę nie wiem, czy jestem w stanie się kochać. Być może tworzę problem, którego w rzeczywistości nie ma.

– Nie wyobrażam sobie, żebyś mogła zapomnieć o tak okrutnym doświadczeniu. – Ashe westchnął i spojrzał jej głęboko w oczy. – Uważam, że powinnaś dać nam szansę. Bliskość z ukochaną osobą to zupełnie co innego...

Phyllida skinęła głową.

– Nie przypuszczałam, że okażesz się tak wyrozumiały. Ale nie wiedziałam, jak ci to

wszystko powiedzieć.

Do Ashe'a dotarło wreszcie, co się kryło za jej wahaniem. Phyllida nie umiała uczynić żadnych deklaracji, zanim nie wyznała mu całej prawdy o sobie. Kolejny raz zaimponowała mu.

Tymczasem opłotła ramionami jego szyję i tuląc się do niego, spytała:

– Spróbujemy? Kochaj się ze mną, Ashe.

Nie zdążył odpowiedzieć, gdy przyciągnęła go bliżej do siebie. Wtedy rozchylił językiem jej wargi, całując głęboko, namiętnie i wyprzedzając pieśczołą jej nieśmiałą odpowiedź. Wreszcie poczuł, jak się rozluźnia i sama zaczyna go prowokować.

Rozpiął guziki surduta, który spadł na podłogę, po czym zajął się rozpinaniem obcisłego żakiecika. Nie protestowała, kiedy zsuwał go jej z ramion. Odsłoniwszy głęboki dekolt, natychmiast okrył go pocałunkami i zszedł nieco niżej, na talię.

Gdyby odrobinę bardziej się rozluźniła, porwałby ją w ramiona i położył na szezlongu, ale wyczuwając w niej jeszcze ciągle pewne napięcie, nie chciał posunąć się za daleko. Jak jednak miał ją ośmielić?

Ułożył się na plecach i uśmiechnął. Po chwili Phyllida lekko skinęła głową na znak, że rozumie, o co mu chodzi; nachyliła się nad nim i go pocałowała. Pomyślał, że jest w tym rozczulająco niezdarna.

Kiedy otarła się dłonią o jego sutek, jęknął cicho.

– Ashe? – Jej oczy w migotliwym świetle świecy wydały mu się wielkie i ciemne. – Podrażniłam cię?

– Nie – skłamał.

– Czy chciałbyś już mnie? – zapytała troskliwie.

– Nie... – skłamał ponownie i stwierdził, że ponad wszystko ona musi cały czas czuć, że panuje nad sytuacją, że w każdej chwili może uciec. Nakrył jej piersi dłońmi, wyczuwając przez jedwab sutki. – Czy to ci sprawia przyjemność?

– Och, tak. – Przymknęła oczy. Ashe poluzował troczki przy jej spódniczce, tak by mógł wsunąć pod nią rękę; Phyllida się nie broniła. – Ashe... ja pragnę...

– To dobrze. – Przyniósł ją delikatnie do siebie, wtulił twarz w zagłębienie jej szyi, chłonąc znajomy zapach jaśminu. – Czy jesteś gotowa na kolejny krok?

– Jaki? – Odsunęła się od niego, nagle zaniepokojona. – Ale nie będziesz...

– Nie, będą nadal leżał obok ciebie, tylko pozwól mi się dotykać.

Niemal czuł wysiłek, z jakim obdarzała go zaufaniem, ale pozwalała mu na coraz więcej, a on coraz śmieiej szukał sposobu, aby uwolnić ją od przeszłości i dać jak najwięcej przyjemności.

– Ashe! – Phyllida spodziewała się bólu. Każdy, nawet najdelikatniejszy, kontakt z mężczyzną wyobrażała sobie jako bolesny. Zupełnie na to nieprzygotowana, odczuła nagły, obezwładniający dreszcz rozkoszy, która wprawiła w drganie każdy najmniejszy nawet mięsień jej ciała.

– Kochanie... – wyszeptał Ashe – ...nie broń się przed przyjemnością. Zapomnij o wszystkim...

Nie bronić się? Nie wiedziała, jak się zachować, gdy zamiast spodziewanego bólu czuła rozkosz, jakiej sobie nie wyobrażała. W tej chwili pragnęła tylko, aby nie przestawał poruszać swymi niesfornymi palcami.

– Ale ja nie wiem jak... – wyszeptała.

– Słuchaj swojego ciała, ono cię poprowadzi... – Ashe pocałował ją, a ona zatraciła się całkowicie, zapominając o wszystkim. Skupiła się tylko na nowych, niewyobrażalnie przyjemnych doświadczeniach.

Naraz jej ciałem wstrząsnął silny dreszcz. Zacisnęła mocno palce i jęknęła.

– Phyllido...? – Głos Ashe'a był miękki jak aksamit, zmysłowy jak grzech i delikatny jak on sam... człowiek, którego kocham.

– Co się stało? – Leżała przy nim na szezlongu, jej rozbudzone ciało wibrowało głęboką zmysłową rozkoszą.

– To był orgazm, kochanie.

Zarumieniła się.

– Ale przecież to jest coś, czego doznają tylko mężczyźni.

– Nieprawda. – Przysunął ją bliżej do siebie tak, że jej policzek spoczywał na jego piersi.

– Ale ty tego nie przeżyłeś.

– Teraz nie. Mogę jeszcze poczekać.

Spojrzała na jego ciało. Nie miała wątpliwości, że jest podniecony. Delikatnie wsunęła mu rękę w spodnie i zaczęła nią poruszać. Za chwilę sprawy wymknęły się im obojgu spod kontroli i potoczyły bardzo szybko. Wiedziała, że jest niezręczna, ale nie czuła już lęku ani wstydu. Skupiła się tylko na swoim celu.

Szczęśliwa na widok jego spełnienia i szczęścia przyłgnęła do niego. Ucałował ją wdzięcznym pocałunkiem.

– Przepraszam cię, kochanie, to musiał być dla ciebie szok – wyszeptał.

– Było mi bardzo, bardzo dobrze... – odparła z ustami tuż przy jego piersi. – Wiesz, Ashe, dzisiaj dałeś mi nadzieję na to, że wszystko między nami może się ułożyć...

– A to dopiero początek, kochanie – powiedział Ashe i usiadł. – Można to robić na różne sposoby.

Wstał i zajrzał za parawan, gdzie znalazł dzban z wodą i ręcznik.

– Ashe, czy chciałbyś to powtórzyć? – Przeżyła coś cudownego, ale na myśl o samym akcie znowu nawiedził ją lęk. Seks w końcu sprowadzał się do tej samej czynności, która w obskurnym burdelu w Wapping pozbawiła ją dziewictwa. I za którą zapłacił Harry Buck.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Czyn, jakiego Phyllida się dopuściła, stawiał ją w jednym rzędzie z prostytutkami. Tak przynajmniej nazwałby ją każdy mężczyzna i co do tego nie miała wątpliwości. Pozwoliła Ashe'owi wierzyć, że została zgwałcona, gdy tymczasem sama się rozebrała i położyła na tamtym łóżku, nawet nie próbując się bronić, a potem wzięła pieniądze.

To prawda, że gdyby tego nie zrobiła, nie tylko cierpiałyby głód, ale nie miałyby pieniędzy, żeby odszukać ojca i pomóc ich chorej matce.

Ale czy to zmieniało fakt, że straciła godność i honor – jedyne, co jej wówczas pozostało? Jej samopoczucie nie poprawiała również świadomość, że gdyby stanęła ponownie przed tym wyborem, postąpiłaby tak samo.

Tymczasem Ashe wychynął zza parawanu.

– Pytałaś, czy moglibyśmy zrobić to jeszcze raz. Bardzo bym tego chciał, ale nie dzisiaj. Zresztą, nie musimy się spieszyć. Następnym razem spróbujemy czegoś nowego.

Phyllida posłała mu pełne wdzięczności spojrzenie. Nic dziwnego, że się w nim zakochała. Wprawdzie domyślała się, że jego przeszłość nie była nieskazitelna, ale z pewnością był przyzwoitym, honorowym człowiekiem.

Phyllida walczyła ze swoim sumieniem. Przecież nie zwabiła go tutaj, żeby się z nim kochać, chciała mu po prostu wyznać, że nie była dziewicą. Ale bliskość Ashe'a i jego czułość sprawiły, że pozbyła się wszelkich skrupułów. Pragnienie, by się znaleźć w jego ramionach, okazało się najsilniejsze.

Teraz zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo zbłądziła i jak słaba się okazała. Siedziała z ręką na ustach, żeby powstrzymać płacz.

– Wszystko w porządku, Phyllido? – Ashe spytał z troską.

Odzyskała głos i zdołała mu nadać lekkie brzmienie.

– Tak, ale muszę przyznać, że wciąż czuję się lekko zdeprymowana.

Uśmiechnęła się i pomyślała, że będą się znów kochali; że to nieuchronne jak wschód słońca.

– Która to godzina, Ashe? – Phyllida wynurzyła się wreszcie zza parawanu. Nie umiała spojrzeć mu jeszcze w oczy, chociaż czuła się przy nim bezpiecznie i coraz pewniej.

– Trzecia. Czas wracać do domu. Proszę. – Ashe podał jej żakiet, ale przy okazji dotknął palcem czubka jej lewej piersi. – A co to takiego? – zapytał. – Znamię?

– Tak. – Phyllida spojrzała w dół, na brązowe znamię wielkości truskawki. – Szczęśliwie w dekolcie go nie widać.

– Ale dlaczego miałabyś je ukrywać? – Ashe pomógł jej włożyć żakiet. – Wygląda jak serduszko. Jest urocze.

– To skaza.

– Nonsens. Na tle twojej białej skóry wygląda fascynująco. Obiecuj mi, że już nigdy nie będziesz go zakrywała. – Ashe pochylił się i pocałował ją w to miejsce.

– Zgoda – odparła, wiedząc, że w codziennych sukniach, z mniejszymi dekoltami, i tak nie będzie widać znamienia. – Ashe, uspokój się, bo nigdy stąd nie wyjdziemy! – Przestał ją łąskotać, grzecznie zapinając żakiet.

– Zgoda, chodźmy.

Nazajutrz po południu, kiedy Sara i Phyllida były zajęte szyciem, przyjechał Gregory. Lady Eldonstone nalegała, żeby Phyllida odpoczęła po porannym doglądaniu wysyłki przedmio-

tów do domu aukcyjnego, więc była to dobra okazja do tego, by lekko przerobić dekolty niektórych wieczorowych sukien tak, żeby zgodnie z życzeniem Ashe'a jej znamię było widoczne.

Sara zadzwoniła po napoje i Gregory usiadł, wyciągając długie nogi w obcisłych pantalonach.

– Przedstawiasz sobą obraz idealnego londyńskiego dżentelmena – skomplementowała go siostra. – Schludny, wymuskany, o nobliwym wyglądzie. I ta nowa krótka fryzura!

Gregory spojrzał na nią dobrotliwie.

– Harriet taką lubi. Ale pozwól, że powiem, po co tu przyszedłem. Obawiam się, że ty i ja zostaliśmy zaproszeni jutro wieczorem na obiad rodzinny.

– Obawiasz się? A ja myślałam, że masz dobre stosunki z rodziną Harriet.

– Owszem, mam, ale pojawił się w mieście pewien dawno niewidziany krewny, jej wuj. Jest to brat pani Millington, a przy tym ktoś w rodzaju rodzinnej czarnej owcy. Przez jakiś czas przebywał na Jamajce i według moich podejrzeń oni wszyscy mieli nadzieję, że już tam zostanie. Przypuszczam, że zostaliśmy zaproszeni tylko po to, żeby trochę rozładować nieco niezręczną atmosferę, której niechybnie się spodziewają. Mają też przyjść dwie kuzynki i cioteczna babka.

– Chyba obawiają się, że ten krewny postanowił zostać w Londynie, prawda? A może się nawrócił? – zastanawiała się Sara. – Czy zechce pan sobie nalać sherry albo madery, lordzie Fransham?

– Dziękuję bardzo. Wszystko wskazuje na to, że Millington chciał odmówić spotkania, ale żona postanowiła dać bratu drugą szansę i stąd ten pomysł z obiadem.

– Muszę zapytać lady Eldonstone, czy nie ma już innych planów – poinformowała go Phyllida, mimo że szczerze chciała towarzyszyć bratu. Przygotowania ślubne Gregory'ego i Harriet szły pełną parą i była wdzięczna za okazaną przez nich wyrozumiałość.

– Jutrzejszy wieczór mamy wolny – powiedziała Sara. – Wiem, bo tata idzie na wykład do Towarzystwa Królewskiego, a mama postanowiła zostać w domu i odpocząć.

Następnego dnia o siódmej wieczorem Phyllida wysiadła z powozu Eldonstone'ów przed domem przyszłych teściów brata. Żałowała, że Ashe nie może jej towarzyszyć; podejrzewała, że będzie cały czas musiała zabawiać rozmową rodzinę, wzburzoną powrotem pana Phillipa Wil-motta.

– Chwileczkę, proszę zaczekać, peleryna jest źle zapięta. – Pokojówka wysłana przez lady Eldonstone, by pomóc Phyllidzie, stanęła w drzwiach powozu. W tym samym momencie z mroku wyłoniła się i w krąg światła padającego od latarni weszła ciemna postać.

Mężczyzna rzucił się na Phyllidę, przygniatając ją do boku powozu. Zbyt zszokowana, by odczuwać strach, złapała torebkę, gotowa wymierzyć mu cios, i w tym momencie peleryna zsunęła jej się z ramion na ziemię.

Początkowo pomyślała, że to ktoś obcy, ale kiedy na twarz mężczyzny padło światło, natychmiast go poznała. Był to Harry Buck.

– Ej, ślicznotko – zarechotał ochryple. – Tak mi się wydawało, że widzę znajomą buźkę. – Cofnęła się, czując jego lepki wzrok na swoim dekolcie. – Tak, przypominam sobie, a któż by to zapomniał? – Ręka Phyllidy instynktownie powędrowała do znamienia, ale było już za późno. Harry Buck je zobaczył.

Pokojówka zaczęła wzywać pomocy. Otworzyły się drzwi frontowe, a stangret z batem w ręku zeskoczył z kozła. Buck znikł tak samo nagle, jak się pojawił.

Gdyby Phyllida nie trzymała się drzwi powozu, z pewnością by wypadła, ponieważ nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Ziścił się najgorszy z jej koszmarów. Harry Buck, człowiek, który kupił za pieniądze jej dziewictwo, rozpoznał ją.

– Panno Hurst, czy wszystko jest w porządku?! – usłyszała obok siebie głos kamerdynera

i zmusiła się, by zebrać myśli.

– To jakiś pijak, ale na szczęście nic mi się nie stało. Bardzo proszę nie mówić nic pani Millington, nie chciałabym jej niepokoić.

Phyllida wreszcie znalazła się w domu swoich gospodarzy, gdzie ją zaanonsowano i powitano. Przeżyty koszmar nie pozostawił na jej twarzy śladu, bo po zaprezentowaniu jej podejrzanej kuzynowi, niejakiemu panu Wilmottowi, nikt nie zwrócił na nią szczególnej uwagi. Starła się obojętnym wyrazem twarzy zatrzeć traumatyczne przeżycie i lekko pochyliła głowę w nadziei, że pani Millington złoży to na karb jej nieśmiałości.

Podczas posiłku siedziała pomiędzy starszawym kuzynem, który okazał się maklerem giełdowym, a panem domu. Tylko siłą woli dobrnęła do deseru, po którym podeszła do brata.

– Przepraszam cię, Gregory, nie czuję się najlepiej i chciałabym już wracać.

– Naturalnie, tylko się pożegnaj z Harriet.

Phyllida obróciła się i podeszła do pani Millington.

– Muszę panią bardzo przeprosić, ale cierpię na ból głowy. Pani wybaczy, ale Gregory odwiezie mnie do domu...

– Naturalnie, już wzywam powóz.

Kiedy tylko przekroczyła próg rezydencji Eldonstone'ów, zobaczyła Ashe'a, który z książką w ręku przechadzał się po korytarzu. Powitał ją promiennym uśmiechem.

– Jak się masz? Czy wieczór był tak ciężki, jak się obawiał twój brat?

– Jeszcze trudniejszy. – Patrzyła na stojącego przed nią człowieka, którego pokochała. – Muszę z tobą porozmawiać, Ashe.

– Naturalnie. – Otworzył przed nią drzwi biblioteki. – Nikogo nie ma w domu. Co się stało?

– Nie mogę wyjść za ciebie za mąż. – Kiedy tylko padła z jej ust ta deklaracja, pożałowała, że nie miała dość siły, by mu odmówić na samym początku. Teraz, kiedy Buck ją rozpoznał, nie miała wątpliwości, że nadszedł czas, aby wyznać mu całą prawdę. Ale jak miała powiedzieć, że postąpiła jak prostytutka?

Ashe przez chwilę stał przed zimnym kominkiem, po czym odłożył książkę, którą trzymał w ręce.

– Dlaczego? Czy z powodu tego, co mi powiedziałaś parę dni temu? Czy z powodu tego, co między nami zaszło?

– Nie – skłamała. – Postąpiłam niesłusznie, godząc się na twój plan ratowania mnie przed skandalem. Od początku zamierzałam się z tego wycofać, ale... pokochałam cię. Nie musisz już mnie dłużej chronić. Plotka przycichła i nikt się nie zdziwi, jeśli twoje zainteresowanie moją osobą wygaśnie. Nie chcę skazywać cię na małżeństwo bez miłości, zwłaszcza że nie jestem idealną kandydatką na żonę wicehrabiego i spadkobiercę tytułu markiza.

– Aha. Nie przypuszczałem, że mogłem się aż tak bardzo pomylić w ocenie naszych uczuć. – Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, wyłącznie skupienie. – A więc kochanie się ze mną było dla ciebie tylko sposobem na przewycięzenie własnych lęków, tak?

– Tak, lęków i złych wspomnień – powtórzyła za nim Phyllida. Jeśli Ashe uwierzy, że go po prostu wykorzystała, przestanie o nią walczyć i tylko utwierdzi się w przekonaniu, że nie powinien jej poślubić.

– Cieszę się, że się na coś przydałem. – Podniósł na nią oczy i Phyllida dostrzegła w nich złość. Był wściekły i z trudem nad sobą panował.

– Jutro rano wrócę do domu – oznajmiła, starając się opanowaniem dorównać Ashe'owi. – Sama wszystko wyjaśnię twojej matce. Na pewno przyjmie tę wiadomość z ulgą.

– Będzie rozczarowana tym, że się tak co do ciebie pomyliła – odparł Ashe. – Tak samo

jak ja jestem zawiedziony.

– Ostrzegałam cię od samego początku, że nie nadaję się na żonę dla ciebie. – Najlepiej jak najprędzej przeciąć tę wątłą nić uczucia, jaka ich połączyła. Ashe dzięki Bogu jej nie kochał i nie będzie o nią walczył. – No ale oczywiście chciałeś postąpić szlachetnie, nawet jeśli nie wymagał tego obowiązek wobec twojej rodziny – dołała oliwy do ognia.

To wreszcie podziałało. Ashe ruszył w jej stronę, patrząc, jak się przed nim cofa, aż poczuła za sobą zamknięte drzwi.

– Obowiązek wobec rodziny, nazwiska i tytułu wymaga ode mnie, abym postępował honorowo – wyrzucił z siebie. – Myślałem, że znalazłem kobietę wartą noszenia tego nazwiska, taką, która będzie stała przy mnie i mojej rodzinie i pomoże przywrócić i nazwisku, i majątkowi należną im pozycję. Najwyraźniej pomyliłem się.

Ashe cofnął się, a Phyllida odwróciła się pospiesznie, żeby nie zobaczyć w jej oczach łez. Bez słowa opuściła bibliotekę i udała się do siebie na górę. Mimowolnie nasłuchiwała dźwięku otwieranych drzwi i głosu Ashe'a wołającego, by wróciła. Nic takiego się jednak nie stało.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Matka Ashe'a była zawiedziona, ale przyjęła decyzję Phyllidy ze spokojem i z klasą. Phyllida nie wątpiła jednak, że pod maską uprzejmości skrywa gniew, bowiem jej synem wzgardziła kobieta, która w żaden sposób nie powinna była nigdy zostać uznana za godną partię dla wicehrabiego.

Jeszcze przed śniadaniem wróciła na Great Ryder Street, gdzie dowiedziała się, że Gregory zostaje jeszcze na kilka dni u państwa Millingtonów. Najprawdopodobniej po to, żeby udzielać im moralnego wsparcia, kiedy ważyły się losy marnotrawnego kuzyna.

– Wszystko w porządku, panno Phyllido? – zapytała Anna, kiedy wniesiono do domu bagaż. – Wygląda pani tak, jakby przeplakała co najmniej pół nocy.

– Co za nonsens. Po prostu bierze mnie przeziębienie, to wszystko.

Przygotuję zatem moją miksturę – powiedziała pokojówka. – O, i jest tu list do pani, miałam go właśnie do pani posłać.

Phyllida wzięła list do ręki i z narastającym niepokojem przyglądała się nieznanemu charakterowi pisma na zwykłym, tanim papierze. Poszła do salonu, usiadła i otworzyła korespondencję.

Pałac Rozkoszy Dla Wybrednych Dżentelmenów Pana Harry'ego Bucka. Trzecia po południu, dzisiaj. Wracaj do pracy. Nie spóźnij się. Żeby zachować to w dyskrecji, oczekuję milej zachęty.

Phyllidę chwycił nagły atak mdłości zakończony gwałtownymi torsjami.

– Mój Boże! A to co znowu?! – Anna wykrzyknęła z troską.

Phyllida zamknęła oczy.

– Nie mam pojęcia, musiało mi coś zaszkodzić.

– Proszę do łóżka, aniołeczku, zaraz poślę po lekarza i po jego lordowską mość.

– Nie! Tylko nie po lorda Clere!

– Miałam na myśli pani brata. Proszę się na mnie oprzeć.

– Dobrze, dziękuję ci, Anno. Nie wzywaj doktora, zaraz mi przejdzie. I nie ma powodu niepokoić Gregory'ego; jest bardziej potrzebny pannie Millington. A teraz się położę, bowiem po południu będę musiała wyjść.

– W tym stanie? Wykluczone, panno Phyllido. Tylko odpoczynek.

Ashe jadł śniadanie, robiąc dobrą minę do złej gry, podczas gdy jego rodzina udawała dzielnie, że nic się nie stało.

Po śniadaniu wybrał się do klubu Brooksa. Kiedy złapał się na tym, że odwraca oczy od skrzyżowania z Jermyn Street, udzielił sobie w myślach reprimendy.

W klubie znalazł zaciszne miejsce, gdzie schował się za gazetą, ale tekst tańczył mu przed oczami.

Niech ją wszyscy diabli, zaklął w duchu. Miał za sobą bezsenność, którą spędził nękany na zmianę falami złości i bolesnej tęsknoty.

Phyllida go nie chciała, uważała, że małżeństwo z nim to wyrok dożywotniego nieszczęścia, a poza tym wcale go nie pragnęła. Ich miłosne igraszki były z jej strony tylko próbami porażenia siebie z traumatycznym przeżyciem z przeszłości.

A dojmujący ból, jaki odczuwał, był naturalnie z jego strony przejawem zranionej dumy i niezaspokojonej żądz. Został wykorzystany. Wykorzystany do tego, żeby ją uchronić przed skandalem, wyleczyć z dawnych lęków, a teraz, kiedy go już nie potrzebowała, po prostu ode-

sza. Najwyraźniej jej niechęć do wyjścia za niego za mąż przewyższała jego atuty, jak tytuł, majątek i perspektywy.

Ashe złożył gazetę z szaleńczą precyzją i trzasnął nią o stół. Miał ochotę kogoś uderzyć. Nie dbał o to, czy ten ktoś mu odda; po prostu chciał dać upust nagromadzonej frustracji.

Przyzwał kelnera.

– Czy są tu jakieś kluby bokserskie? – zapytał.

– Oczywiście, milordzie. I to niejeden. Naturalnie najlepszy to prowadzi Jackson. Każdy dorożkarz zna drogę.

– Dziękuję, pójdę piechotą.

Ashe spędził godzinę, waląc w worek treningowy, po czym zjadł porcję gorącego pieroga, którą popił portem w gospodzie Pod Czerwonym Lwem. Po posiłku ruszył na północ bez żadnego wyraźnego celu.

– Milordzie!

Zatrzymał się i obrócił. Była to kobieta w zwykłej sukience i płaszczu. Tak na oko służąca. Kiedy się jej przyjrzał, okazało się, że to Anna, pokojówka Phyllidy.

– Och, milordzie, jakie to szczęście, że pana znalazłam! – Anna zatrzymała się zdyszana.

Ashe rozejrzał się dokoła i stwierdził, że jest prawie na Haymarket.

– Czego chcesz? – zapytał krótko.

– Chodzi o pannę Phyllidę. Przyszła do domu dziś rano i wyglądała, jakby płakała całą noc, ale powiedziała, że to nic wielkiego, że po prostu łapie ją katar. Potem otworzyła korespondencję i zaczęła się trząść jak osika. Kazałam jej iść do łóżka, ale ona powiedziała, że musi wyjść... no i wyszła w tych okropnych ubraniach, które wkłada, kiedy idzie do wschodniej części Londynu. – Anna zaczerpnęła tchu i spojrzała mu głęboko w oczy jak gdyby oskarżycielsko. – Dzieje się coś niedobrego, milordzie, i wydaje mi się, że ma to coś wspólnego z panem. Powiedziała, że pan tu już nie będzie więcej przychodził, a kiedy ją spytałam dlaczego, to mało mi nie urwała głowy. Co pan jej takiego zrobił?

– Nic. Twoja pani nie chce mieć ze mną nic wspólnego. – Ashe odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie. Nie ma zamiaru dać się przesłuchiwać jakiejś służącej, i to na ulicy.

Po kilku krokach zatrzymał się jednak i odwrócił. Anna od razu do niego podbiegła.

– Milordzie?

– Co to była za poczta?

– To był jeden list. Nie mówiła od kogo.

– Gdzie jest ten list?

Anna zmarszczyła czoło w wyrazie skupienia.

– Nie wiem. Nie miała go, kiedy ją prowadziłam na górę. Pewnie go zostawiła w salonie. Czy myśli pan, że wyszła z powodu tego listu?

– Nie wiem, ale to jedyna wskazówka, jaką mamy. Idziemy.

Ashe przeczytał wiadomość i osłupiał. Phyllida okłamała go. Nie została zgwałcona, tylko była prostytutką. Najpewniej niebezpieczeństwo ujawnienia tego sekretu zmusiło ją do zerwania z nim wszelkich relacji.

Do diabła z nią, zaklął w duchu, zasłużyła na wszystko, co ją spotyka.

Przedarł kartkę na pół, a potem spojrzał na nią raz jeszcze i zaczął chłodno analizować wszystkie fakty.

W intymnej sytuacji była autentycznie niedoświadczona i zdenerwowana. Zapewne więc ta obleśna kreatura, Buck, wykorzystał ją tylko raz, a teraz szantażuje. Naraz zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, w jakim się znalazła, i przeszedł go zimny dreszcz. Na wyjaśnienia przyjdzie czas później.

- Słyszałaś może o Harrym Bucku? – zapytał.
- Słyszałam. – Dziewczyna zbladła. – To niebezpieczny oprych.
- Gdzie jest jego burdel?

Anna gapiła się na niego w osłupieniu, ale po chwili zorientowała się, że Ashe mówi poważnie.

- Ma ich kilka, tak przynajmniej słyszałam, ale nie wiem, gdzie one są.

Ciekawe, ile czasu by mu zajęło przeczesywanie slumsów East Endu bez pomocy? Nawet gdyby znalazł jej brata i wszystko mu wyjaśnił, to przecież nie miał żadnej gwarancji, że Gregory będzie wiedział, gdzie jej szukać. Naraz przypomniało mu się, jak Phyllida opowiadała o Ashoku, indyjskim handlarzu.

- Znajdę ją, Anno – obiecał – a ty tu zostań na wypadek, gdyby wróciła beze mnie. – Po tych słowach wybiegł z trzaśnięciem drzwi.

W domu nie zastał nikogo. Pobiegł na górę po swoje pistolety i noże, a następnie zbiegł po trzy stopnie na raz i znalazłszy się na ulicy, przyzwał dorożkę.

- Do portu – rzucił krótko. – Płacę podwójnie, bo zależy mi na czasie. – Usadowił się w kącie pojazdu i zaczął ładować broń. Jeśli Phyllida zostanie skrzywdzona, ktoś za to zapłaci najwyższą cenę.

Z grubsza wiedziała, dokąd się udać. Musiało to być gdzieś w plątaninie uliczek i podwórek – między Butchers Row, Pillory Lane i New Street, czyli tam, gdzie zapachy Smithfield Market mieszały się z odorem ludzkich odchodów, garbarni i przepelnionych cmentarzy. Już kiedyś szła tędy, obolała i rozdygotana, przerażona tym, co się stało, ściskając w dłoni monety, które dał jej Harry Buck.

Dopiero jakiś czas później zrozumiała, ile miała szczęścia, że Buck dotrzymał słowa i skrzywdził ją tylko raz, zamiast po prostu przekręcić klucz w drzwiach i powtarzać ten okrutny akt wielokrotnie.

Natknęła się na grubą dziewczynę w czerwonym szalu z nieprzyzwoicie obnażonymi piersiami i uznała, że na pewno wskaże jej drogę.

- Czy mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie jest dom Harry’ego Bucka?

– A co, szukasz pracy? – Dziewczyna pogardliwym wzrokiem ogarnęła burą sukienkę i brązowy płaszcz Phyllidy. – Z czym do gości?

- Słyszałam, że szuka kucharki. – Starła się dostosować swoją wymowę do dzielnicy i jej mieszkańców. – Umiem dobrze gotować.

– Tak? To będzie tam. – Kobieta ruchem głowy wskazała w kierunku Smithfield. – Ten jest najlepszy ze wszystkich.

- Dziękuję. – Phyllida z trudem zmusiła oporne nogi, żeby ruszyły z miejsca. Nie miała pojęcia, jak z tego wybrnąć, wiedziała tylko, że musi coś zrobić, zanim Buck ogłosi wszem wobec, że siostra lorda Fransham sprzedała swoje dziewictwo w portowym burdelu.

Mdłości wróciły, kiedy zobaczyła dom: masywny trzypiętrowy budynek z cegły, poczerniały od sadzy i brudu. Drzwi frontowe były jednak czyste, czerwone i błyszczące, z uchwytnymi na pochodnie po obu stronach, żeby zainteresowani nie mieli kłopotu ze znalezieniem drogi.

Phyllida weszła na stopnie i sięgnęła do kołatki. Drzwi się otworzyły i mężczyzna ze złamanym nosem zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Poznała w nim jednego z goryli Bucka.

- Pan Buck umówił się tu ze mną na spotkanie – oznajmiła.

– Umówił się? No cóż, skoro tak, to musisz zapewne znać jakieś ciekawe sztuczki. – Drzwi wejściowe się zamknęły, po czym ze zgrzytem zamków otworzyły się drzwi wewnętrzne. – Szef jest tam. – Mężczyzna przyjrzał się Phyllidzie dokładnie, otwierając przed nią drzwi na pierwszym piętrze. – To ty jesteś tą handlarką, tak?

– Owszem – zgodziła się Phyllida. Zanim weszła do matecznika Bucka, zawahała się na progu. – Jestem marszandem, a nie prostytutką.

– A to co? – zagadnął ostro Buck, kiedy weszła do środka. – Co mówiłeś, Jem?

– Tu jest ta handlarka z hurtowni w porcie, szefie. Ta, co kupiła tę chińską porcelanę wtedy, co była pyskówką z tym Hindusem.

Phyllida przestała studiować zawijasy na tureckim dywanie i spojrzała przed siebie. Buck siedział rozwalony na krześle przy szerokim biurku.

– A dlaczego tak szmatławo dziś wyglądasz, ślicznotko? Wczoraj wieczorem, jak się wybierałaś na kolację w lepszym towarzystwie, wyglądałaś całkiem inaczej.

Osilek zamknął za nią drzwi. Phyllida wyprostowała się i spojrzała Buckowi w oczy. Nie zamierzała dawać mu satysfakcji, pokazując, jak bardzo ją skrzywdził. Wspomnienia wracały jednak jak gęsta lepka mgła.

„Jesteś ślicznotką”, nawiedziły ją jego słowa z tej nieszczęsnej nocy. „Myślę, że wezmę cię dla siebie. Niby dlaczego nie miałbym sobie od czasu do czasu poużywać?”

– No więc jestem. Jak mam ci zamknąć usta? Czego chcesz?

– Tak jak mówiłem, złotko: chcę forsy.

– Ile?

– Stówkę.

Tyle mogła dać bez trudu. Wiedziała jednak, że na tym się nie skończy.

– I to wszystko? Taka jest cena twojego milczenia?

– Nie bądź naiwna, dziewczyno. Stówkę co miesiąc. Jeśli nie masz tyle, to możesz tu przyjść i to odpracować własnym ciałem. Płacisz albo pracujesz, a ja milczę. – Spojrzał na nią pożądliwie. – Wtedy byłaś chucherkiem, ale dobrze zapamiętałem te oczy. Duże, okrągłe, patrzyły na mnie tak jak wtedy w hurtowni. No i to znamię w kształcie serca na cycuszkę. Pamięć to ja mam dobrą... Chodziłem za tobą, dopóki sobie nie przypomniałem, kim jesteś.

– Szantaż to poważne przestępstwo – powiedziała Phyllida, choć wiedziała, że nie zrobi to na nim żadnego wrażenia.

– Wiem, grozi za to szubienica. – Zgodził się z nią Buck, obnażając zęby w bezczelnym uśmiechu. – Ale ciekawe, komu o tym powiesz?

Miał rację. Nie mogła tego zrobić. Teraz należało zdobyć trochę czasu i obmyślić plan działania.

– Nie mam skąd wziąć od razu takiej sumy. Musisz mi dać trochę czasu

Buck obserwował ją pilnie; jego wzrok prześlizgał się po całym ciele.

– Co to, to nie. Wiem, że chcesz mnie oszukać. Zaczynamy już dziś. Sam sobie odbiorę pierwszą opłatę. Dziś wieczorem mamy tu małe przyjęcie. Na pewno się spodobaś moim gościom.

– Wykluczone. – Phyllida sięgnęła do drzwi, szarpnęła za klamkę i... natknęła się na szeroką pierś Jema.

– Tak, tak, Jem – powiedział Buck. – Pani zostaje. Zaprowadź ją do jednego z pokoiów na górze i zamknij drzwi. Nie daj Boże, żeby zabłądziła i żeby ją spotkał jakiś wypadek.

Phyllida usiłowała się precyzyjnie koło osiłka, ale wiedziała, że wszelkie próby są skazane na niepowodzenie. Jem podniósł ją i bez najmniejszego wysiłku zarzucił sobie na ramię.

Pokój, w którym wylądowała, najwyraźniej był przeznaczony do obsługi klientów. Zastanawiała się, czy wtedy również „zaprosił” ją do tego samego pokoju.

No cóż, pomyślała, gorączkowo szukając jakiejś drogi ratunku. Nie była już tamtą bezbronną dziewczyną. Otworzyła okno i trzymając się brudnego parapetu, wyjrzała na zewnątrz. Znajdowała się na drugim piętrze, a okno wychodziło na niewielki zaułek. W zasięgu jej ręki nie

było ani parapetów, ani rynien. Okno i zamknięte drzwi stanowiły jedyną drogę na zewnątrz.

Zdjęła płaszcz i jeden z butów i nakrywszy tkaniną lustro, z całej siły uderzyła w nie obcasem. Lustro popękało promieniście na długie przypominające ostrza noży kawałki. Rzykując, że skaleczy rękę, wyjęła jeden z nich, ściągnęła z łóżka narzutę i zaimprovizowanym nożem zaczęła kroić prześcieradło na paski.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

– Podejmiesz się tego? – zapytał Ashe w języku hindi.

Na twarzy wysokiego Hindusa pojawił się uśmiech.

– Oczywiście, mój bracie. Jesteś wrogiem Bucka, a Buck jest moim wrogiem. Na to wychodzi, że jesteśmy przyjaciółmi. Poza tym nie podoba mi się, jak traktuje kobiety. – Mężczyzna zaklął szpetnie i splunął. – Chodźmy, posłuchajmy, co powiedzą moi ludzie.

Ashe podejrzewał, że Ashok był takim samym kryminalistą, jak Buck i wyczuł okazję do rozprawienia się z konkurentem. Może nie zajmował się stręczycielstwem, ale w powietrzu unosił się zapach czystego opium. Poza tym drzwi i okna miały ciężkie okucia, a w magazynie wszędzie leżała broń.

Znalazł go stosunkowo łatwo. Pierwsza grupa hinduskich marynarzy, na którą natknął się w porcie, ze zdziwieniem przyjęła mężczyznę ubranego według najwyższych standardów mody, który zwrócił się do nich w ich ojczystym języku. Dzięki temu szybko przekonał ich do siebie i bez żadnych oporów zaprowadził go do Ashoka.

Ashe wiedział, że w świecie indyjskim takie sprawy załatwia się inaczej i jedyną szansą na uratowanie Phyllidy z gniazda Bucka było zachowanie cierpliwości. Wyjaśnił więc, o co chodzi, wypił płynne opium prosto z dłoni gospodarza i spokojnie wymienili różne plotki z życia Kalkuty.

– O tak, bracie, ona tam jest – Ashok przeszedł w końcu do sedna sprawy. – Obserwujemy to miejsce. Twoja pani tam weszła, blada i w byle jakim brązowym płaszczu, i jak dotąd jeszcze nie wyszła. Musimy czekać do wieczora.

– Nie. Jej grozi poważne niebezpieczeństwo. Nawet teraz, kiedy tu siedzimy i rozmawiamy, oni mogą...

– Trzeba czekać do wieczora. Wtedy przychodzą klienci, a przecież on jej po to potrzebuje. W końcu jesteś angielskim dżentelmenem i chętnie otworzą dla ciebie drzwi. Wtedy moi ludzie zaatakują od tyłu. Czy zamierzasz wyzwąć Bucka na pojedynek?

– Pojedyńki są dla dżentelmenów. – Ashe wysunął nóż z rękawa i delikatnie przyciął nierówny brzeżek paznokcia. – A on nie jest dżentelmenem.

– Aha. – Ashok skwitował to uśmiechem. – No nie, nie jest. Nie chcemy jednak, żeby się dostał w ręce sędziów, za dużo o mnie wie. Lepiej, żeby przytrafił mu się nieszczęśliwy wypadek... Jakiś czas temu twoja pani oglądała niektóre z moich pereł, ale powiedziała, że są dla niej za drogie. Może chciałbyś je obejrzeć?

Moja pani. Czyżby?

Najgorsze jest czekanie, myślała Phyllida, stojąc za drzwiami. Okno naprzeciwko niej było otwarte i powiewały wiszące w nim firanki. Wyciągnęła jeden ze słupków łóżka, przywiązała do niego warkocz upleciony z pasów pociętego prześcieradła i zamocowała w poprzek okna.

Wiedziała, że ta zaimprovizowana lina nie utrzyma jej ciężaru, ale gdyby w ten sposób zdołała odwrócić od siebie uwagę swoich ciemżycieli, mogłaby wtedy wymknąć się drzwiami.

W jej odczuciu minęły godziny, zanim w domu zaczął się pierwszy ruch. Kroki na zewnątrz wzbudziły jej szczególną czujność, ale minęły budynek. A potem zaczęły dochodzić ją kobiece głosy, ściszone męskie odpowiedzi, wybuchy śmiechu i powtarzający się stukot kołatki.

Naraz rozległy się szokująco głośne krzyki, brzęk tłuczonego szkła i strzały. Czyżby atak stróżów prawa? Nawet nie śmiała o tym marzyć.

Nagle drzwi do pokoju otworzyły się z trzaskiem, mimo że nie słyszała żadnych kroków.

Przygotowała się do ucieczki, ale na parapecie wylądowało z głośnym krakaniem duże czarne ptaszysko.

– Lucyfer!

Mężczyzna obrócił się na pięcie.

– Phyllida!

– Ashe?! – Bez chwili wahania padła mu w ramiona, na przemian śmiejąc się i szlochając.

– Czy nic ci się nie stało? Czy oni...

– Nie, nie... Jeszcze nie. Byłam tylko przerażona – przyznała.

– Ale nie na tyle przerażona, żeby nie myśleć – powiedział Ashe, spoglądając w stronę otwartego okna, stłuczonego lustra i rozmontowanego łóżka. – Mądrze. To mogło zadziałać.

– Ty! – Do pokoju wpadł z zakrwawioną twarzą i nożem w rękę Buck. – Ty suko, wypatroszę cię, kiedy tylko się rozprawię z twoim kochasiem!

– Nie sądzę. – Ashe wyciągnął z rękawa długie ostrze. W korytarzu rozległy się kroki i coraz bliższe krzyki w obcym języku.

Buck wyglądał jak szczur zapędzony w róg. Wyszczrzył do Ashe'a żółte zęby.

– Zapłacisz mi za to... innym razem.

Jednym susem dopadł okna, chwycił się zaimprovizowanej liny i wyskoczył. Lucyfer zakrakał głośno i trzepocząc skrzydłami, sfrunął na ziemię.

– Nie! Nie! Ta lina nie wytrzyma! – krzyknęła Phyllida, kiedy Buck zniknął jej z oczu.

Rozległo się głośnie krakanie i wrzask.

Po chwili w pokoju zrobiło się tłoczno od milczących mężczyzn w turbanach. Jeden z nich wychylił się nad parapetem i przemówił w niezrozumiałym dla Phyllidy języku, po czym wszyscy, tak nagle, jak się pojawili, zniknęli, zostawiając ją samą na samą z Ashe'em.

– O Boże, czyżbym go zabiła? – Nawet nie przyszło jej do głowy, że zastawiła pułapkę; chciała tylko odwrócić od siebie uwagę swoich oprawców.

– Absolutnie nie ma w tym twojej winy. Zasłużył na boleśniejszy koniec – powiedział Ashe surowo. – Chodźmy stąd.

– A gdzie są ludzie Bucka? – Phyllida ruszyła za Ashe'em.

– Z tego, co słyszę, wojują właśnie z twoim przyjacielem Ashokiem i jego szajką – wyjaśnił Ashe.

Phyllida zauważyła napięcie, z jakim patrzył w dół.

– Idź już, dam sobie radę.

– Wykluczone. – Ashe poprowadził ją do drzwi frontowych. – Zresztą teraz to już jest sprawa Ashoka. Umówiliśmy się, że on się rozprawi z Buckiem i jego ludźmi i za to weźmie wszystko, co tutaj znajdzie. Do mnie należało tylko znalezienie ciebie.

– Co byś zrobił, gdyby Buck nie wypadł przez okno?

Ashe wziął Phyllidę pod rękę i poprowadził w kierunku Smithfield. Po drodze zatrzymał dorożkę. Dopiero wtedy jej odpowiedział z zimnym błyskiem w oku.

– Zabiłbym go. A teraz powinniśmy zniknąć stąd, zanim pojawią się stróże prawa.

Dziękowała Bogu, że do tego nie doszło i Ashe nie miał krwi na rękach.

– I co teraz będzie? – zapytała Phyllida, sadowiac się na sfatygowanym siedzeniu dorożki.

– Zabieram cię do domu i nigdy nikomu nie wspomnimy o tym, co się stało. Rano udam się do Ashoka, żeby się upewnić, że zrobili porządek i zachowają dyskrecję.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że Ashok jest kimś więcej niż tylko handlarzem – zaczęła nieśmiało, widziała jednak, że Ashe nie jest jeszcze gotowy na to, żeby na ten temat rozmawiać.

– Ashok jest na swój sposób równie twardy i bezwzględny jak Buck – powiedział. – Nie ma mowy, żebyś się jeszcze kiedykolwiek wybrała do East Endu, zbyt wiele osób cię tam widzia-

ło.

Początkowo chciała zaprotestować, ale wiedziała, że tym razem Ashe miał rację i sama doszłaby do tego samego wniosku.

– Postanowiłam, że kiedy Gregory się już ożeni, zaangażuję kogoś, kto mnie zastąpi.

– A ty czym się wtedy zajmiesz? – zapytał Ashe.

Niewielki płomyk nadziei, który zapłonął, kiedy wziął ją w tamtym koszmarnym pokoju w ramiona, nagle zgasł. Ashe nie zamierzał powiedzieć, że wszystko to muszą puścić w niepamięć i zacząć wszystko od nowa. Ryzyko skandalu było zbyt wielkie.

– Zrobię to, co zawsze planowałam, zamieszkać we Wdowim Domu. – Po tych słowach Phyllidy zaległa ciężka cisza. – Powiem ci, co się stało, kiedy... – zaczęła, ale Ashe jej przerwał.

– Nie. Nie chcę tego słuchać. To nie jest moja sprawa. – Wyglądał przez okno, jakby na Leadenhall Street działy się niesłychanie ciekawe rzeczy.

– Uratowałeś mnie.

– To samo zrobiłbym dla każdej innej kobiety w takiej sytuacji – odparł grzecznie Ashe, jakby chodziło o odzyskanie parasolki, którą porwał wiatr.

Siedzieli w milczeniu; dorożkarz skręcił w King Street i minął klub Almacka. Za chwilę mieli się znaleźć na Great Ryder Street.

– Nigdy nie wyszłabym za ciebie za mąż – wyrzuciła z siebie pospiesznie Phyllida. – Wiedziałam, że nie mogłabym ze względu na to, co się stało i jak to się stało. Żle, że od początku nie znalazłam w sobie dość siły, że nie zabraniałam ci pocałunków, że tolerowałam twoje zaloty i... pozwoliłam sobie na marzenia... – Westchnęła ciężko i otarła łzę, która spłynęła po jej policzku. – Rozumiem, że nie chcesz wysłuchać mojej historii. Jesteś na mnie bardzo zły, ponieważ przysporzyłam ci wielkich kłopotów, nie mówiąc już o wstydzie i niebezpieczeństwie, na jakie cię naraziłam. Ale chcę, żebyś wiedział jedno: że nigdy nie wystawiłabym na szwank twojego honoru, wychodząc za ciebie za mąż. W żadnym razie nie mogłabym tego uczynić, trzymając w tajemnicy przed tobą moją przeszłość.

Phyllida sięgnęła po klucz od domu, a tymczasem dorożkarz zatrzymał konie. Pchnęła drzwiczki pojazdu i wyszła na chodnik, zanim Ashe zdążył się poruszyć. Stojąc na chodniku, posłała mu ostatnie przeciągłe spojrzenie.

– Kocham cię i dobrze o tym wiesz, Ashe'u Herriard. Żegnaj. – Odwróciła się i pobiegła ku drzwiom.

Kiedy wszedł do domu, Sara siedziała w salonie.

– Co się z tobą działo? Wyglądasz, jakbyś się z kimś pobił.

– Bo się pobiliśmy. – Usiadł koło niej na sofie i złożył głowę na miękkim oparciu. – Tylko proszę cię, nic nie mów Macie.

– Oczywiście, że nie powiem. Ale czy chociaż wygrałeś?

– Wszystko na to wskazuje.

– To fantastycznie. – Sara powróciła do haftu, a jemu dała odpocząć.

– Czy mogę ci zadać pytanie, które zapewne tobą wstrząśnie? – przerwał milczenie Ashe.

– Na temat czegoś, o czym w ogóle nie powinienem z tobą rozmawiać?

– I o czym też mam pewnie nie mówić Macie, prawda? Oczywiście... Pytaj.

– Co mogłoby cię skłonić do tego, żebyś się sprzedała? Żebyś oddała swoje ciało obcemu człowiekowi, do którego czułabyś odrazę? Głód?

– Nie! – Sara gwałtownie potrząsnęła głową. – Raczej umarłabym z głodu.

– Pieniądze?

– Skoro takie rzeczy się zdarzają, zapewne może chodzić właśnie o nie... Ale... – Sara na chwilę zamilkła, zastanawiając się. – Zrobiłabym coś takiego, gdyby Macie groziło jakieś wielkie

niebezpieczeństwo. Albo tobie, albo Papie. Na przykład gdyby któreś z was zachorowało, a nie byłoby pieniędzy na lekarza i lekarstwa... Wtedy chyba nic by się nie liczyło.

Sara oznajmiła to z pełnym przekonaniem. Po chwili przysunęła się do Ashe'a i położyła mu rękę na ramieniu.

– To dlatego wdałeś się w bójkę?

– Tak... Była wtedy bardzo młoda.

– Biedactwo – powiedziała ze współczuciem Sara. – Czy mogłabym jej w jakiś sposób pomóc?

– Nie, teraz już jest bezpieczna. – Złamałem jej serce, dodał w myślach, ale jest bezpieczna. Ashe wstał. – Wychodzę. Pewnie nie wrócę na kolację.

Fransham siedział w klubie White'a. W zacisznym kącie biblioteki drzemał nad gazetą.

– Clere! Zapraszam cię na drinka. – Przywołał kelnera i odłożył gazetę. – Masz jakąś wyjątkowo poważną minę.

Przed wyjściem z domu Ashe umył się, przebrał i uczesał, ale nic nie mogło wymazać z jego świadomości mrocznych myśli.

– Chciałbym ci zadać bardzo osobiste pytanie. Dotyczy spraw, o których zapewne wolałbyś nie rozmawiać. Chodzi o Phyllidę... Muszę coś zrozumieć, więc proszę cię o bezwzględną szczerość.

Miał nadzieję nie tylko poznać powody, które pchnęły ją do takiej desperacji, ale także chciał dojść do ładu z własnymi uczuciami. Nie wiedział bowiem, dlaczego czuł się gorzej niż po śmierci Reshmi.

– Zgoda. – Gregory wyprostował się i nalał brandy do dwóch kieliszków.

– Pytaj, zawsze mogę cię uderzyć, kiedy dotkniesz spraw zbyt osobistych.

– Phyllida opowiadała mi o waszych rodzicach, o tym, że pobrali się dopiero po jej urodzeniu. Ale co działo się z wami po śmierci waszej matki? Nie była skłonna o tym mówić.

Fransham spochmurniał.

– Boże, to były straszne czasy. Mówiła ci o tym, jak bardzo nieodpowiedzialnym człowiekiem był nasz ojciec? Miał dla nas coraz mniej czasu i pieniędzy. A do tego zachorowała mama. Lekarz stwierdził suchoty. Robiliśmy, co mogliśmy. Ja jako piętnastolatek podjąłem pracę u aptekarza, w charakterze zwykłego chłopaka na posyłki, któremu płacono lekami. Siedemnastoletnia Phyllida prowadziła dom, pielęgnowała mamę i pisała listy do ojca...

Zamilkł na chwilę, jakby zbierał myśli. Ashe czekał na dalszy ciąg.

– Ale ponieważ papa nie odpowiadał, Phyllida w końcu uzbierała pieniądze na dylizans i wybrała się do Londynu, żeby go odnaleźć. Kiedy wróciła po miesiącu, wyglądała strasznie. Powiedziała, że ojciec zginął podczas jakiejś awantury w tawernie. Prawnicy poinformowali ją, że zostawił więcej długów niż majątku. Mój hrabiowski tytuł odwłókł nieco egzekucję, ale dla mamy było już za późno. Zmarła w tydzień po powrocie Phyll do domu.

– Jeśli uzbierała tylko tyle pieniędzy, że jej starczyło na podróż, to z czego żyła w Londynie? – zapytał Ashe, doskonale znając odpowiedź na to pytanie. Powinna od razu wrócić do domu.

– Pewnie wykonywała jakieś marne prace. Nigdy jej o to nie spytałem. – Gregory przecesał dłonią włosy. – Powinienem się tym zainteresować. Była chuda jak szkielet. Trwało wieki, zanim odzyskała normalny wygląd.

Ashe otrzymał właśnie odpowiedź na swoje pytanie. Poświęciła godność dla chorej matki i głodującego brata.

– Rozeszliśmy się – powiedział Ashe bez ogródek. – Zraniłem ją i wątpię, czy zechce ze mną rozmawiać.

- Czy mam wybrać sekundantów? – zapytał Gregory, odstawiając z mocą kieliszek.
- Nie. Wystarczy, że dasz mi swój klucz, a sam zjesz kolację na mieście.
- Niech cię licho! – zaklął Gregory, ale sięgnął do kieszeni po klucze.
- O nic nie pytaj, to nie będę musiał kłamać. Dziękuję.
- Radzę ci jednak, żebyś się z nią ożenił – ostrzegł go Gregory. – Byłem cholernie kiepskim bratem, ale teraz zamierzam jej to wynagrodzić.
- Na pewno ją o to poproszę, ale nie mam pewności, że mnie przyjmie – powiedział Ashe, chowając klucz do kieszeni.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Ashe wszedł do domu przy Great Ryder Street z ostrożnością zawodowego włamywacza. Na parterze panowała cisza, ale z sutereny dochodziły ściszone głosy i pobrzękiwanie miedzianych rondli. Podeszedł na palcach do schodów i nasłuchiwał. Słyszał trzy kobiece głosy, ale żaden z nich nie należał do Phyllidy.

Służące z pewnością były jej oddane, więc podniosą alarm, jeśli go zobaczą. Z drugiej strony nie miał wątpliwości, że nie zyska szansy na sam na sam z Phyllidą bez ich wiedzy.

– Dobry wieczór.

Kucharka upuściła warząchew, którą trzymała w ręce, a pokojówka wydała pisk przerażenia. Anna zerwała się z krzesła przy kuchni i ruszyła na spotkanie intruza.

– Co pan jej najlepszego zrobił? Uratował ją pan przed Buckiem, tyle wiem, ale odkąd wróciła do domu, siedzi zamknięta w swojej sypialni i nie chce stamtąd wyjść. Jeśli pan skrzywdził pannę Phyllidę, to jego lordowska mość pokaże panu, gdzie raki zimują!

– Nie skrzywdziłem jej – zaproponował Ashe i usiadł przy stole kuchennym, wprawiając tym w zakłopotanie Annę. Nie wiedziała, jak ma się zachować przy dżentelmenie, który rozsiadł się przy stole i zaczął podjadać kucharce jeszcze ciepłe placki z dżemem. – Tyle że zachowałem się niewłaściwie i chciałbym to naprawić, Anno.

Ashe położył na stole klucz.

– To lorda Fransham. Wie, że tu jestem, i będzie w domu dopiero jutro.

– Zastanawiam się, dlaczego to mnie nie dziwi – powiedziała Anna, po czym również usiadła i sięgnęła po placek.

– Skoro wszyscy jecie – wtrąciła kucharka – to lepiej nastawię wodę... Podaj no puszkę z herbatą, Jane.

– Czy pan jest zakochany w pannie Phyllidzie? – zapytała wprost Anna ostrym tonem. Ashe uniósł brwi, ale nie dała się speszyć. Spoglądała na niego stanowczym wzrokiem, domagając się odpowiedzi.

– Z pewnością nie życzę jej źle. O tym mogę cię zapewnić – odrzekł.

Tymczasem kucharka podała mu filiżankę herbaty i przysunęła bliżej talerzyk z plackami.

– Proszę. Musi się pan wzmocnić. Będzie pan potrzebował dużo siły – dodała ponuro.

Przecież nie będzie siedziała w swoim pokoju do końca życia. Ani nawet do końca dnia. Phyllida spuściła nogi z łóżka, ale na to, by wstać, zabrakło jej sił.

Tak nie może być, powiedziała sobie. Życie toczy się dalej. Poza tym ma tyle spraw na głowie, że musi wziąć się w garść; znaleźć kogoś, kto przejmie sklep, doprowadzić Wdowi Dom do stanu nadającego się do zamieszkania i włączyć się w planowanie ślubu Gregory'ego. Poświęci się pracy i zapomni o Ashe'u Herriardzie.

Ponownie położyła się i zwinęła w żaloszny kłębek, uparcie wstrzymując się od płaczu.

Naraz usłyszała dźwięk otwieranych drzwi.

– Idź, Anno. Prosiłam przecież, aby mi nie przeszkadzać. – Drzwi się zamknęły, ale wciąż słyszała ciche kroki. – Proszę cię, Anno, idź już. I powiedz kucharce, że nie przyjdę na obiad... A gdyby mój brat pytał, mów, że mam migrenę.

– Lorda Fransham nie będzie na kolacji. Zostanie na noc u Millingtonów.

Ashe? Phyllida usiadła na łóżku.

– Co ty tu, do diabła, robisz? Mówiłam poważnie, kiedy się zegnaliśmy. – Dlaczego wciąż ją nachodził?

Ashe usiadł na brzegu łóżka.

– Byłem wstrząśnięty i przerażony, ale przede wszystkim bardzo cierpiałem. Sam nie wiem dlaczego – wyrzucił z siebie. – A potem zacząłem myśleć... Żadna kobieta się nie sprzedaje, jeśli się nie znajdzie w rozpaczliwej sytuacji. A przecież ty nie jesteś ani głupia, ani rozpustna. Musiałem się co do tego upewnić. Przypomniałem sobie, co mówiłaś o ojcu, o tym, jak porzucił rodzinę, i zapytałem Gregory'ego o czas poprzedzający śmierć waszej matki.

– I oczywiście powiedziałeś mi, co zrobiłam... – Gregory nie przeżyłby tego, gdyby się dowiedział, do czego została zmuszona.

– Nie, oczywiście, że nie. – Ashe potarł ręką policzek. – Nie chciałem go w to mieszać, nie ma pojęcia, dlaczego go o to wszystko pytałem. Ale dzięki niemu zrozumiałem. Do licha, Phyllido, jeśli mężczyzna walczy i zabija w obronie honoru i rodziny, każdy to rozumie i wyraża swoje uznanie. Jeśli kobieta w imię dobra rodziny przechodzi piekło, jeśli poświęca dla niej wszystko poza życiem, zasługuje na miano ładaczki i jest odsądzana od czci i wiary...

Ashe obrócił się i spojrzał jej w oczy.

– Powinienem być się od razu domyślić i powiedzieć ci, że to, co zrobiłaś dla swojej rodziny, było dowodem wielkiej odwagi i szlachetności. Żałuję, że cię nie wysłuchałem i nie pocieszyłem.

Czyżby się nie przesłyszała? Czy naprawdę uważał ją za osobę odważną i honorową? Tłumaczył się przed nią, mimo że to ona go wykorzystwała i ukryła przed nim prawdę?

Phyllida w milczeniu wpatrywała się w jego twarz, na której malowało się samooskarżenie i żal.

Ashe wstał.

– Teraz rozumiem, jak bardzo się myliłem. Nie powinienem był zakładać, że mi wybaczysz i przyjmiesz moje oświadczenia... Przepraszam cię za to wszystko, Phyllido.

Ruszył powoli ku drzwiom. Położył rękę na klamce.

– Kocham cię, Ashe. – Zatrzymał się. – Ja bym ci wszystko wybaczyła, wszystko bym rozumiała... Nie musisz się ze mną żenić, nie mogłabym tego od ciebie wymagać. Wystarczy mi, że rozumiesz i nie potępiasz mnie za to... że wybaczasz mi tę całą maskaradę...

– Dlaczego uważasz, że żeniąc się z tobą, musiałbym coś poświęcić? – zapytał Ashe niepewnie.

– Wciąż z tych samych powodów... Nasze małżeństwo załamałoby się prędzej czy później pod ciężarem wstydlivych okoliczności mojego urodzenia i innych moich tajemnic. Wolę cię nie mieć, niż zmarnować ci życie.

– To nie ma żadnego znaczenia w obliczu mojej miłości – wyznał mocnym głosem Ashe. W jego zielonych oczach widziała spokój i zdecydowanie. – Moja rodzina cię polubiła, a wkrótce pokocha cię jako córkę i siostrę. Mając w sobie tyle miłości, stawimy czoło wszelkim plotkom na temat twojego urodzenia.

– Ale ty... – Phyllida poczuła zawrót głowy. Jej serce zabiło szybciej.

– Kocham cię szczerze i głęboko, Phyllido. Uświadomienie sobie tego kosztowało mnie wiele bólu. To, co do tej pory brałem za miłość, było tylko cieniem prawdziwego uczucia. To, że mnie pokochałaś mimo wszystko, jest cudem, na który sobie nie zasłużyłem. Ale może zasłużyły na to nasze dzieci... – Jego piękne usta wygięły się w pierwszym od wielu dni uśmiechu. – Wyjdź za mnie, Phyllido, i zapomnijmy o przeszłości.

– Tak, o tak, Ashe! – Phyllida znalazła w sobie wreszcie siłę, żeby wstać z łóżka i rzucić mu się w ramiona. Trwali tak w uścisku, prawie nie oddychając. Nic w tej chwili nie liczyło się poza ich uczuciem.

– Czuję się tak, jakby kamień spadł mi z serca – wyznał w końcu Ashe. – Czy chcesz, że-

byśmy zawiadomili Gregory'ego i moich rodziców o naszych planach i rozpoczęli przygotowania do ślubu?

– Nie. – Roześmiała się na widok zdziwienia, jakie odmalowało się na jego twarzy. – Powiedziałaś Gregory'emu, żeby nie wracał na noc do domu, a więc zamierzałaś spędzić tę noc ze mną tutaj... Chyba się nie mylę, prawda?

– Tak, ale... w mojej arogancji chyba nie zasłużyłem sobie na to... – Gładził ją lekko po policzku i patrzył rozbawionym, figlarnym wzrokiem.

– Ale to jest właśnie dokładnie to, czego bym sobie życzyła – wyszeptała i wspięła się na palce, żeby go pocałować. – Chcę ci pokazać, jak bardzo cię kocham... I chcę poczuć, jak bardzo ty mnie kochasz.

– Nie boisz się? – wyszeptał Ashe w jej włosy.

Phyllida przełknęła.

– Trochę.

– Niczego się nie obawiaj – powiedział, rozpinając jej suknię. – Jeszcze nigdy nie doświadczyłaś czegoś tak przyjemnego. Wiem, co robię, więc nie pokazuj mi takiej groźnej miny. Owszem, były w moim życiu inne kobiety, ale ty jesteś ostatnia. Ostatnia i jedyna. – Sukienka leżała u stóp Phyllidy, gorset opadł na podłogę. – Tak jak mówiłem, uczyłem się kochać tak, żeby sprawiać przyjemność kobiecie... którą kocham.

Ashe zrzucił jednocześnie surdut i kamizelkę, zdarł z szyi halsztuk i ściągnął koszulę przez głowę.

– Są sytuacje, kiedy należy się rozbierać powoli, ale ta do nich nie należy. Zasługujesz na to, żeby cię zanieść do łóżka na rękach, kochanie, i za chwilę zamierzam to zrobić.

Buty Ashe'a pofrunęły w górę, a spodnie opadły. I oto przed Phyllidą, która rozpaczliwie tuliła do siebie resztki bielizny, stanął całkowicie nagi mężczyzna z oczywistą oznaką podniecenia.

Położył ją na łóżku i delikatnie nakrył swoim ciałem.

– Czy wszystko jest w porządku? – zapytał po chwili.

– Jest cudownie – zapewniła go. I tak rzeczywiście było.

Ashe złożył na jej ustach namiętny pocałunek, by już po chwili zsunąć się niżej, ku pierśsiom...

– Ashe, och, proszę cię, Ashe... – Jej słowa utonęły w powodzi pieśszcót i miłosnych zakłęk. – Kocham cię, kocham, najmilszy...

Leżeli wtuleni w siebie, zmęczeni i szczęśliwi. Phyllida całowała Ashe'a w zagłębienie szyi, jedyne miejsce, do którego mogła sięgnąć.

– Teraz już wiem, że wcale nie byłeś arogancki – powiedziała. – Szczerze mówiąc, byłeś bardzo skromny.

Ashe podparł się na łokciu i uśmiechnął do niej.

– Cieszę się, że tak uważasz. Czy to znaczy, że nie zmieniłaś zdania?

– Nie zmieniłam. Mam zamiar zrobić z ciebie przyzwoitego mężczyznę, milordzie. – Wyszła z jego objęć i rozejrzała dokoła. – Zobacz, jak ten pokój wygląda: twoje spodnie zwisaają z lustra, a but wylądował w pudle na kapelusze... I pomyśleć, że przed twoim przyjściem leżałam tu i próbowałam przekonać samą siebie, że złamane serce to coś, z czym można bez przeszkód normalnie żyć.

– Poradziłabyś sobie?

– Bez ciebie? – Phyllida udawała, że się namyśla. – Gdybym poczuła się tobą zmęczona... Ale dla pewności zapytaj mnie o to za jakieś osiemdziesiąt lat.

– Zapiszę sobie w moim terminarzu – odparł żartobliwie Ashe. – Uwielbiam, kiedy uda-

jesz poważną i roztrofną.

Popatrzyła mu w oczy i zaczęła delikatnie wodzić dłonią po jego piersi, schodząc coraz niżej.

– Naciesz się, póki możesz... Zaraz zamierzam być bardzo lekkomyślna i niegrzeczna...

– To cudownie, najdroższa – wyszeptał – postaram się wytrzymać osiemdziesiąt lat tej rozkosznej męki.

